

# Tryumf Pana Kleksa

Jan Brzechwa



calibre 0.9.43

**JAN BRZECHWA**

**TRYUMF PANA KLEKSA**

# PTASIA HISTORIA

Akademię pana Kleksa ukończyło w tym roku trzech Aleksandrów, dwóch

Anastazych, czterech Albinów, dwóch Agenorów, trzech Aleksych, jeden Apolinary i ja.

Razem było nas siedemnastu.

Wręczając nam dyplomy, pan Kleks na każdym z nich kładł swój podpis, ozdobiony wszelkimi możliwymi zakrętami i zawijasami, jakie tylko zdołała wymyślić kaligrafia na przestrzeni wieków.

Po wspólnym uroczystym obiedzie odśpiewaliśmy chórem hymn Akademii, po czym pan Kleks, stojąc swoim zwyczajem na jednej nodze, wygłosił do nas pożegnalne przemówienie. Wryło się ono w moją pamięć na całe życie.

- Moi drodzy - powiedział pan Kleks - po latach ogromnych wysiłków nappełniłem wasze puste głowy mądrością, o której w innych uczelniach nikomu nawet się nie śni. Wiecie, że wynalazłem własną metodę wlewania oleju do głowy. Dzięki temu wam, którzy przybyliście do mojej Akademii jako kapuściane głowy, zdołałem zaszczepić wiele rzadkich umiejętności i z nieuków uczyniłem młodych uczonych. Wzmocniłem też waszą pamięć przy pomocy soku malinowego i nalewki na piegach. Mam więc nadzieję, że potrafcie przekazać zdobytą wiedzę następnym pokoleniom i rozślawić moją Akademię na cały świat. Każdy z was pójdzie odtąd własną drogą, a ja... Ja muszę udać się do krainy, która na mojej mapie figuruje jako Alamakota. O ile pamiętacie, utknęli tam przed laty bajdoccy żeglarze.

Obowiązek nakazuje mi ich odszukać. Żegnajcie was, moi drodzy! Pa-ram-pam-pam! Pa-ram-pam-pam!

Po tych słowach pan Kleks wydał policzki i na połach surduta uniósł się w powietrze, jak to czynił zwykle, gdy zamierzał wyruszyć w podróż. Przez chwilę krążył jeszcze ponad naszymi głowami, po czym wymknął się przez okno, wzbił w górę i odpłynął w kierunku

południowo-wschodnim. Jego rozwiana broda pozostawiała za sobą jasną smugę, a okulary posyłały nam pożegnalne migotliwe „zajaczki”. Długo jeszcze widzieliśmy w oddali ulatującą postać ukochanego profesora, która z minuty na minutę stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła nam z oczu.

Pożegnałem kolegów, spakowałem zeszyty, galowe lampasy do spodni oraz kilka drobnych sekretów, które wygrałem od pana Kleksa w „trzy wiewiórki”, i radośnie pomknąłem do domu na ulicę Korsarza Palemona.

Mieszkanie rodziców zastałem jednak zamknięte.

Stary dozorca Weronik dostał na mój widok długotrwałej czkawki. Niegdyś nazywał się po prostu Franciszek, ale kilka lat temu przyjął imię po swojej zmarłej żonie Weronice.

Tak bardzo ją kochał, iż pragnął w ten sposób utrwalić jej pamięć wśród lokatorów.

Czekałem jakiś czas, aż minie mu atak czkawki, w końcu zniecierpliwiony uderzyłem go kilkakrotnie w plecy tobołkiem z książkami. Weronik parsknął, wykonał parę przysiadów i oświadczył tajemniczo:

- Pan Niezgódka, czyli pański ojciec, na wiosnę tego roku zmienił się w szpaka i wyfrunął z domu. Nawet nie zatrzepotał na pożegnanie. Wyfrunął i tyleśmy go widzieli. A pani starsza włożyła kapelusz z kwiatkami, wzięła pod pachę elektroluks i poszła do lasu robić porządki. Wszystko to stało się z powodu paczki, którą przyniósł listonosz. Bo jak tylko listonosz wsiadł na rower i odjechał, pan Niezgódka zaraz wyfrunął.

Wiedziałem, że Weronik jest dziwak i że po śmierci żony zdziwaczał jeszcze bardziej, toteż nie wdawałem się z nim w dalsze rozmowy, lecz wzięłem klucz i wszedłem do mieszkania. Zastałem w nim straszliwy nieład. Wszędzie pełno było damskich kapeluszy, wstążek i sztucznych kwiatów. W kuchni piętrzyły się nie zmyte naczynia, a w jadalni z żyrandola zwisały wianki suszonych grzybów, przeważnie muchomorów. Pod nogami

chrzęściły rozsypane ziarna, używane do karmienia kanarków. W gabinecie ojca na biurku, na szafach, na etażerkach poustawiane były rozmaite wypchane ptaki. Ptasie pióra walały się po podłodze, a kolorowy puch unosił się w powietrzu.

Zauważyłem już w dzieciństwie, że ojciec miał w twarzy coś ptasiego. Teraz mogłem stwierdzić, że głowy wypchanych ptaków dziwnie przypominają mi twarz ojca. Kiedy zaś wziąłem się do sprzątanía i całą tą ptasią kolekcję wyniosłem na balkon, zielona papuga, którą nieostrożnie przydepnąłem, wydała skrzeczący dźwięk, do złudzenia przypominający głos mego kochanego ojca.

Uwijałem się do późnego wieczora, żeby mieszkanie jako tako doprowadzić do porządku. Następnie wszystkie pokoje pozamykałem na klucz, zachowując dla siebie jedynie gabinet. Przemeblowałem go, wyniosłem zbędne sprzęty, a także wszystkie książki, jako że ojciec zbierał wyłącznie oprawy, usuwając z nich przy pomocy brzytwy zadrukowane stronice. Za to wszystkie tytuły wyciśnięte na grzbietach umiał na pamięć. Treść książek wymyślał i pisał sobie sam, według własnego upodobania, a po skończonej pracy stosy zapisanych kartek wrzucał do pieca. Kiedy zaś później zachodziła potrzeba, pisał książkę na nowo, za każdym razem inaczej.

Na szafie postawiłem wypchanego sokoła i włożyłem mu na dziób okulary, żeby mi przypominał mego ukochanego ojca. Nakręciłem też wszystkie zegary i każdy nastawiłem na inną godzinę. Po prostu nie chciałem przeszkadzać sobie w pracy obserwowaniem czasu.

Wreszcie na drzwiach przytwierdziłem tabliczkę, na której widniał napis:

*ADAM NIEZGÓDKA*

*Absolwent Akademii Ambrożego Kleksa*

*Doktor Filologii Zwierzęcej*

Tak, tak, moi drodzy! Był to pracowity dzień, pełen przeżyć i niespodzianek.

Gdy jeden z zegarów wskazywał północ i wypachana kukulka, naśladowując głos mego ojca, zakukała dwanaście razy, położyłem się spać. Ojciec w latach mego dzieciństwa zawsze wieczorem otulał mnie kołdrą i kukał na dobranoc. Tej nocy śnił mi się Weronik fruujący na uskrzydłym elektroluksie, ale do snu tego nie przywiązywałem większej wagi.

Nazajutrz, nie tracąc czasu, zabrałem się do moich zajęć. Od kilku lat prowadziłem studia nad żabim językiem i miałem na ukończeniu słownik porównawczy żabich gwar w jeziorach i w stawach. Nadto na zamówienie Instytutu Spraw Zmysłonych podjąłem się opracowania odmiennych zasad wymowy psiego „hau” i kociego „miau” w dwudziestu sześciu językach i narzeczach Dalekiego Wschodu. Nie będę również tał, że od dawna już głowiłem się nad transkrypcją bzykania komarów na chór i orkiestrę dętą, gdyż bardzo kocham muzykę, zwłaszcza różne pa-ram-pam-pam oraz pi-lim-pim-pim znane mi z Akademii pana Kleksa.

W chwili gdy byłem pogrążony w rozmyślaniach, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Pobiegłem do przedpokoju w nadziei, że to może rodzice. Tymczasem na progu ukazał się listonosz, a za nim Weronik. Musiał być bardzo przejęty, gdyż znowu miał atak czkawki.

Listonosz urzędowym ruchem podał mi paczkę i powiedział tylko jedno słowo:

- Pokwitować.

Pokwitowałem. A ponieważ nie miałem drobnych, ofiarowałem mu wypchanego drozda.

Listonosz na chwilę się ożywił i rzekł:

- A nie ma pan przypadkiem szpaka?

I nie czekając na odpowiedź, zbiegł beztrosko po schodach. Ale Weronik został. Minął mu już atak czkawki, więc idąc za mną do gabinetu, mówił tajemniczym szpetem:

- Taką samą paczkę dostał pan starszy. I zaraz potem wyfrunął. Widziałem to własne oczy! Trzeba uważać. Radzę zamknąć balkon, bo i panu może się to przytrafić. Ostrożność przede wszystkim. Pan Chryzantemski upuścił pewnego razu z balkonu trzeciego piętra złotą rybkę. Wszyscy okropnie się przejęli, musiałem sprowadzić weterynarza. Weterynarz ją odratował, owszem, ale biedaczka stracił kolor. Nie jest już złotą rybką, za przeproszeniem. O, nie!

Słuchałem tej paplaniny z roztargnieniem, a równocześnie rozwijałem paczkę. Była okręcona kilka razy w papier i za każdym razem osobno przewiązana sznurkiem. Przecinałem sznurki, zdierałem papier, aż wreszcie pozostało mi w rękach małe drewniane pudełeczko. Weronik przylgnął twarzą do mego ramienia. Z ciekawości zaniemówił i w milczeniu chuchał na mnie piwem.

Ostrożnie otworzyłem pudełeczko. Wewnątrz leżał guzik. Duży czarny guzik.

Natychmiast odżyła mi w pamięci opowieść szpaka Mateusza o guziku od cudownej czapki bogdychanów. Pamiętacie chyba tę osobliwą historię przemiany księcia w szpaka, historię, która przed dziesięciu laty obiegła cały świat. A więc wszystko stało się teraz jasne i rozumiałe, zwłaszcza gdy odczytałem włożoną do pudełeczka kartkę. Wypisane były na niej słowa następujące: „Zwracam tę błahostkę, którą znalazłem w basenie fontanny. Alojzy B”.

No tak! Oczywiście! Ojciec niebacznie przekręcił podesłany mu podstępnie guzik i zamienił się w szpaka. A potem wyfrunął i niechcący upuścił guzik do fontanny. Dlatego nie mógł już odzyskać swej normalnej postaci. Matka zaś poszła do lasu na poszukiwanie ojca i zabrała z sobą elektroluks, żeby bronić go przed drapieżnikami. Pamiętała, że nasz kot Hieronim na widok elektroluksu z przerażenia prychnął i uciekał na dach.

Kochana matka! Zawsze była kobietą dzielną i nieustraszoną. Podczas burzy, na przykład, nad głową ojca trzymała na kształt piorunochronu szpilkę od kapelusza. A kiedy

było ślisko, sypała przed nim kaszę jaglaną, żeby się nie przewrócił. Zresztą do niczego innego kasza ta się nie nadaje, gdyż nikt z nas w domu jej nie jada. Także i tym razem matka poszła za ojcem uzbrojona w elektroluks. Wprawdzie w lesie na ogół trudno znaleźć źródło prądu do elektroluksu, ale znając matkę wiedziałem, że raczej sama zamieni się w akumulator, niż miałyby opuścić ojca w niebezpieczeństwie.

- Taki sam guzik dostał pan starszy w poprzedniej paczce - powiedział Weronik. - A ten to jest pewno do pary. Trzeba uważać. W guziku może być trucizna albo dynamit.

Mówiąc te słowa, Weronik nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy. Gdy bowiem raz jeszcze spojrzałem na kartkę i zobaczyłem podpis „Alojzy B”, od razu rozjaśniło mi się w głowie. Oczywiście, Alojzy B. - to Alojzy Bąbel, nadzwyczajny twór pana Kleksa, sztuczny, zmechanizowany człowiek, który wymknął się spod władzy swego konstruktora i stał się nieobliczalny. A teraz mści się na mnie i na mojej rodzinie za to, że go kilkakrotnie zdemaskowałem. Alojzy Bąbel posiadał bowiem zdumiewającą zdolność podszywania się pod innych ludzi i tylko ja jeden umiałem go z miejsca rozpoznać.

Podobnie i teraz zjawił się jako fałszywy listonosz. Naprzód przyniósł guzik od czapki bogdychanów memu ojcu i ściągnął na niego fatalną przemianę w ptaka, a obecnie podsunął guzik mnie, aby ze mną stało się to samo. Wybiegłem na balkon i rzeczywiście w oddali, na końcu ulicy, dostrzegłem Alojzego zmykającego na rowerze, który, o ile zdołałem rozpoznać, przerobiony był z okularów mego ojca.

- Panie Weroniku - zawołałem z rozpaczą - musimy zacząć działać! Ojciec ma taką krótką pamięć, że nawet kiedy był jeszcze sobą, zapominał często, gdzie mieszka, i matka musiała wysyłać po niego kota Hieronima. A teraz, odkąd obudziły się w nim ptasie instynkty, nie wróci już z całą pewnością.

- Może by znowu wysłać Hieronima po pana starszego? - powiedział niepewnie



Weronik.

- Co za pomysł! - obruszyłem się na starego dozorcę. - Kota wysłać po ptaka? Nie panie Weroniku! Musimy sami udać się na poszukiwania.

Weronik uśmiechnął się z politowaniem i rzekł:

- Na świecie jest ptaków 175834449537. Na to, żeby odnaleźć wśród nich pana starszego, trzeba byłoby szukać 17537 lat. Trochę za dużo. Odpada.

Po tych słowach Weronik wyszedł na balkon. W namyśleniu zaczął z wolna obskubywać wypchane ptaki i rzucać pióra na wiatr.

Zastanawiałem się przez chwilę czy nie pójść w ślady ojca i nie zamienić się przy pomocy guzika w ptaka, co ułatwiłoby mi poszukiwanie rodziców.

Zachodziła jednak obawa, że mogę przemienić się, dajmy na to, w indyka albo koguta, które także należą do gatunku ptaków, ale nie umieją fruwać, jak należy. Z takiej przemiany nie odniósłbym oczywiście żadnego pożytku. A co gorsza, nie miałem pewności, czy zdołam później odzyskać swój obecny kształt. Natomiast pozostawanie przez resztę życia wśród kur i indyczek, pomimo że studiowałem ich gwary, nie wydawało mi się karierą godną uczonego.

Po rozważeniu tych wątpliwości zamknąłem guzik w szufladzie biurka, klucz zaś wyrzuciłem przez okno, żeby nie mieć pokusy i nie móc przypadkiem przez sen sięgnąć do szuflady, gdyż jak wiadomo, w snach dzieją się nieraz różne dziwne rzeczy niezależnie od naszej woli.

Przez ten czas Weronik zdążył już oskubać większość wypchanych ptaków i nad ulicą unosiła się chmura kolorowych piórek. Ludzie powychodzili na balkony i spoglądali w niebo, sądząc, że to pada pierzasty deszcz, a niektórzy wystawili wiadra żeby nałapać tej kolorowej deszczówki do mycia głowy.

- Panie Weroniku! - zawołałem zniecierpliwiony. - Dostyc tej zabawy! Oskubał pan

wszystkie ulubione ptaki mego ojca, a na domiar złego narobił pan takiego deszczu z piór, że nawet najmądrzejszy ptak musi stracić orientację. Nie tylko moi rodzice, ale nikt w mieście nie potrafi już rozpoznać ulicy Korsarza Palemona.

Weronik zaczerwienił się i zagryzł wargę, żeby powstrzymać czkawkę. Jego łysą głowę okalał puch siwych włosów. Gdyby zapuścił brodę, stałby się podobny do świętego Mikołaja. Miał na sobie wytarty serdak, płócienne błękitne spodnie i stare żołnierskie kamasze zasznutowane drutem telefonicznym.

- Panie Weroniku - ciągnąłem po chwili złamanym głosem - jest tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby pomóc. Tym człowiekiem jest profesor Ambroży Kleks.

- No to leć pan do niego! - zawołał stary dozorca i zatrzepotał rękami.

- Niestety! - odrzekłem z westchnieniem. - Pan Ambroży Kleks właśnie wczoraj wyprawił się do Alamakoty. Muszę natychmiast wyruszyć w podróż. Muszę gonić pana Kleksa. Szkoda, że Hieronim gdzieś się zapodział, bo mógłby mi towarzyszyć. Przykra to rzecz podróżować samotnie.

- E tam! - zauważył Weronik. - Z kota pożytek niewielki. Lepszy byłby pies albo koń.

- Panie Weroniku - powiedziałem nieśmiało - a może by tak pan... Co?... Na stare lata przydałoby się panu przewietrzyć. Mam trochę oszczędności, wystarczy na dwóch.

Weronikowi zaświeciły się oczy, ale po chwili zgasły.

- Jestem dozorcą z dziada pradziada - oświadczył z godnością. - Nie zostawię domu bez opieki.

- A czy nie mógłby ktoś pana zastąpić?

- Mnie? Zastąpić? - obruszył się Weronik. - Ja, panie, pięćdziesiąt lat wytrzymałem na stanowisku. Znam każdą szparę w tym domu! Każdą mysz! Każdą stonogę! Mnie - zastąpić! Coś podobnego! Zaraz... Zaraz... Chwileczkę... Gdyby pan Chryzantemski się zgodził, jemu

jednemu mógłbym zaufać. Tak! To jest myśl! Pan Chryzantemski!

Po tych słowach Weronik pokiwał do mnie porozumiewawczo kciukiem prawej ręki i wybiegł z mieszkania.

Zrozumiałem, że poczciwy, szlachetny dozorca nie opuści mnie w nieszczęściu.

Przyniosłem z komórki kufer i zabrałem się do pakowania. Kolejno układałem w kuferku: nieprzemakalny kombinezon trochę bielizny, wysokogórskie buty, tropikalny hełm, płetwy do nurkowania, harpun myśliwski, niezbędne narzędzia, a nadto globus, kompas, latarkę elektryczną, cukier w kostkach i na koniec - wypchanego sokoła. „„„„„

W chwili gdy kończyłem pakowanie, ktoś zadzwonił do drzwi. Był to ten sam listonosz, który rano przyniósł paczkę. Wręczył mi klucz ze słowami:

- To od biurka szanownego pana. Wypadł panu przez okno na ulicę...

Złapałem go za klapę marynarki i zawołałem:

- Alojzy, to ty! Poznaję cię! Teraz rozprawię się z tobą, nicponiu!

Zanim jednak zdążyłem dokończyć zdanie, Alojzy szarpnął się zostawiając w mojej zaciśniętej dłoni odprutą klapę i błyskawicznie zjechał po poręczach schodów na dół.

- Ręka za krótka, panie Niezgódka! - krzyknął znikając w kolorowej zamieci piór.

Weronik słysząc wrzawę na schodach zjawił się natychmiast, ale nie był sam. Był w towarzystwie pana Chryzantemskiego.

- Załatwione! - powiedział. - Jadę z panem!

Zauważyłem, że pan Chryzantemski miał już na sobie serdak Weronika, stanowiący widocznie oznakę dozorcowskiej władzy.

- Ruszamy! - rzekłem zdławionym głosem. - Ale musimy na każdym kroku

wystrzegać się Alojzego Bąbla. Pan go jeszcze nie zna. Niech pan jednak zapamięta to imię:

Alojzy Bąbel!

- Alojzy Bąbel - powtórzył posłusznie Weronik.

Niebawem szliśmy w kierunku portu. Pan Chryzantemski postanowił nas.

odprowadzić i teraz pchał wózek, na którym znajdował się mój kuferek, plecak Weronika oraz obie nasze teczki, jako że bez teczek ludzie przyzwoici nie podróżują.

W porcie oczekiwało mnóstwo rozmaitych statków, a ich kapitanowie głośnym nawoływaniem zapraszali pasażerów:

- Panie! Panowie! Kto do Wschodniej Rododyndii? Kto do Wybrzeża Kabanosów?

Dzisiaj ostatni rejs do Północnej Kalafonii!

- Kto do Zachodnich Rajstopów? Proszę wsiadać!

- Za godzinę odjazd do Południowych Bryndz!

- Kto na wyspy Remanentów? Tylko u mnie tanio i bezpiecznie!

- Kto chce polować na krokodyle? Mam jeszcze jedną kajutę do Przylądka Kości

Szpikowej! Tanio i wygodnie! Dzieci płacą połowę!

Wybraliśmy statek, który płynął na południowy wschód, gdyż ten właśnie kierunek obrał pan Kleks wyruszając do Alamakoty.

Statek nazywał się „Płetwa Rekina” i służył do przewożenia rozmaitych ładunków, ale w trzech kajutach mógł pomieścić siedmiu pasażerów. Kapitan, stary wilk morski, nic nie słyszał o Alamakocie. Zresztą nie mógł słyszeć, gdyż był głuchy jak pień.

Mieliśmy kajutę przytulną, chociaż ciasną. Weronik, wierny powołaniu wytrawnego dozorca, przystąpił natychmiast do pucowania wszystkich części metalowych oraz szyby okrągłego okienka. Dwie pozostałe kajuty zajmował pewien hodowca róż, pan Lewkonik, z pięcioma córkami. Wybrał się z nimi w podróż, gdyż każdą z nich postanowił wydać za męża za ogrodnika innego kraju. Pan Lewkonik był bardzo gruby i miał tak wielki brzuch, że gdy siadał do stołu, nie mógł dosięgnąć talerza i dlatego nigdy nie najadał się do syta. Córki pana

Lewkonika nie odznaczały się urodą, ale ich ojciec twierdził, że ogrodnicy nie muszą szukać u żon piękności, albowiem mają jej pod dostatkiem w kwiatach.

Całe dni spędzaliśmy na pokładzie, korzystając ze słońca i pogody. Morze było spokojne, niebo bezchmurne. Marynarze grali w kości albo spali na swoich kojach, czuwał tylko sternik. Natomiast kapitan, siedząc na zwoju lin, rozwiązywał krzyżówki i raz po raz wołał do nas rozkazującym głosem:

- Rzeka na siedem liter! Hej tam... Wódz Indian, zaczyna się na „M”!... Miasto w Azji: „o” w środku, „o” na końcu! Hej!... Używa się do latania, dziewięć liter wspak! Hej!

Żadna jednak z naszych odpowiedzi nie docierała do kapitana, gdyż jak wspominałem, był on kompletnie głuchy. Dlatego też po pewnym czasie zorganizowaliśmy pocztę łańcuskową. Przekazywaliśmy kartki z rąk do rąk i przesyłaliśmy kapitanowi odpowiedzi na piśmie.

Pan Lewkonik zakasał rękawy, włożył na głowę niebieski melonik, który miał go chronić od słońca, i zabrał się do sadzenia róż na pokładzie. Pomimo że był bardzo groby, poraszał się z lekkością balonika. Ułożyłem nawet o nim piosenkę, a śpiewaliśmy ją wszyscy chórem:

*Nasz pan Lewkonik*

*Włożył melonik*

*I wyhodował róże,*

*Nasz pan Lewkonik*

*Tak jak balonik*

*Unosi się ku górze.*

*Kto ma wazonik,*

*Dostanie róży kwiat,*

*A pan Lewkonik*

*W daleki ruszy świat.*

I rzeczywiście już po paru dniach w skrzyniach ustawionych wzdłuż burty rozkwitły różne odmiany róż. Córki pana Lewkonika podlewały je stale specjalnym przyspieszającym płynem, dzięki czemu rozwijały się niezwykle szybko.

Róże zwabiły na pokład mnóstwo przelotnych ptaków. Ponieważ znam kilkadziesiąt ptasich gwar i narzeczy, mogłem prowadzić z nimi rozmowy w nadziei zdobycia jakichś wiadomości o moim ojcu. Pewien gołąb pocztowy obiecał mi rozgłosić odpowiedni apel do wszystkich ptaków. Na próżno jednak czekałem na upragnioną wiadomość.

Pod wieczór trzeciego dnia przybiegł do mnie zdyszany Weronik wołając z daleka:

- Jest! Jest! Panie Adasiu, jest pan Niezgódka!

Z biciem serca pomknąłem we wskazanym kierunku. Na dziobie statku istotnie siedział szpak. Gadający szpak. Od razu jednak zorientowałem się, że nie jest to mój ojciec. Szpak mówił bowiem po francusku, a ojciec żywił zawsze niechęć do języków obcych. Cóż, Weronik miał rację. Wśród miliardów ptaków trudno trafić na właściwego.

W końcu jednak udało mi się od pewnego kolibra uzyskać bezcenną wiadomość.

Okazało się bowiem, że był on już poprzednio w Alamakocie i może nam wskazać drogę do tego kraju. Wtajemniczyłem przeto pana Lewkonika w moje kłopoty oraz wyjawiałem cel podróży. Po naradzie postanowiliśmy wspólnymi siłami nakłonić kapitana, aby zboczył z wytkniętego kursu i zawinął do Alamakoty. Panu Lewkonikowi opisałem Alamakotańczyków w nader zachęcających barwach i zapewniłem go, że jest to naród zakochany w kwiatach.

Powiedziałem też mimochodem:

- Alamakotańscy ogrodnicy mają tylko jedną słabość: żenią się najchętniej z cudzoziemkami.

Ta uwaga podziałała na pana Lewkonika jak prąd elektryczny. Podskoczył kilkakrotnie do góry, nacisnął brodawkę na nosie jak guzik dzwonka i z lekkością balonika potoczył się do kapitana.

Wspomniałem już, że pan Lewkonik miał pięć niezbyt ładnych córek. Aczkolwiek był hodowcą róż, tylko najstarsza córka miała na imię Róża. Cztery pozostałe nosiły imiona: Dalia, Hortensja, Rezeda i Piwonia. Polubiłem te dziewczęta, a nawet wkrótce przyzwyczailem się do ich brzydoty. Powiem więcej: z dnia na dzień podobały mi się coraz bardziej. Zwłaszcza Rezeda.

Ale myśli moje zajęte były głównie losem biednych rodziców. Nie schodziłem z pokładu, żeby nie stracić kontaktu z kolibrem, który obiecał służyć nam za przewodnika. Chcąc pozyskać jego względy, śpiewałem mu piosenki drozdów, rudzików, kosów i sikorek, a pewnego razu zaświergotałem jak strzyżyk-wole oczko. Dopiero wtedy koliber nabrał do mnie takiego zaufania, że gotów był uwierzyć, iż jestem ptakiem.

Gdy tak sobie ćwierkałem, na pokładzie ukazał się Weronik. Zalatywało od niego sidolem i amoniakiem, gdyż z zamiłowania do porządku polerował okrętowe poręcze oraz wszystkie części metalowe. Zbliżył się do mnie i powiedział tajemniczo:

- Załatwione. Pan Lewkonik urobił kapitana. Płyniemy do Alamakoty.

W tej samej chwili rozległ się tubalny głos kapitana:

- Wszyscy na stanowiska! Kurs na południowy wschód!

Spojrzałem na dziobek kolibra i podałem kapitanowi dokładny kierunek.

- Pełna szybkość! - wrzasnął kapitan. - Przeciąć zwrotnik Raka! Ster w lewo! -

„Płetwa Rekina” zwinnie pomknęła naprzód, prując fale i roztrącając delfiny. Koliber odlatywał co pewien czas na rekonesans, po czym wracał na swoje miejsce, aby cienkim, ostrym dziobkiem jak igłą kompasu wskazywać drogę. Podzwrotnikowe słońce prażyło

niemiłosiernie.

Po pięciu dniach w oddali ukazały się zamglone zarysy lądu.

Zbliżaliśmy się do Alamakoty.



# ALAMAKOTA

Dziwi was pewno, że w poprzednim Klekse pan Kleks pojawił się tylko przez krótką chwilę, na samym początku, a potem cały czas był nieobecny. Zdziwienie wasze jest całkiem uzasadnione, gdyż pan Kleks, jako główny bohater tej książki, powinien być, prawdę mówiąc, stale na miejscu. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że uczoney udał się do Alamakoty, która leży bardzo daleko, musieliśmy więc odbyć długą podróż po to, żeby nawiązać z nim kontakt. Szliśmy z portu całą gromadą i spotkaliśmy pana. Kleksa zupełnie przypadkowo, kiedy zjeżdżał na hulajnodze z Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Niebawem wrócę do tego momentu, a na razie chciałbym opowiedzieć wam o Alamakocie.

Jest to jeden z tych ciepłych krajów, dokąd na okres chłódów odlatują niektóre nasze ptaki. Pomyślałem więc od razu, że kiedy u nas nastąpi zima, to kto wie, czy mój ojciec nie przyleci do Alamakoty.

Alamakotańczycy należą do pięknej rasy, kolor skóry mają jasnokawowy, włosy ciemne, a od innych ludzi różnią się tylko tym, że posiadają trzecią nogę. Poruszają się z szybkością antylop, a przy tym w biegu jedna noga zawsze może odpoczywać. Bez trudu więc rozpoznawaliśmy Bajdotów, którzy wprawdzie opaleni byli na brąz, jednak nie potrafili wyhodować sobie trzeciej nogi. Za to dzieci, które mieli z Alamakotankami, zamiast trzeciej nogi posiadały trzecią rękę i tym różniły się od dzieci tubylców.

Z pewnością pamiętacie, że przed laty dzielną załogę bajdockiego statku „Apolinary Mrk” porwały na tratwie zdradliwe fale i uniosły do Alamakoty gdzie kapitan Kwaterno, po obwołaniu go królem, panował jako Kwaternoster I.

Od tego czasu Bajdoci tak się rozmnożyli, że wszędzie spotykało się dziewczęta i chłopców o trzech rękach. Nastąpiło też pomieszanie języków alamakotańskiego z bajdockim i powstał nowy - alambajski, podobny do naszego. Różnica polega na tym, że po alambajsku

zamiast „u” mówi się „or”, a zamiast „o” mówi się „ur”.

Tak więc „ucho” po alambajsku brzmi „orchur”, a „noga” - „nurga”. Wyraz „kolega” wymawia się jako „kurlega”, „but” jako „bort”, a „kogut” jako „kurgort”.

Dla mnie, który znałem języki i narzecza zwierzęce o wiele trudniejsze, mówić po alambajsku to była po prostu mucha, czyli morcha.

Alamakotę budowano spiralnie, a więc główna ulica wiła się w kształcie ślimaka od portu aż do centrum miasta, gdzie Bajdoci, po objęciu panowania nad tubylcami, wzniesli pomnik ku czci Wielkiego Bajarza Apolinarego Mruka. Nazywał się on po alambajsku Apurlinary Mrork. Zresztą Alamakotańczycy przyjęli Bajdotów od razu bardzo serdecznie, chętnie uznali wyższość ich bajek nad własnymi, ofiarowali im swoje córki za żony i żyli z nimi w największej zgodzie pod berłem Kwaternostrą I, który okazał się władcą mądrym, a przy tym nadzwyczaj łagodnym.

Wróćmy jednak do pana Kleksa. Spotkanie nasze odbyło się w sposób bardzo osobliwy. Pan Kleks na mój widok nie zdradził najmniejszego zdziwienia, lecz zapytał po prostu:

- Jadłeś już obiad?

- Panie profesorze - odrzekłem - przecież dopiero wylądowaliśmy w Alamakocie.

- Jak to? - obruszył się pan Kleks. - Przed godziną grałeś ze mną w „trzy wiewiórki” i wygrałeś samogrający guzik...

- Ja? -zawołałem zdumiony. - Panie profesorze, to jakieś nieporozumienie!

- Pan profesor na pewno żartuje - wtrącił Weronik.

Pan Kleks stanął znacząco na jednej nodze, a córki pana Lewkonika otoczyły go kołem i spoglądały z zaciekawieniem na ruchy jego brody.

- Zaraz... zaraz... - wymamrotał pan Kleks. -Czyżby to był twój sobowtór? No tak,

zaczynam coś niecoś miarkować...

- Alojzy Bąbel! - zawołałem przerażony.

- Tak, Adasiu, Alojzy Bąbel... Już od kilku dni podszywa się pod ciebie, a ja go nie rozpoznałem. Cóż to za szelma!

Pan Lewkonik, którego wtajemniczyłem we wszystkie moje sprawy, zbliżył się do pana Kleksa i gdy obaj zderzyli się brzuchami, powiedział:

- Damy sobie z nim radę. Mam zagraniczny płyn owadobójczy. Środek niezawodny.

- Alojzy Bąbel to nie owad, panie łaskawy! Nie owad! Mógłby pan o tym wiedzieć, panie... panie...

- Anemon Lewkonik - pośpieszył przedstawić się hodowca róż. - A oto moje córki:

Róża, Dalia, Hortensja, Rezeda i Piwonia. Wszystkie panny na wydaniu.

- Ciekawe... - rzekł z figlarnym uśmiechem pan Kleks. - Istny ogród botaniczny.

- Pan profesor nie pamięta, ale widywaliśmy się już nieraz - wtrącił nieśmiało pan Lewkonik.

- Ja? Nie pamiętam? - obruszył się wielki uczonec. - Może widywał mnie pan w snach.

A ludzie rozsądni nie wierzą w sny. Nie mówmy o tym więcej.

Tu wmieszał się stary dozorca:

- Panie profesorze ja również chciałbym złożyć panu moje uszanowanie. Nazywam się

Weronik Czyścioch, ulica Korsarza Palemona 7, wejście z bramy, dyplomowany dozorca z dziada pradziada.

- Fiu-fiu! - gwizdnął pan Kleks. - Takich ludzi będzie mi potrzeba. Oby tylko siły panu dopisywały.

- Czcigodny profesorze, mam dopiero siedemdziesiąt lat - rzekł Weronik - W zeszłym roku w skoku o tyczce zająłem pierwsze miejsce przed Kiełboniem, Fojdrą i Okiełźniukiem.

Mógłbym jeszcze, za przeproszeniem, stanąć do biegu maratońskiego.

Z tymi słowy chwycił pana Kleksa w pól i trzykrotnie podrzucił go do góry.

- Hip-hip-hura! Hip-hip-hura! - zawołała zgodnym chórem rodzina Lewkoników.

Po tej wymianie wzajemnych grzeczności postanowiliśmy udać się do pałacu, aby przedstawić się królowi Kwaternostrowi I.

Na ulicach był wielki ruch, gdyż właśnie obchodzono uroczyste rocznicę lądowania Bajdotów i dziewczęta znosiły zewsząd naręcza kwiatów pod pomnik Apolinarego Mruka.

Udaliśmy się wraz z tłumem w kierunku placu Przyjaźni Alamakotańsko-Bajdockiej, który nazwano w skrócie placem A-B.

Pan Kleks kroczył wielce zakłopotany, tarmosząc w zamyśleniu brodę.

Nagle przystanął, owinął wąż dokoła palca i zawołał z tryumfem:

- Eureka! Mam! W Alamakocie przebywa trzynastu Bajdotów, wliczając w to króla Kwaternostrę. Nas jest tu trzech. Dochodzą jeszcze córki pana Lewkonika. Razem dwadzieścia dwie osoby z gatunku dwunożnych. Trzeba sporządzić dokładny wykaz. Kto znajdzie się poza tą liczbą, kto nie będzie figurował w spisie, a okaże się dwunożnym, tego zdemaskujemy jako Alojzego Bąbla. Poznamy go po nogach. Oto mój plan, proszę państwa.

Słowa pana Kleksa wzbudziły ogólny podziw, a Weronik raz jeszcze podrzucił go do góry. W tym momencie znaleźliśmy się właśnie przy pałacowej bramie.

O, tak! Pan Kleks był naprawdę genialny.

Mieliśmy właśnie wejść do pałacu i warta sprezentowała broń, gdy nagle nadleciał mój znajomy koliberek i usiadł mi na ramieniu. Wyznał mi, że bardzo się do mnie przywiązał i że będzie mi odtąd towarzyszył aż do pierwszych jesiennych deszczów. Koliber porozumiewał się ze mną w narzeczu tri-tri, używanym przez ptaki południowoafrykańskie, toteż dla uproszczenia przezwąłem go Tri-Tri, co nawet pan Kleks uznał za bardzo trafne.

Pałac królewski zbudowany był z dużych muszli, zestrojonych w tak misterny sposób, że gdy wchodziło się do sali tronowej, ich szum rozbrzmiewał dźwiękami hymnu narodowego Alamakoty. Ponieważ muszle nanizane były na wysokie stalowe pręty, które obracały się dokoła swej osi, nadworny muzyk odpowiednio wprawiając je w ruch, mógł zmieniać melodie i wygrywać na muszlach stosownie do okoliczności różne alamakotańskie marsze. Przy dźwiękach hymnu narodowego zbliżyliśmy się do królewskiego tronu, który wykonany był w kształcie fregaty wyposażonej w żagle, ster i mostek kapitański. Z tego mostku król wygłaszał orędzia do narodu. Trzeba bowiem pamiętać, że Kwaternoster I był starym marynarzem i zasłynął niegdyś jako kapitan Kwaterno.

- Witam, cię królu - powiedział poufale pan Kleks. - Pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół. Oto pan Lajkonik...

- Lewkonik - poprawił hodowca róż.

- Tak tak... Przepraszam... Pan Lewkonik... A to są jego kwiatuszki, czyli pięć córek...

A, to pan Wazonik...

- Weronik panie profesorze - przerwał mu stary dozorca.

- Wybacz, drogi przyjacielu, ale nie przywiązuję wagi do nazwisk - rzekł wielki uczonec. - Ważny jest nie człowiek, lecz jego dzieło. O Ambrozym Kleksie ludzkość może zapomnieć, ale mój twór, Alojzy Bąbel przejdzie do historii. Tak jak do historii przejdą czyny sławnych bajdockich żeglarzy z królem Kwaternostrem I na czele. Niech żyje król!

- Niech żyje! - zawołaliśmy chórem, a muszle powtórzyły nasze głosy wielokrotnym echem. Dworzanie uderzali przy tym zegarkami o podłogę, wskutek czego powstał taki zgiełk, że Tri-Tri przerażony uciekł przez okno.

- Jeszcze nie skończyłem! - zawołał pan Kleks uciszając Alamakotańczyków. - To jest właśnie mój uczeń, Adam Niezgódka, o którym ci, królu, opowiadałem.

Przez cały ten czas król zajęty był gorączkowym poszukiwaniem okularów, bez których nic nie widział, ale nie mógł ich rzecz prosta znaleźć, ponieważ nic nie widział bez okularów.

Sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Dla wszystkich było jasne, że słowa pana Kleksa nie docierają do króla, pochłoniętego całkowicie sprawą okularów. Natomiast nikt z dworzan nie pośpieszył mu z pomocą, gdyż oni z kolei zajęci byli wyłącznie swoimi zegarkami.

Pan Kleks przerwał przemówienie, a Róża i Dalia zaczęły chichotać, co mogło króla urazić. Na szczęście pan Ludwik dostrzegł okulary wystające z królewskiego buta, przyskoczył z lekkością balonika i dwornym gestem podał je Kwaternostrowi I. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Wtedy król wszedł na mostek kapitański i raczył tak do nas przemówić po alambajsku, co przytaczam tu w przekładzie na nasz język: - Piękne panie, panie profesorze, panowie! Przypuszczam, że zwrot „piękne panie” król przygotował sobie wcześniej, zanim jeszcze znalazł okulary, przez które miał możliwość przyjrzeć się pannom Lewkonikównom. - Na ziemi alamakotańskiej - ciągnął Kwaternoster I - możecie się czuć jak u siebie w domu. Ludność kraju zajmuje się hodowlą kur. Co roku wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków. Jak mieliście okazję zauważyć, moi wierni poddani zgodnie z wiekową tradycją uderzają zegarkami o ziemię. Nie sprzyja to niestety ich mechanizmom. Dlatego też Alamakotańczycy cały wolny czas zużywają na rozbieranie zegarków, ale nikt nie potrafi złożyć ich z powrotem. Co z tego wynika dowiecie się, gdy zwiedzicie nasz słynny Rezerwat Zepsutych Zegarków. Stanowi on największą osobliwość naszego kraju...

Na podstawie słów Kwaternostera I wszyscy zebrani na sali Alamakotańczycy

uderzyli parokrotnie zegarkami o posadzkę.

Pan Kleks poprzednio słyszał już królewskie przemówienie, przerwał więc królowi i rzekł roztropnie:

- Pozwolisz, najjaśniejszy panie, że wezmę na siebie przyjemność poinformowania moich przyjaciół o zwyczajach tego kraju. Jeśli zaś chodzi o nas, to mamy tylko jedno życzenie: chcielibyśmy spotkać się na twoim dworze ze wszystkimi Bajdotami, którzy osiedlili się w Alamakocie. Mamy z nimi bardzo ważne sprawy do załatwienia.

- Świetnie! - zawołał Kwaternoster I, uradowany, że nie musi dłużej przemawiać, gdyż jak wiadomo, prawdziwi marynarze nie lubią gadać bez potrzeby. -Zapraszam was na wieczurne przyjęcie; które urdbędzie się dziś z urkazji święta narurdurwegur.

Wobec zakończenia części oficjalnej król zeskoczył z kapitańskiego mostku, a minister dworu kazał zwinąć żagle fregaty i opuścić flagę.

Kwaternoster I był to postawny, krzepki mężczyzna w sile wieku, o rudawym zaroście i ryżej bródce w szpic. Alamakotańskim zwyczajem był obnażony do pasa, a na piersi i na ramionach miał wytatuowaną zwycięską bitwę morską, w której rzekomo dowodził, a nawet bohatersko zginął, co przecież było zmyślane od początku do końca.

- A zatem dur zurbaczenia wieczurrem - rzekł uprzejmie Kwaternoster I i wachlując się palmowym liściem, opuścił salę tronową.

- Adasiu - szepnął do ucha pan Kleks - wszyscy Bajdoci, jako byli marynarze, są wytatuowani. To ułatwi nam rozpoznanie Alojzego. Uważaj, bądź czujny!

Ponieważ mieliśmy przed sobą cały dzień, udaliśmy się na zwiedzanie miasta.

Alamakotanki wydały się nam bardzo ładne. Używają one do mycia twarzy, jak poinformował nas pan Kleks, soku owocu gungo, który zawiera w sobie składniki upiększające. Z racji podzwrotnikowych upałów krajowcy chodzą obnażeni do pasa, nie mają

więc do czego przypinać orderów i malują je sobie wprost na piersi. A wszelkich odznaczeń w Alamakocie jest bardzo wiele. Za szczególnie zaszczytny uważa się Order Wielkiej Kury, następnie Krzyż Alambajskiego Współistnienia, Order Grającej Muszli przyznawany wybitnym muzykom, Order Trzeciej Nogi za strzelenie piłki do bramki, Krzyż Trzeciej Ręki za usmażenie najsmaczniejszej jajecznicy, a nadto medale „Za łapanie komarów”, „Za jazdę na hulajnodze”, „Za puszczenie bąbelków” oraz wiele innych.

Weronik zaglądał do bram domów, gdzie doraźnie udzielał dozorcóm cennych rad i wskazówek, a nawet dawał pokazy wzorowego sprzątania. Natomiast pan Lewkonik wypytywał przechodniów o miejscowych ogrodników i notował ich adresy. Pan Kleks pogrążony był w zadumie, na próżno więc usiłowałbym opowiedzieć mu o moich rodzinnych kłopotach. Musiałem odłożyć rozmowę z nim do bardziej stosownej chwili, a na razie pomagałem Lewkonikównom zrywać owoce gungo, z których wyciskały sok i nacierały sobie nim twarze.

Alamakotańczycy chętnie z nami rozmawiali, uśmiechali się życzliwie, a jeden z nich, imieniem Zyzik, służył nam za przewodnika. Był to trzyręki młodzieniec, po czym poznaliśmy że jest synem Bajdoty.

Zyzik potwierdził fakt, że w Alamakocie osiedliło się dwunastu Bajdotów nie licząc króla i że sześciu spośród nich zajmuje stanowiska ministrów.

- Czy wszyscy Bajdoci są tatuowani? - zapytał od niechcienia pan Kleks.

- Wszyscy oprócz jednego - odrzekł młodzieniec.

- To on! - szepnął do mnie pan Kleks. - Ale w takim razie musi ich być o jednego więcej. Wieczorem sprawdzimy. Liczę na ciebie!

- Pozostali - ciągnął młodzieniec - piastują również wysokie godności państwowe.

Mój ojciec na przykład jest Dyrektorem Królewskich Ogrodów i ma pod sobą pięćdziesięciu



uczonych ogrodników.

- Słyszycie, dziewczęta? - zawołał pan Lewkonik. - Pięćdziesięciu ogrodników! To coś dla was! Niech żyje Alamakota!

Przechodnie obejrżeli się za nimi ze zdziwieniem, a Rezeda rzekła niepewnie:

- Zapominasz, ojczy, że oni są trzynożni. Która z nas potrafi dotrzymać kroku takiemu mężowi?

- Istotnie - westchnęła Dalia - takiego szybkobiegacza trudno dogonić. Łatwo może umknąć.

Biedna Dalia! Wiedziała zapewne, że nie może liczyć na swoją urodę. Spojrzeliśmy na nią ze współczuciem wszyscy równocześnie. Spojrzeliśmy i, o dziwo, własnym oczom nie mogliśmy uwierzyć. Sok owocowy gungo zaczął już działać. Nie tylko Dalia, ale wszystkie siostry były zupełnie odmienione. Właściwe rysy, kształt nosa, usta, oczy pozostały te same. Ustąpiły jedynie cechy brzydoty. Mieliśmy przed sobą pięć ślicznych, pełnych wdzięku panien.

Pan Lewkonik trzykrotnie nacisnął brodawkę na nosie, żeby przekonać się czy nie śni.

Weronik przyglądał się Piwonii z takim zachwytem, jakby zapomniał już całkiem o swojej nieboszczce żonie i o swoich siedemdziesięciu latach. Tylko pan Kleks powiedział rezolutnie:

- Uważajcie jednak, moje drogie, żeby nie przefajnować. Żona nie powinna być za ładna.

Chciał jeszcze coś dodać, ale w brodzie zaplątał mu się jakiś ptaszek i żałośnie kwilił.

Zabrałem się ostrożnie do rozgarniania jedwabistych gąszczów słynnej samoczynnej brody.

Po żmudnych zabiegach, przy pomocy Hortensji udało mi się wreszcie uwolnić uwikłanego ptaszka. Oczywiście byt to Tri-Tri. Usiadł mu na ramieniu, wesoło pogwizdując, i ruszyliśmy w dalszą drogę za naszym przewodnikiem.

Jak już wspomniałem, główna ulica wiała się spiralnie od placu A-B w kierunku portu.

Przecinało ją mnóstwo poprzecznych uliczek. Trzypiętrowe kolorowe domki tonęły w kwiatach. Pan Lewkonik z wielką znajomością rzeczy wymieniał ich łacińskie nazwy, ale nas zachwycaly przede wszystkim barwy i zapachy.

- Papaver orientale! - wołał pan Lewkonik. - Co za piękny okaz! A to - rosa

multiflora! Moja specjalność. O, proszę spojrzeć, panie profesorze, to jest dracaena fragrans!

Należy ją podlewać umiarkowanie, a za to często spryskiwać.

Nikt nie słuchał hodowcy róż, gdyż byliśmy zmęczeni, zgrzani i głodni. Wstąpiliśmy

przeto do pobliskiej zajezdni, alamakotańskim zwyczajem wypożyczyliśmy sobie motorowe

hulajnogi i ruszyliśmy jedną z bocznych uliczek w kierunku zamiejskich kopulastych

budowli.

Były to kurze farmy - chluba Alamakoty. Rozpościerały się one dokoła miasta na

wielkich przestrzeniach i rozbrzmiewały nieustającym pianiem kogutów. Trzynożne i

trzyrękie postacie Alamakotańczyków uwijały się pomiędzy kurami, podbierając jajka. Kury

te należą do nader osobliwej, małomównej rasy i posługują się bardzo pierwotną gwara,

ograniczoną właściwie do wyrażania tylko trzech pojęć. Jedno z nich to „chcę jeść i pić”,

drugie - „za chwilę zniosę jajko”, wreszcie trzecie - „proszę mi nie zawracać głowy”.

Natomiast koguty zdradzają znacznie szersze zainteresowania, trafnie przepowiadają pogodę,

wskazują czas, a nadto umieją pisać na głosy różne wojskowe marsze, co jest o tyle dziwne, że

w Alamakocie nie ma ani wojska, ani wojskowej orkiestry.

Opowiadał nam o tym przy innej okazji minister Pokoju, pulchny i wesoły Fajatron.

Otóż Alamakotańczycy nie posiadają armii, gdyż wzorując się na legendarnych przodkach,

wolą uciekać przed wrogiem niż ginąć w obronie swoich kur. W tym celu właśnie, przy

pomocy odpowiednich zabiegów i zastrzyków wyhodowali sobie trzecią, szybkobieżną nogę.

Weronik, którego pradziad służył w słynnej brygadzie repelentów i zginął pod Białą Muszką w walce o wyzwolenie zielonoskórych Cytrusów, powiedział z niesmakiem:  
- Wolałbym nie mieć ani jednej nogi, ale maszerować naprzód, niż uciekać na trzech nogach.

Uwaga ta pozbawiona była sensu, gdyż Alamakota nie figuruje na żadnej mapie świata. Dlatego też nie posiada wrogów, a więc nie potrzebuje wojska ani do maszerowania naprzód, ani do uciekania. Natomiast minister Pokoju prowadzi doroczne walki kogutów, organizuje obozy szkoleniowe dla zawodników oraz przyznaje właścicielowi zwycięskiego koguta Przechodni Kieliszek do Jajek. Zdobywca takiej nagrody ma prawo przez cały rok w każdą niedzielę zjadać po jednym jajku. Jest to wielkie wyróżnienie, gdyż pozostali obywatele pozbawieni są tego przysmaku. Jajka sprzedawane są wyłącznie za granicę, a do ich transportu służą specjalne jajostatki i poduszkowce, które żeglują pod obcą banderą, żeby państwa ościenne nie mogły się zorientować, gdzie leży Alamakota.

Alamakotańskie jajka różnią się od naszych tylko tym, że są różnokolorowe jak Wielkanocne kraszanki.

Gdy wkroczyliśmy na tereny hodowlane, oczom naszym przedstawił się imponujący widok. Po rozległych błoniach spacerowały tysiące kur, natomiast koguty w obrózkach siedziały na werandach swoich kopulastych domków i uwiązane były do nich cienkimi łańcuszkami. O świcie i o zmierzchu spuszczano je z łańcuszków na spotkanie z rodzinami. Wtedy właśnie miały zwyczaj pisać Marsza Ołowianych Żołnierzy i w ten sposób regulowały życie w Alamakocie, gdyż zegarki, jak wiadomo, służyły tam do zgoła innego celu. Olbrzymie przestrzenie jak okiem sięgnąć, zasłane były kolorowymi jajkami, które swymi barwami zwabiały mnóstwo motyli i ptaków. Tri-Tri; fruwał i szybował wśród nich bez opamiętania i co chwila przynosił mi wieści o świeżo zniesionych jajkach. Nie mógł

jednakże nadążyć z rachunkami, zachłystywał się własnym szczebiotem i dalsze liczby wystukiwał mi dziobkiem na nosie, co nie należało do przyjemności. W końcu dałem mu takiego prztyczka, że zostawił mnie w spokoju.

Pan Kleks wtajemniczył nas w dzieje kurzego jajka na przestrzeni wieków i opowiedział historię następującą:

- W państwie Kukurycji w trzecim wieku przed naszą erą król Bambosz Koślawy zażądał od kur, aby znosiły jajka z płaskim denkiem, jako że kieliszki od jaj w tych odległych czasach nie były jeszcze znane. Kury się zbuntowały i zamiast kurcząt wysiedziały z jajek szarańczę, która odtąd bezlitośnie pustoszyła kraj.

Kukuryci Postanowili szukać schronienia w Kudkudacji. Ale gdy przedzierali się przez moczary i błota, padli pastwą pijawek. Ocalało ich tylko siedmioro. Zabłąkani w nieznanym terenie zbiegowie wędrowali przez wiele miesięcy, aż dotarli do krainy zamieszkaną przez całkiem inne kury. Tu więc osiedli i stali się w ten sposób założycielami Alamakoty. Tak głosi legenda.

- Ciekawe! - powiedział Weronik. - Gęsi uratowały Rzym, a kury spowodowały zagładę Kukurycji. Teraz rozumiem, dlaczego zawsze wolałem pieczoną gęś niż jakąś tam kurę z rosółu.

- Zapamiętajcie, dziewczęta! - zwrócił się pan Lewkonik do swoich córek. - Mężowie lubią pieczone gęsi. To bardzo ważny punkt w małżeństwie.

Pan Kleks oblizał się i zawołał:

Dość tego! Jestem głodny a wy swoimi rozmowami zaostacie mi apetyt. Zyziku, mógłbyś pomyśleć o jakimś posiłku dla nas.

Zyzik, który jedną ręką prowadził Rezedę, a drugą Dalię, uderzył się trzecią ręką w czoło i rzekł zawstydzony:

- Drurdzy curdzurziemcy, prurszę orprzejmie, zaraz dustaniemy purdwieczurrek!

Po czym zaprowadził nas do dużego okrągłego budynku, skąd wyszedł bardzo wytworny siwy Alamakotańczyk.

- Jestem wielce zaszczycony tą niecodzienną wizytą - rzekł drepcząc dokoła nas na swoich trzech nogach. - Odwiedziny cudzoziemców są u nas rzadkością. Alamakota nie figuruje na żadnej mapie świata i to uchroniło nas przed zachłannością kolonizatorów. Nie sądzę, abym kogokolwiek tymi słowami uraził, gdyż - o ile mi wiadomo - mam przed sobą nie polityka, lecz słynnego uczonego. Czy tak?

Pan Kleks stanął na jednej nodze, rozczesywał sobie brodę palcami prawej ręki i rzekł uroczyście:

- Jam jest Ambroży Kleks, doktor wszechwiedzy, magister spraw zmyślonych, założyciel i profesor Akademii mego imienia, asystent słynnego doktora Paj-Chi-Wo. To wszystko. A czy mógłbym wiedzieć, z kim mam przyjemność?

- O, ja jestem tylko ministrem Hodowli Kur w rządzie Jego Królewskiej Mości - rzekł skromnie siwy Alamakotańczyk. - Nazywam się Paramontron. Końcówka „tron” wskazuje na to, że jestem członkiem rządu, czyli podporą tronu. Należy to traktować jako dodatek ministerialny.

- Nazywam się Anemon Lewkonik - przedstawił się z godnością hodowca róż. - A oto moje córki.

Paramontron podskoczył na jednej z trzech nóg i dwukrotnie skłonił się przed dziewczętami.

- A ja jestem Weronik Czyścioch, dypl... - zaczął stary dozorca. ale pan Kleks mu przerwał:

- Dosyć, dosyć, panie Wazonik, nie mamy czasu na te wszystkie ceremonie

- Miło mi państwa powitać - podjął znów ministron - Znajdujecie się obecnie w

Instytucie Smażenia Jajeczniczy. Zespół moich uczonych kuchmistrzów opracował sto szesnaście sposobów przyrządzania tej potrawy. Pozwólcie, państwo, na podwieczorek do naszej probierni.

- Nareszcie dostaniemy coś do zjedzenia! - zawołał pan Lewkonik. - umieram z głodu!

Paramotron uśmiechnął się wyrozumiale i wprowadził nas do sali, gdzie pośrodku stała olbrzymia patelnia.

- Oto patelnia-gigant - rzekł ministron. - Mogę stwierdzić z dumą, że jest to największa patelnia na świecie. Jednorazowo można usmażyć na niej jajecznicę z dwóch tysięcy jaj. Na dnie patelni widzicie kilkadziesiąt zagłębień. Daje to możliwość smażenia jajeczniczy według stu receptur jednocześnie.

- Coś podobnego! - zawołał olśniony Weronik. - To chyba największe osiągnięcie alamakotańskiej techniki!

- Koledzy - zwrócił się ministron Paramontron do swoich pomocników w białych kitlach - bądźcie łaskawi usmażyć dla naszych gości jajeczniczy według receptury nr 76.

Młodzi Alamakotańczycy, których większość należała do trzyrękich, włączyli prąd i z wprawą zonglerów cyrkowych zaczęli podrzucać w górę kilkadziesiąt kolorowych jajek naraz, po czym rozbijali je w locie i z małpią zręcznością odrzucali puste skorupki.

Tymczasem na patelni skwierczało już masło, obracały się automatyczne mieszalniki, a z umieszczonych pod sufitem szczyptomierzy sypała się sól. Po pięciu minutach siedzieliśmy przy stolikach i zajadaliśmy jajecznicę w kilku smakach, a więc z pomidorami, z papryką, ze szczypiorkiem oraz z kiełbasą, i popijaliśmy ją aromatycznym sokiem owocu gungo.

Panu Lewkonikowi jak zwykle przeszkadzał brzuch, ale poczciwa Hortensja

podtrzymywała mu talerz pod samą brodą, dzięki czemu zgłodniały hodowca róz mógł najeść

się tym razem do syta.

Podziękowaliśmy ministronowi za pyszny podwieczorek, a ponieważ zapadał już zmierzch, czas było wracać do miasta. Właśnie koguty spuszczone z łańcuszków zapiąły Marsza Ołowianych Żołnierzy. Pożegnaliśmy uprzejmego gospodarza, uruchomiliśmy nasze hulajnogi i opuściliśmy kurzą farmę.

- Zdążymy jeszcze zwiedzić Rezerwat Zepsutych Zegarków - rzekł Zyzik.

Tu jednak zabrał głos pan Lewkonik:

- Przepraszam... Co nas obchodzą zepsute zegarki?! Dla mnie i dla moich córek o wiele ważniejsze są królewskie ogrody.

- A zwłaszcza królewscy ogrodnicy - mruknął Weronik.

- Rozumiem - zmieszał się Zyzik - wolałbym jednak uprzedzić ojca o wizycie.

- Panie Anemonie - wtrącił rozsądny jak zwykle Weronik - przecież kwiaty ogląda się w dzień, a nie wieczorem. To samo w znacznie większym stopniu odnosi się do ogrodników.

Po ciemku wszystkie koty są bure!

- Przepraszam - rzekłem tym razem ja - zapomnieliśmy o naszych bagażach. Trzeba je sprowadzić z portu. Panie Weroniku, pan musi się tym zająć.

- Bagaże to moja specjalność - powiedział ochoczo stary dozorca, który nieraz wnosił i znosił walizki moich rodziców. - Nie wiem tylko, dokąd je dostarczyć, Nie mamy w Alamakocie adresu, za przeproszeniem.

- Mieszkam w pałacu ministrona Limpotrona - rzekł pan Kleks. - Wystarczy tam miejsca dla wszystkich. Mój stary przyjaciel Limpo, sternik z wyprawy na tratwie, został tu ministronem Pogody i Czterech Wiatrów. To bardzo gościnny człowiek, tylko trochę lekkomyślny. Wydaje mu się, że umie przepowiadać pogodę, podczas gdy powszechnie wiadomo, że robią to za niego alamakotańskie koguty.

- Ja pana zaprowadzę. Znam ten pałac -powiedział Zyzik, po czym wraz z Weronikiem puścili się na hulajnogach w kierunku portu.

Zauważyliście zapewne, że w Alamakocie nie widać żadnych zwierząt pociągowych ani miejskich środków lokomocji. Wszyscy poruszają się pieszo bądź na hulajnogach jedno- albo dwubieżnych. I tylko wysocy dygnitarze mają do dyspozycji hulajnogi czterokolorowe, które przypominają nieco kolejowe drezyny. Zresztą wspomniałem już przedtem, że trzynożni Alamakotańczycy pokonują przestrzeń pieszo z szybkością antylop. Natomiast Kwaternoster I w czasie podróży służbowych używa fregaty na kółkach popychanej wiatrem albo holowanej przez nadwornych hulajnożników.

Wróćmy jednak do naszych spraw gdyż właśnie pod przewodem Pana Kleksa wkroczyliśmy do Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Odgrywa on równocześnie rolę muzeum narodowego, zabytku historycznego oraz parku kultury.

Otacza go mur zbudowany z cyferblatów o fosforyzujących cyfrach. Sączą one łagodne zielonkawe światło i teraz, chociaż zapadł już wieczór, w rezerwacie było całkiem widno jak podczas pełni księżyca.

Wzdłuż ścieżek ubitych z metalowych sztyficików wznoszą się piramidy poszczególnych części zegarkowych mechanizmów.

W czterech rogach rezerwatu górną ponad innymi piramidami równo ułożone stosy kopert niklowych, oksydowanych, srebrnych i złotych.

Jedna piramida składa się z samych wahadełek, następna ze sprężyn, jeszcze inna - z zębatych kółek. Po bokach połyskują w zielonkawym świetle ułożone w kształcie stożków szkiełka od zegarków. Pomiedzy nimi widać pryzmy ze wskazówkami, przy czym wskazówki sekundników przypominają kolczastą roślinę w rodzaju ostu.

Rubiny, używane w zegarkach jako łożyska, stanowią Piramidę centralną. Na jej



szczytce umieszczony jest portret Kwaternostrą I, skomponowany misternie z guziczków do nakręcania zegarków, inkrustowany łebkami stalowych śrubek.

Portret nieustannie obraca się na swojej osi, tak że z każdej strony można podziwiać dobrotliwą twarz monarchy.

W rezerwacie krzątało się kilkunastu dozorców, którzy miotełkami z kogucich piór na długich prętach bez przerwy odkurzali lśniące piramidy, a zwłaszcza królewski portret. Przy stosie rubinów czuwał specjalny urzędnik z pancerną skrzynią, do której na noc przesypywano drogocenne kamienie, a dwaj rachmistrze obliczali je i wpisywali do wielkiej księgi.

Na ścieżkach rezerwatu tłoczyły się liczne wycieczki szkolne, gdyż dzieci na całym świecie ogromnie interesują się tym, co zegarki mają w środku.

Pan Kleks, który nieomylnie umie formułować złote myśli, zawołał:

- Z ludźmi jest tak jak z zegarkami! Najważniejsze jest to, co mają w środku. - Po czym stanął na jednej nodze, zamyślił się i rzekł z niekłamanym zachwytem: - Spójrzcie! Czy widok ten nie jest piękniejszy niż wszystkie zegarki razem wzięte? Czy to niesłuszne, że lśniące kółka, sprężynki i wahadełka, więzione we wnętrzach zegarków, znalazły się na wolności? Na to, by podziwiać perłę, trzeba ją wyjąć z muszli. Podobnie jest z zegarkami. Jeśli się chce podziwiać piękno ich mechanizmu, trzeba zegarki wypatroszyć. A do wskazywania pory dnia wystarczą koguty! Zresztą prawdziwy mędrzec ma poczucie czasu w końcach palców i nie potrzebuje spoglądać na zegarek. Ja na przykład wiem, że zapadł wieczór i że czas już iść na przyjęcie do króla. Panie i panowie, ruszamy!

W tej samej chwili rozległ się gong na znak, że należy opuścić rezerwat, a odźwierny nawoływał do wyjścia. Za bramą czekała nas jednak przykra niespodzianka. Gdy chcieliśmy uruchomić nasze hulajnogi, okazało się, że wszystkie zostały pozbawione kół. Wtedy dopiero

przypomniałem sobie, iż jeden z dozorców wydał mi się dziwnie znajomy.

- Panie profesorze - zawołałem - to znów sprawka Alojzego! Widziałem go! To był na pewno on!

Z oddali doleciał nas charakterystyczny chichot. Teraz nie mieliśmy już wątpliwości.

- Szelma! - westchnął pan Kleks. - Trudno. Pójdziemy piechotą. Musimy się śpieszyć, bo to kawał drogi, a nie posiadamy szybkobieżnych alamakotańskich nóg.

Ale w tym właśnie momencie z ciemności wyłonił się zdyszany pan Lewkonik wołając przerażonym głosem:

- Nie ma Rezedy! Rezeda zginęła! Hortensja jest... Dalia jest... Piwonia Róża...

Wszystkie są! Tylko Rezedy nie ma! Szukaliśmy jej wszędzie... Ona zawsze się nas trzymała.

Moja córka! Moje dziecko! Moja Rezeda! O, ja nieszczęśliwy! Panie profesorze, co się z nią mogło stać?

- Niech pan zachowa spokój godny hodowcy róż - odrzekł pan Kleks. - Jestem i czuwam. Moja broda także czuwa. Pańska Rezeda została porwana. Tak! Porwał ją stworzony przeze mnie mechaniczny człowiek, Alojzy Bąbel. To jego sprawka.

I podczas gdy pan Lewkonik wydawał rozmaite rozpaczliwe okrzyki pan Kleks stanął na jednej nodze, rozpostarł brodę i zamyślił się tak głęboko, jak chyba nigdy dotąd.

## **OPOWIEŚĆ ANEMONA LEWKONIKA**

Nie przeszkadzajmy panu Kleksowi. Niech sobie myśli w spokoju i skupieniu. A ja skorzystam z okazji i przez ten czas opowiem wam o rodzinie Lewkoników. Myślałem, że będziemy mogli bez tego się obejść, ale wobec zniknięcia Rezedy muszę podzielić się z wami pewnymi wiadomościami z dziejów tej osobliwej rodziny.

W drodze do Alamakoty, na pokładzie „Płetwy Rekina”, siadywałem wieczorami z panem Lewkonikiem na rufie statku. Szukaliśmy tam powiewu i ochłody po upalnym dniu.

Podczas gdy pozostali pasażerowie szli do swoich kajut, my dwaj siedzieliśmy na zwojach lin i prowadziliśmy długie rozmowy, które przeciągały się nieraz do późnej nocy.

Wtedy właśnie opowiedziałem panu Lewkonikowi o panu Kleksie, o Alojzym i o tym, co przydarzyło się moim rodzicom.

Z kolei pan Lewkonik wtajemniczył mnie we wszystkie sprawy dotyczące jego rodziny. A nic tak ludzi nie zbliża, jak wzajemne powierzenie sobie sekretów. Toteż w krótkim czasie zawiązała się pomiędzy nami przyjaźń i mówiliśmy o wszystkim z całą otwartością.

A oto opowieść hodowcy róż, którą zapamiętałem bardzo dokładnie:

„Nazywam się Anemon Lewkonik. Rodziców straciłem we wczesnym dzieciństwie

Wychowywałem się u dziadka, który był słynnym hodowcą kaktusów. Od najmłodszych lat interesowałem się botaniką, zbierałem zioła i kwiaty, uczyłem się ich łacińskich nazw. W siódmym roku życia ułożyłem rymowany słownik roślin kompasowych, czyli takich, które wskazują cztery strony świata. Pracowałem chętnie w ogrodach i cieplarniach dziadka, a nawet pomogłem mu wyhodować kaktus, który o zachodzie słońca gwizdże jak kos.

Z biegiem czasu zdobyłem tak rozległą wiedzę, że sam poczyniłem wiele ciekawych prób krzyżowania kwiatów z owadami i ptakami. Zacząłem też stosować rozmaite substancje, które nadawały kwiatom szczególne własności. Wyhodowałem jadalny anemon o smaku chałwy. Udało mi się również uzyskać astry fruujące jak motyle. Nie będę zresztą opowiadał o mniej ważnych osiągnięciach. Przejdę od razu do sprawy, która zaważyła na całym moim życiu.

Otóż pewnego dnia, a miałem wtedy lat dziewiętnaście, po wielu nieudanych próbach zdołałem wreszcie doprowadzić do pomyślnego końca najtrudniejsze z moich zamierzeń.

Przy zastosowaniu specjalnej energii, odkrytej swego czasu przez profesora Kleksa, a znanej

powszechnie pod nazwą energii kleksycznej, udało mi się wyhodować całkiem nowy gatunek lewkonii o właściwościach wręcz niezwykłych...”

W tym momencie rozległ się tubalny głos kapitana, który był zajęty rozwiązywaniem nowej krzyżówki:

- Roślina z siedmiu liter, „u” w środku, hej?!

- Bluszcz - zawołał pan Lewkonik, po czym snuł dalej swoją opowieść:

Otóż kwiat, który wyhodowałem z takim trudem, nosi nazwę Lewkonii Podróżniczej.

Wystarczy ją powąchać, żeby zapaść w sen podróżniczy i przenosić się do obcych krajów, jakby to było na jawie. Człowiek pogrążony w takim śnie zwiedza nieznanne miasta, a wszystko, co widzi albo słyszy, jest najzupełniej zgodne z rzeczywistością i pozostaje na zawsze w jego pamięci.

Jestem pierwszym człowiekiem, któremu udało się zrealizować ten śmiały zamysł.

Postanowiłem nie dopuszczać nikogo do mojej tajemnicy i w tym celu ukryłem cudowny kwiat w niedostępnych gąszczach ogrodu, gdzie nigdy dotąd nie postąpiła noga ludzka. Odtąd co noc potajemnie wykradałem się z domu, wachałem moją lewkonię, zapadałem w sen i odbywałem dalekie podróże. A kiedy nazajutrz sprawdzałem w atlasach i podręcznikach geografii moje podróżnicze sny, wszystko zgadzało się co do joty z istotnym stanem rzeczy.

W ten sposób zdołałem zwiedzić wiele ciekawych krajów, a więc Palemonię, Abecję, Parzybrocję, Wyspy Gramatyczne, Patentonię, a także Nibycję. Sen podróżniczy kończył się zwykle o świcie i wtedy niepostrzeżenie wracałem przez okno do mego pokoju, zanim dziadek mógł zauważyć moją nieobecność. Dziwiło go tylko, że jestem stale przesiąknięty zapachem lewkonii. Często więc powtarzał:

- Człowiek zawsze ma w sobie coś ze swego nazwiska.

Pewnej nocy, gdy powąchałem moją lewkonię i pogrążyłem się znowu we śnie

podróżniczym, przenieśliem się do kraju, którego później nie zdołałem znaleźć na żadnym globusie świata ani żadnej encyklopedii. Była to mała wysepka, leżąca samotnie na oceanie. Nazywała się Wyspą Sobowtórów. Opowiem o niej tylko rzeczy najistotniejsze. Wiadomo, że istnieją kraje zamieszkałe przez kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt plemion i szczepów posługujących się odrębnymi językami.

Na Wyspie Sobowtórów zjawisko to występowało w postaci zgoła niespotykanej. Każdy mieszkaniec mówił tam swoim własnym językiem. Ludność wyspy liczyła dwadzieścia siedem tysięcy osób, nietrudno więc obliczyć, że tyleż rozmaitych języków używano w tym kraju równocześnie. Wobec tego ludzie mogli porozumiewać się z sobą jedynie dzięki wspólnym samogłoskom natomiast korespondencję prowadzili przy pomocy alfabetu Morse'a, który, tak jak u nas, znały nawet dzieci.

Można się domyślić z samej nazwy wyspy, że zamieszkiwały ją wyłącznie sobowtóry. Były to jakby zapasowe egzemplarze różnych znakomitych ludzi, prawdopodobnie na wypadek, gdyby dla któregoś z nich czas jego życia okazał się za krótki.

Sobowtórów obierano drogą losowania spośród wybitnych uczonych, wynalazców, artystów i podróżników. Spostrzegłem wśród nich pana Kleksa oraz sobowtóry innych osobistości.

Przyznaję, że byłem mile zdziwiony, gdy przemierzając wyspę ujrzałem przed jednym z domów postać podobną do mnie jak dwie krople wody. A zdziwiłem się dlatego, że byłem jeszcze mało znanym, młodym hodowcą kwiatów i nie sądziłem, aby sława moja dotarła aż do tego dalekiego kraju.

Mój sobowtór zaprosił mnie do swego domu. Jak można przewidzieć, mówiliśmy wspólnym językiem. Dowiedziałem się więc bez trudu, że mam przed sobą hodowcę kwiatów, równie osobliwych jak moje, a jego największym osiągnięciem była, ni mniej, ni

więcej tylko dokładnie taka sama Lewkonia podróżnicza. Nadto okazało się, że wskutek szczególnego zbiegu okoliczności człowiek ten nazywa się Anemon Lewkonik. Nie miałem tedy żadnej wątpliwości, że spotkałem własnego sobowtóra, co na tej wyspie można było uważać za rzecz całkiem naturalną.

Podobieństwo między nami było wprost uderzające. Patrząc na tego drugiego Lewkonika, odniosłem wrażenie, że przeglądam się w lustrze. Miał identyczną brodawkę na nosie, złoty ząb z prawej strony i nawet taki sam krawat w groszki. Uradziliśmy, że dla odróżnienia on będzie czesał się na jeża, a ja z przedziałkiem. Nadto, aby ułatwić sobie obcowanie z innymi mieszkańcami wyspy, postanowiłem nazwać go Anemon-Lusterko, co miało wskazywać, który z nas dwóch jest sobowtorem.

Od pierwszej chwili pokochaliśmy się jak bracia i bez trudu odgadywaliśmy swoje myśli, nawet najskrytsze.

Ale była jedna rzecz, którą różniliśmy się od siebie. Anemon-Lusterko miał siostrę. Gotów byłem przysiąc, że na całym świecie nie ma dziewczyny równie pięknej, i wobec tego nie wierzyłem, aby mogła być czymkolwiek sobowtorem. Miała płeć delikatną jak płatki dalii, oczy złociste jak rezeda, usta pąsowe jak piwonia, głowę trzymała dumnie jak hortensja, a wokół niej unosił się zapach róż. I trudno byłoby wybrać dla niej odpowiedniejsze imię niż to, które nosiła. Nazywała się Multiflora.

Dotąd ze snów podróżniczych budziłem się zazwyczaj o świcie i wracałem niepostrzeżenie do domu mego dziadka.

Tym razem pobyt na Wyspie Sobowtórów przeciągał się. Przypuszczam, że obecność Lewkonii Podróżniczej Anemna-Lusterko równoważyła działanie powrotne lewkonii wyhodowanej przeze mnie. Możliwe, że gdybym powąchał sobowtóra mojego kwiatu, zapadłbym w kolejny sen podróżniczy i w ten sposób wróciłbym do domu. Wcale jednak tego

nie pragnąłem. Nie chciałem nawet myśleć o możliwości rozstania z Multiflorą.

Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a ona również darzyła mnie podobnym uczuciem. Najdziwniejsze w jej stosunku do mnie było to, że wcale nie dostrzegała podobieństwa pomiędzy mną a moim sobowtórem i nieraz powtarzała:

- Całą tę bajkę o naszej wyspie wymyślił pan Kleks. Nic innego nie robi, tylko stoi na jednej nodze i zmyśla różne nieprawdopodobne historie. Opowiada o krajach, które nie istnieją, o mechanicznych ludziach, o jakimś Alojzym Bąblu, którego ściga po całym świecie, o sobowtórach. Nam się wydaje, że wszystkie jaskółki są jednakowe, a one wiedzą, że to nieprawda i doskonale się rozróżniają... Tak samo wy dwaj. Wmówiliście w siebie, że jesteście sobowtórami. A ja nie dostrzegam w was żadnego podobieństwa. Ostatecznie tysiące ludzi mają brodawki na nosach, złote zęby czy krawaty w groszki.

Cieszyły mnie te słowa Multiflory, gdyż wcale nie czułem się jej bratem, jak mój sobowtór. Przeciwnie. Byłem zakochany i pragnąłem ją pojąć za żonę. Anemon-Lusterko szybko mnie przejrzał i powiedział pewnego dnia przy śniadaniu:

- Sny mogą się prześnić, a czas ucieka. Nie wiem, Multifloro, czy słusznie przypisujesz pewne niezrozumiałe zjawiska fantazji pana Kleksa. Skoro jednak nie wierzysz w istnienie sobowtórów, czemu byś nie miała poślubić Anemona? Przecież widzę, że się kochacie. A nie sądzę, abyś mogła znaleźć lepszego dla siebie męża.

Zamiast odpowiedzi Multiflora rzuciła mi się na szyję, wołając:

- Tak! Tak! Chcę być twoją żoną! Chcę się wyrwać z niewoli urojeń. Ty możesz mi stworzyć prawdziwe życie, bo ty mnie kochasz, wiem o tym!

Taka była Multiflora!”

W tym momencie pan Lewkonik przerwał swoją opowieść. Z lekkością balonika zbiegł do kajuty, a po chwili wrócił z polewaczką i szybko wziął się do podlewania swoich

kwiatów, które rozkwiwały w skrzynkach przy burtach statku:

- Rosa multiflora wymaga wielkiej dbałości. To bardzo delikatna roślina - rzekł po chwili, po czym znów usiadł przy mnie i dalej snuł swoje opowiadanie: „W miarę jak zbliżała się data naszego ślubu, Anemon-Lusterko stawał się coraz bledszy, a raczej coraz bardziej przezroczysty, coraz bardziej niedostrzegalny. Wprawdzie krzątał się jeszcze beztrosko po domu i po ogrodzie, ale go wciąż ubywało jak ubywa księżycyca od pełni do nowiu. Już nie dość, że był moim sobowtórem, ale nadto stopniowo utożsamiał się ze mną, aż w końcu przestaliśmy go w ogóle dostrzegać. Przyłgnął do mnie jak cień i odtąd ukazywał się już tylko w postaci mego cienia.

Stało się to ostatecznie w dniu, kiedy wracałem z Multiflorą od ślubu.

Małżeństwo nasze było bardzo szczęśliwe. Prowadziliśmy życie spokojne, z dala od miejskiego zgiełku, oddając się z zapalem hodowli roślin. Córkom naszym, które kolejno przychodziły na świat, daliśmy imiona ulubionych kwiatów. Są to właśnie: Róża, Hortensja, Dalia, Piwonia i Rezeda. Ale - rzecz dziwna. Z matki tak pięknej urodziły się dziewczynki, niestety, brzydkie.

Córki chowały się zdrowo, rosły, uczyły się u najlepszych nauczycieli i darzyły nas gorącą miłością.

Żyliśmy w dobrobycie, gdyż wraz z Multiflorą otrzymaliśmy przy pomocy krzyżowań wiele nieznanych kwiatów o różnych magicznych zapachach. Wynaleźliśmy także pobudzacz wzrostu, czyli specjalny odżywczy płyn, który znakomicie przyspiesza rozwój roślin oraz ich kwitnienie. Dzięki temu nasza hodowla zyskała sobie powszechną sławę na wyspie i z trudem mogliśmy nadążyć licznym zamówieniom.

Dziewczynki, w miarę jak dorastały, pomagały nam w pracy. Moja kochana Multiflora wyjawiała, że jej pragnieniem jest wydać córki za ogrodników, gdyż obcowanie ze światem



roślinnym kształuje w ludziach najszlachetniejsze skłonności. A po namyśle dodała:

- Pisarze myślą tylko o postaciach, które sami stworzyli, inżynierowie zajęci są wyłącznie maszynami, podróżnicy chętnie wyjeżdżają i zostawiają swoje żony, lekarze bardziej interesują się chorymi niż zdrowymi. Jedyne miłośnicy roślin i kwiatów potrafią ocenić piękno ludzkiej duszy!

Przy tych słowach Multiflora westchnęła rozsiewając dokoła aromat róż. Z czasem stwierdziłem, że jej nieodrodne córki pachniały kwiatami, które odpowiadały ich imionom. I tylko ja, choć mam na imię Anemon, a na nazwisko Lewkonik, niczym nie przypominam kwiatu, raczej dynię, odkąd zaokrągliły się moje kształty.

Ale to już nie należy do rzeczy.

Pewnego dnia, pod koniec czerwca, jak zwykle na Wyspie Sobowtórów nastął okres deszczów i burz. Lało przez wiele dni. Siedzieliśmy więc w domu, nie zaglądając nawet do naszych kwiatów. Dęły huraganowe wiatry, huczały grzmoty, w wielu miejscach od piorunów wybuchały pożary. Podczas jednej z takich burzliwych nocy rozległo się energiczne pukanie do naszych drzwi.

Ubrałem się szybko i poszedłem wpuścić niespodziewanego gościa. Był to profesor Ambroży Kleks. Postawił w kącie ociekający deszczem parasol, otrząsnął krople z brody i rzekł uroczyście:

- Sprawa jest bardzo ważna. Niezmiernie ważna.

Gdy siedzieliśmy już w wygodnych fotelach i Multiflora przyniosła nam kieliszki napełnione różanym winem, pan Kleks od razu przystąpił do rzeczy:

- O ile mi wiadomo, wyhodował pan Lewkonię Podroźniczą przy pomocy energii kleksycznej, którą odkryłem przed laty. Muszę pana ostrzec, że działanie tej energii jest ograniczone w czasie, a nie wymyśliłem dotąd nic, co mogłoby ją zasilić lub odnowić. Zajęty

byłem innymi wynalazkami. O świecie pańska Lewkonია Podróznicza przestanie istnieć. Dla nas trojga, którzy nie jesteśmy sobowtórami, to bardzo ważne. Radzę w porę opuścić wyspę, bo później nie będzie już powrotu do rzeczywistego świata. Dla siebie przygotowałem porcję odpowiedniego przebieralnika i dziś jeszcze wracam do mojej Akademii. Oto wszystko, co miałem do powiedzenia. Aha, jeszcze jedno. Pani Multiflora nie była siostrą pańskiego sobowtóra. Chodziło mi po prostu o pewien eksperyment, który, jak widzimy udał się znakomicie. To ja wymyśliłem wasze małżeństwo i przypuszczam, że oboje jesteście mi wdzięczni. Życzę powodzenia.

Tu pan Kleks wstał, pożegnał się z nami, ale gdy sięgał po swój parasol, z przepaścistych kieszeni jego surduta wypadł dziwny przedmiot w kształcie cylindra, pokryty mnóstwem strzałek, wskazówek i guziczków, a nadto z jednej strony zakończony miotełką z cienkich platynowych drucików.

Pan Kleks szybko podniósł ów przedmiot, obrócił go parokrotnie w palcach i rzekł z uśmiechem:

- Dziwny aparat, prawda? Otóż jest to jeden z najdonioślejszych moich wynalazków.

Nazwałem go skarbonką pamięci. Notuje on wszystko, cokolwiek przepływa przez mój mózg, a więc każdą myśl, każdy obraz, każde wrażenie. Pojemność jego wystarcza na całe życie.

Przy odpowiednim nastawieniu mechanizmu potrafię w zwojach mózgowych odtworzyć z całą dokładnością dowolny moment zarejestrowany w skarbonce pamięci. Może kiedyś, w przyszłości, zapragnę przypomnieć sobie wydarzenia dzisiejszej nocy. Kto wie, kto wie...

Mówiąc to pan Kleks znacząco podniósł palec po czym wyszedł, a raczej wypłynął z naszego domu i zniknął w ciemnościach.

Po wyjściu pana Kleksa długo naradzaliśmy się z Multiflorą, co robić. Żał nam było rozstawać się z naszymi kwiatami, żał było opuszczać dom, w którym spędziliśmy tyle

szczyśliwych lat. Uznaliśmy jednak, że pozostanie na zawsze w krainie sobowtórów zamyka naszym córkom drogę do normalnego życia. Postanowiliśmy więc wrócić do rzeczywistego świata. Multiflora obudziła dziewczynki, kazała im się ubrać i pod ulewnym deszczem udaliśmy się wszyscy do oddalonego klombu, gdzie Anemon-Lusterko wyhodował swoją Lewkonię Podróżniczą. Pochyliliśmy się nad nią i zaczęliśmy energicznie wdychać jej oszałamiający zapach. Po chwili, gdy ogarnęła nas senność, pokładliśmy się na dywanie, który zabrałem z domu. Dziewczynki oddychały miarowo, tylko Multiflora zakasłała raz i drugi. Ale kaszel jej brzmiał jakby z wielkiego oddalenia. Tak mi się w każdym razie zdawało...” .

Tu pan Lewkonik przerwał swoją opowieść. Zaczynało już świtać i trzeba było udać się na spoczynek. Przez następne dwa dni hodowca róż cierpiał na silną migrenę i większość czasu spędzał w kajucie. Hortensja zagadywała mnie parokrotnie o czym rozmawiałem z jej ojcem. Powiedziała też mimochodem:

- Woń kwiatów działa na niektórych ludzi odurzająco. Róże z gatunku rosa multiflora wywołują niekiedy męczące sny i przywidzenia. To jest ulubiony kwiat mego ojca. Niech pan spojrzy, jak się pięknie rozwija. Cały pokład przepojony jest zapachem naszych róż.

Po dwóch dniach pan Lewkonik znowu zaprosił mnie na rozmowę. Wyglądał tak, jakby cierpiał na chorobę morską, chociaż morze było niezmiennie spokojne i „Płetwa Rekina” ledwo-ledwo kołysała się na fali.

„Zaraz... Na czym to wtedy stanąłem?... - odezwał się po dłuższym namyśle - Aha!

Noc, ulewa, leżymy wszyscy obok siebie na dywanie w pobliżu klombu. Zapadam w głęboki sen podróżniczy... A o świcie budzę się. Lecz nie w ogrodzie mego dziadka, jak to bywało dotąd. Ogrodu nie ma ani śladu. Nade mną szumi zboże. Zrywam się na równe nogi, rozglądam się i widzę moje córki pogrążone w śnie. Widzę Hortensję, Różę, Piwonię, Dalię, Rezedę. I tylko Multiflory nie ma.

- Multifloro! - wołam rozpaczliwie. - Multifloro! Gdzie jesteś? Odezwij się!

Przebiegam polne miedze, roztrącam i depczę wysokie kłosa. Córki wołają:

- Mamo! Mamo!

Krzyczymy coraz głośniej, echo powtarza w oddali:

- Multifloro! Multifloro!

Przeszukaliśmy cały teren, każdy krzak, wszystkie zakątki. Na próżno. Multiflory nie było.

Z domu mego dziadka wyszedł wysoki mężczyzna w kapeluszu z piórkami, z psem myśliwskim i z dubeltówką w ręce. Wściekłość rysowała się na jego twarzy.

- Cóż to za wrzaski, do licha! - zaskrzeczał starczym głosem. - Jakim prawem zakłóacie mi spokój? Kto pozwolił tym dziewczuchom niszczyć moje zasiewy? Proszę wynosić się stąd, bo dalibóg wystrzelam jak kuropatwy.

- Jestem Anemon Lewkonik - odrzekłem starając się panować nad sobą. - Znajdujemy się w posiadłości mego dziadka, ten dom był moim domem.

- Nie ma żadnych Lewkoników! - zawołał starzec tupiąc nogą. - Ani Lewkoników, ani lewkonii, ani tych wszystkich przebrzydłych kwiatów. Nie znoszę ich! Skończyło się panowanie anemonów i tym podobnych wiechci. Wymiotłem to całe paskudztwo! Ziemia moja rodzi pszenicę i żyto. A ja chodzę na polowania. Strzelam i nie chybiam, panie Lewkonik. Fora ze dwora, bo już tracę cierpliwość. - Mówiąc to odwiódł kurki dubeltówki i wziął nas na cel.

- Chodźmy - rzekłem do córek. - Ten człowiek jest szalony. Nie ma tu miejsca dla nas.

Wystraszone dziewczęta z najwyższym zdumieniem przyglądały się tej gorszącej scenie. Po raz pierwszy zetknęły się z rzeczywistym światem i nigdy dotąd nie słyszały podobnie gwałtownych, napastliwych słów.

Ruszyliśmy pieszo do pobliskiego miasteczka, gdzie wśród miejscowych ogrodników miałem niegdyś sporo przyjaciół. Ludność miasteczka składała się głównie z hodowców kwiatów, owoców i warzyw, które były ozdobą królewskich stołów nawet w krajach bardzo odległych.

Postanowiłem udać się do starego Kamila Pergamuta, którego sad spadał tarasami do samej rzeki. Zastąpił on jako hodowca kleksów. Była to rzadka odmiana gruszek, szczepionych metodą profesora Kleksa. Od niego też pochodziła ich nazwa. Kleksy były nadzwyczaj soczyste i aromatyczne, a w środku zamiast pestek miały owoc czereśni.

Przyjęła nas siwa, ale krzepka staruszka. Poznałem w niej panią Pepę Pergamut.

Ucieszyła się na mój widok, uściskała serdecznie mnie i moje córki, a gdy dowiedziała się o naszym nieszczęściu, oświadczyła stanowczo:

- Drogi Anemonie, owdowiałam przed trzema laty, jestem stara i samotna. Już was stąd nie wypuszczę. Znałam cię jako małego chłopca. Gdzież, jak nie u mnie, córki twoje znajdą należytą opiekę? Niechaj wszystko, co moje, stanie się również wasze. Dobry los zesłał mi was na stare lata. Spełniły się moje najgorętsze pragnienia. Teraz przynajmniej będę miała dla kogo żyć.

Taka to była kobieta, pani Pepa.

Zostaliśmy u niej. Wydzieliła mi znaczną część swoich gruntów, toteż niezwłocznie zabrałem się wraz z córkami do pracy i założyłem hodowlę róż. Nie interesowały mnie odtąd żadne inne kwiaty poza gatunkiem rosa multiflora. Przypominały mi bowiem ukochaną małżonkę.

Pewnego dnia pani Pepa wezwała mnie do siebie i rzekła:

- Nic dziwnego, Anemonie, że Multiflora nie znalazła się razem z wami. Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że skoro dostała kaszlu i miała wskutek tego zamknięte drogi

oddechowe, nie mogła w porę należycie powąchać kwiatu lewkonii. A potem było już za późno. Wcale to jednak nie oznacza, aby Multiflora odgrywała tylko rolę sobowtóra! Możesz pod tym względem zaufać człowiekowi tak mądrymu, jak profesor Ambroży Kleks. Jestem przekonana, że odnajdziesz swoją żonę.

Zacna staruszka dodawała mi otuchy. Z czasem wstąpiła we mnie nadzieja, a gdy na statku dowiedziałem się od pana, że mamy płynąć do Alamakoty i że tam znajdę profesora Kleksa, zacząłem wierzyć w szybkie spełnienie mych pragnień. Liczę na pana, panie Niezgódka. Pan mi chyba pomoże pozyskać przychylność profesora.”

Zapewniłem pana Lewkonika, że wieki uczone niewątpliwie ułatwi mu odzyskanie Multiflory.

Przez jakiś czas trwaliśmy w milczeniu. Po dłuższej chwili hodowca róz westchnął, pocisnął brodawkę na nosie, ożywił się i opowiadał dalej:

„Pani Pepa przez wiele lat słynęła jako pogromczyni dzikich zwierząt i popisując się w wędrownych cyrkach zgromadziła znaczny majątek. A kiedy się postarzała, rzuciła arenę, osiadła w naszym miasteczku i poświęciła się z zapalem hodowli gruszek. Z czasem pojęła za męża swego ogrodnika, Kamila Pergamuta, który przed kilku laty zmarł z przejedzenia kleksami.

Pani Pepa była kobietą nadzwyczaj łagodną, a jak nieraz podkreślała, nauczyła się łagodności przez obcowanie z dzikimi zwierzętami. Natomiast ludzi unikała w obawie przed ich drapieżnością.

- Mam chyba słusność, drogi Anemonie. Poznałeś owego myśliwego, który zagarnął dom twego dziadka, a was wypędził grożąc dubeltówką. Jesteś poczciwego serca i nie tracisz wiary w ludzką dobroć. Może to i dobrze.

Taka była pani Pepa.

W wolnych chwilach uczyła moje córki tresury zwierząt. Po pewnym czasie mieliśmy w domu wiewiórkę, która umiała zapalać lampy, psa, który podlewał co rano kwiaty, jeża, który nauczył się czyścić obuwie. Kot Walery szybko i zręcznie przyszywał guziki, a białe myszki odkurzały sprzęty albo pełły grządki w ogrodzie. Rezeda rozmiłowała się szczególnie w tresurze ptaków. Jej szpak po miesiącu nauczył się mówić i nawet sam wymyślił kilka dwuwierszy. Oto niektóre z nich:

*Anemon Lewkonik*

*Pęknie jak balonik.*

Albo:

*Nasz Anemon - pusta głowa*

*Pięć nieładnych córek chowa.*

I jeszcze jeden:

*Pepa, chociaż ślepa,*

*Krzepka jest jak rzepa.*

Piwonia pod wpływem tego szpaka nabrała ogromnego zapału do rymowania. Odtąd mówi wyłącznie wierszem. Chociaż jednak posiada niewątpliwy talent poetycki, jej wiersze trudno zrozumieć.

Wczoraj powiedziała na przykład tak:

*Talia Dalia mydło balia*

*Lustro szustro bęc sypialnia*

*Kodra mołdra woda chlup*

*Kapitana zmiana rób.*

Miało to znaczyć, że Dalia, myjąc się przed snem, zagapiła się w lustro i oblała wodą niebieską kołdrę, wobec czego mam prosić kapitana, żeby kazał zmienić jej pościel.

Jak widać na tym przykładzie, Piwonia pięknie rymuje, natomiast Rezeda jest niezrównana w tresurze ptaków. Robaki zwane płazieńcami nauczyła tabliczki mnożenia i teraz każdy ptak, który zje takiego płazieńca, umie mnożyć od jednego do stu.

Zresztą właśnie Rezeda wytresowała pańskiego koliberka i nauczyła go wskazywać kierunek na południowy wschód, dzięki czemu płyniemy teraz do Alamakoty.

Pani Pepa otoczyła moje córki troskliwą opieką, starała się im we wszystkim dogadzać, przyrządzała dla nich codziennie rozmaite przysmaki, jak na przykład kleksy w czekoladzie albo z kremem. Mimo to jednak dziewczynki chudły, marniały, powiedziałbym - więdły jak kwiaty. Nie pomagały żadne leki i zioła, żadne nacierania maściami, natryski z różanej wody ani wreszcie nalewka na liściach anemonu. Każdy dzień przynosił pogorszenie. Widocznie po nieco sztucznym klimacie Wyspy Sobowtórów trudno było dziewczętom przystowować się do nowych warunków.

Na szczęście pani Pepa, studiując dzieło pana Kleksa o jego podróży, trafiła na opis Przylądka Aptekarskiego i Obojga Farmacji. Dowiedzieliśmy się, że tylko tam można dostać niezbędne leki.

Nie zastanawiałem się długo. Spakowaliśmy walizki i ruszyliśmy w drogę, zaopatrzeni przez panią Pepę w dwa kosze dojrzałych kleksów.

Podróż mieliśmy pomyślną i po tygodniu zawinęliśmy do portu w krainie aptekarzy.

Panował tam udzielnny Prowizor Pigularz II.

Już sam klimat Przylądka Aptekarskiego okazał się dla córek zbawienny. Wybitni miejscowi farmaceuci zajęli się nimi bardzo troskliwie. Z prywatnych zbiorów Pigularza II otrzymaliśmy cenne eliksiry, które w krótkim czasie przywróciły zdrowie moim kochanym córkom. Niech pan nie myśli, że nie próbowałem zdobyć dla nich jakiegoś środka na upiększenie rysów twarzy, ale właściwości tych nie posiadała żadna maść ani żaden krem



wytwarzany w krainie Obojga Farmacji.

Podczas przyjęcia, wydanego na naszą cześć przez udzielnego Prowizora, ten dobrotliwy władca rzekł do mnie poufnie:

- O ile mi wiadomo, w kraju zwanym Alamakotą dojrzewa owoc gungo. Sok tego owocu to jedyny prawdziwie skuteczny środek na usunięcie brzydoty. Radzę zapamiętać: owoc gungo w Alamakocie.”

Tu pan Lewkonik pociągnął mnie za rękaw, a upewniwszy się że nie śpię, zawołał:

- Rozumie pan, panie Niezgódka, ile zawdzięczam naszemu spotkaniu?! Rozumie pan, jakie znaczenie ma dla mnie i dla moich córek ta podróż do Alamakoty? Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wreszcie dobijemy do jej brzegów. Ale na razie wróćmy do przyjęcia u Pigularza II.

Wśród licznie zgromadzonych dostojników państwowych i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa znajdował się również Pierwszy Admirał Floty.

Był to mężczyzna niezbyt piękny, powiedziałbym nawet, trochę kanciasty, a w zachowaniu bardzo dziwny. Nazywał się... niech pan uważa, panie Niezgódka... nazywał się - Alojzy Bąbel.”

Te słowa pana Lewkonika zelektryzowały mnie. Słuchałem chciwie dalszych jego wynurzeń. Przekażę je wam nieco później. Teraz jednak muszę zakończyć niniejszy rozdział i wrócić do miejsca, w którym rozstaliśmy się z panem Kleksem.

## **GDZIE JEST REZEDA?**

W drugim Klekse zostawiliśmy pana Kleksa przed Rezerwatem Zepsutych Zegarków, w pozycji, którą przybierał zazwyczaj gdy sytuacja wymagał głębokiego namysłu. Tym razem uczony mąż zamyślił się głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Chodziło przecież o sprawę porwania Rezedy przez Alojzego.

Stojąc na jednej nodze, pan Kleks myślał dostatecznie długo, abym zdążył przez ten czas opowiedzieć wam o Wyspie Sobowtórów oraz dzieje rodziny Lewkoników.

Teraz z oczu i z miny uczonego można było wywnioskować, że wszystko już dokładnie przemyślał i że za chwilę zacznie działać. Istotnie, pan Kleks wyprostował się, obciągnął surduty, a następnie wyjął z kieszeni skarbonkę pamięci. Przesunął na niej kilka wskazówek, naregulował aparat, nacisnął odpowiedni guzik, po czym miotełkę z platynowych drucików przytknął sobie do czoła.

- Oczywiście, panie Anemonie - rzekł po chwili - miał pan rację twierdząc, że spotkaliśmy się już dawniej. Teraz przypominam sobie doskonale naszą ostatnią rozmowę na Wyspie Sobowtórów. Multiflora! Tak. Nie, zdążyła należycie powąchać Lewkonii Podróżniczej. Została na wyspie. Odnajdziemy ją, drogi panie Lajkonik...

- Lewkonik - poprawił hodowca róż.

- Przepraszam pana, nie mam pamięci do nazwisk - zreflektował się pan Kleks. -

Oczywiście: lewkonia - Lewkonik. To takie proste. Odnajdziemy pańską żonę! Głowa do góry! Dziś mamy jednak przed sobą coś pilniejszego. Chodzi o zdemaskowanie Alojzego Bąbla i odzyskanie Rezedy. Opracowałem już cały plan. Musimy szybko się przebrać, żeby zdążyć na przyjęcie u króla. Pozostało niewiele czasu. W drogę, moi państwo! Broda czuwa! Ruszyliśmy w kierunku pałacu ministra Pogody i Czterech Wiatrów, gdzie mieliśmy zamieszkać. Tam już pewno czekał na nas Weronik, który o ile pamiętacie, poszedł po nasze bagaże do portu,

Przez całą drogę hodowca róż krążył dokoła pana Kleksa, obijał się brzuchem o jego brzuch i zasypywał go pytaniami:

- Panie profesorze... moja żona... moja Multiflora... Gdzie mam jej szukać? Błagam pana... Co robić? Dokąd jechać? W jaki sposób można dotrzeć do Wyspy Sobowtórów?

Panny Lewkonikówny wtórowały ojcu, zastępowały drogę panu Kleksowi, Dalia i

Róża czepiały się jego ramion, a Hortensja wołała szlochając:

- Niech pan odpowie, panie profesorze!

- Dlaczego pan milczy? Dlaczego? - powtarzała Róża ciągnąc uczonego za połą surduta.

Ale pan Kleks miał na to wszystko jedną odpowiedź:

- Pośpiech jest wrogiem rozsądku! Zapamiętajcie to sobie. Rozwaga jest podporą mądrości. Wiem, co należy czynić i kiedy. Broda czuwa! A wy, dziewczuszki, nie przeszkadzajcie mi kroczyć do wytkniętego celu.

Po tych stanowczych słowach rodzina Lewkoników nie nagabywała już więcej pana Kleksa. Szliśmy w milczeniu, a on maszerował na przodzie, z rozwianymi połami surduta, z brodą wskazującą nieomylnie właściwy kierunek.

Minęliśmy ulicę Wesołych Piskląt, a następnie szeroką Aleję Laktusową, rzeźbiście oświetloną kolorowymi lampionami. Aleja ta wysadzona jest drzewami laktusowymi, które rosną wyłącznie w Alamakocie. Z ich konarów zwisają rurkowate gałęzie, przez które sączy się sok laktusowy. Alamakotańczycy używają go jako krzepiącego napoju. Ogrodnicy miejscy specjalnymi młoteczkami obstukują pnie drzew, co znacznie przyspiesza wyciekanie cennego soku, który barwą i smakiem przypomina do złudzenia zwykłe krowie mleko.

Dojenie drzew laktusowych odbywa się każdego dnia po zachodzie słońca. Idąc aleją, widzieliśmy mnóstwo kobiet, które z wiaderkami w ręku ustawiały się w kolejce po świeży sok. Niektóre miały z sobą nawet sitka, prawdopodobnie do przecedzania kozuchów.

Pan Kleks coraz bardziej wydłużał krok, tak że musieliśmy biec truchcikiem, aby za nim nadążyć. Z daleka widać było już plac A-B skąd wystrzelały ku niebu wspaniałe sztuczne ognie. Nigdy dotąd nie widziałem równie pomysłowych kombinacji pirotechnicznych.

Wielobarwne strumienie fajerwerków układały się w pióropusze kogucich ogonów, w postaci walczących smoków, a chwilami przedstawiały całe obrazy, jak na przykład królewską fregatę a na niej Kwaternostrą I w aureoli z kolorowych jajek. Widowisko było wręcz fantastyczne. Tłumy wiwatowały na cześć łaskawego monarchy, zwłaszcza że tego dnia, z okazji święta narodowego, na wszystkich placach smażyła się dla ludu państwowa jajecznicą. Jak nas poinformowano, Kwaternoster I przeznaczył na ten cel dwieście tysięcy jaj eksportowych.

Na placu A-B z trudem przecisnęliśmy się przez tłum oblegający patelnię gigant i dotarliśmy do pałacu Limpotrona. Przy wejściu czekał na nas Weronik.

- Walizki rozpakowałem, suknie kazałem wyprasować - oznajmił z godnością. - Za pół godziny musimy być w pałacu królewskim.

Pokoje oddane do dyspozycji pana Kleksa znajdowały się na pierwszym piętrze.

Rozwieszane tam były okrętowe koje do spania, a umeblowanie składało się z rozmaitego typu kompasów, barometrów, termometrów, aparatów do mierzenia ilości opadów oraz siły wiatrów. Na ścianach wisiały mapy pogody, a na stołach leżały oznaczone chorągiewkami wykresy wyżów i niżów. Była to najwidoczniej ministralna pracownia, przeznaczona czasowo na pokoje gościnne.

W jednym z nich stało rozkładane lustro wyszczuplające, z którym pan Kleks nigdy się nie rozstawał, gdyż bardzo dbał o swój wygląd. Teraz pokój ten zajęły panny Lewkonikówny, pan Lewkonik zamieszkał razem z Weronikiem, a ja z panem Kleksem.

- Moi państwo - rzekł uczone - mamy piętnaście minut na doprowadzenie się do porządku. Proszę, aby wszyscy ubrali się po galowemu.

Kiedy zostaliśmy sami, pan Kleks wesoło pogwizdując odwrócił swój surdut na lewą stronę, pokrytą niebieskim atłasem w złote gwiazdki, przypiął do spodni galowe lampasy, a

na szyi zawiązał uroczysty krawat w żółte grochy. Wyglądał w tym stroju niezwykle wytwornie.

- Dwustronny surdut to mój wynalazek - rzekł przeglądając się z ukontentowaniem w lustrze. - Posiada osiem kieszeni i cztery skrytki. Tak samo zresztą jak kamizelka. Dla człowieka, który często podróżuje, ważny jest taki uniwersalny ubiór, nadający się na wszelkie okazje. Ale najważniejsze są kieszenie. W surducie mam dwanaście, w kamizelce dwanaście, w spodniach sześć, ogółem więc trzydzieści. A do tego dochodzą jeszcze dwie kieszenie zapasowe w kalesonach. Oto strój godny uczonego!

Przebrałem się w mój najlepszy garnitur i przypiąłem do spodni lampasy. Wydawało mi się, że nadeszła odpowiednia chwila, aby wyjawic panu Kleksowi powód mego przybycia do Alamakoty. Zanim jednak zacząłem mówić, pan Kleks oświadczył:

- Wiem, wiem, Adasiu! Twoje myśli widać jak na talerzu. Znam cię przecież na wylot. Skoro przyjechałeś za mną aż tutaj, znaczy to, że masz jakieś wielkie kłopoty. Z Akademii po wręczeniu dyplomów powinieneś był udać się do domu. A więc kłopoty związane są z domem, z rodzicami. Gdyby któreś z nich zachorowało, szukałbyś pomocy nie u mnie, lecz u lekarzy. Nie zadawałbyś się z kolibrem, gdyby nie chodziło o jakieś ptasie sprawy, i to w dodatku bardzo poważne. Reszta jest jasna. Nie potrzebujemy na ten temat rozmawiać. Bądź pewny, że pomogę ci w poszukaniu ojca. Mówię: ojca, gdyż o twoją matkę jestem spokojny. Takim kobietom nie zdarzają się ptasie przygody. Adasiu, głowa do góry!. Broda czuwa! Powiedźcie sami, czy to nie genialny człowiek?

Panny Lewkonikówny wystąpiły w sukniach w kolorach kwiatów, których imiona nosiły, i wyglądały jak prawdziwy bukiet.

Pan Lewkonik ubrał się we frak, a że wieczór był upalny, pot strużkami spływał mu po twarzy.

Jedynie Weronik zachował swój zwykły strój, tyle tylko, że tym razem zasznurował buty cienkim zielonym drutem od dzwonek.

Nie mieliśmy sposobności poznać naszego gospodarza, gdyż jako ministron pogody i Czterech Wiatrów zajęty był przygotowaniem pogody na zbliżające się święto.

Weronik troskliwie pozamykał pokoje, klucze wręczył służbie, po czym udaliśmy się na przyjęcie. Do sali tronowej wkroczyliśmy akurat w chwili, gdy odgrywano hymn narodowy na muszlach.

Kwaternoster I stał na mostku kapitańskim swojej fregaty. Poniżej, obok króla, ustawił się rząd oraz dostojnicy państwowi. Premier miał imię zaopatrzone w dodatek ministerialny nie tylko na końcu, ale i na początku. Nazywał się mianowicie Trondodentron. Zaproszeni goście zgromadzili się pod ścianami, gdyż po środku sali stały patelnie, na których nadworni kuchmistrze smażyli jajecznicę w barwach narodowych, a więc w kolorze żółto-czerwono-zielonym, na co składały się jajka, pomidory i szczypiorek.

Podczas gdy król wygłaszał przemówienie, któreśmy już słyszeli poprzednio, i doszedł do słów „każdego roku wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków” - odłączyłem się ukradkiem od naszej grupy i usiłowałem wśród gości rozpoznać Alojzego.

Pamiętacie, że wszyscy Bajdoci jako dawni marynarze byli tatuowani i pan Kleks słusznie przypuszczał, że brak tatuażu u Alojzego ułatwi nam jego zdemaskowanie.

Tymczasem spotkał nas zawód. Alamakotańscy goście, aczkolwiek obnażeni do pasa tego wieczoru, z okazji święta narodowego, posypani byli galowym srebrnym proszkiem, który całkowicie pokrywał ich ciała.

Nie mogłem też rozpoznać Alojzego po twarzy, bowiem, jak wiecie, ten szelma umiał bajecznie maskować się i podszywać pod inne postacie.

Pozostawały więc tylko nogi. Bajdotów ogółem było trzynastu. Reszta składała się z rodowitych trzynożnych Alamakotańczyków. Nie mówię o młodzieży, gdyż dzieci z mieszanych małżeństw miały wprawdzie po dwie nogi, ale jako trzyrękie łatwe były do odróżnienia.

Przeciskałem się przez tłum ze wzrokiem utkwionym w dół i notowałem w pamięci dwunożnych Bajdotów.

Pierwszym z nich był król Kwaternoster I, następnie premier Trondodentron, dalej ministron Pogody i Czterech Wiatrów - Limpotron, ministron Pokoju - Fajatron, wreszcie czterech pomniejszych ministronów oraz pięciu dostojników z otoczenia króla.

Sprawdziłem jeszcze raz moje obliczenia. Wszystko się zgadzało. Dwunożnych Bajdotów było trzynastu. Nasza grupa składała się z dziewięciu osób. Pozostali mieli po trzy nogi, a więc należeli do społeczeństwa ściśle alamakotańskiego.

Weronik prowadził obserwacje na własną rękę. Początkowo pomylił się w rachunku, gdyż nie wziął pod uwagę osoby króla, ale w ostatecznym obliczeniu byliśmy zgodni.

- Na arytmetyce nie można polegać - szepnął mi do ucha stary dozorca. - Czasami pięć razy dziesięć jest pięćdziesiąt, a czasami pół złotego. Tyle, ile pan Chryzantemski daje mi za otwarcie bramy.

Tymczasem goście posilili się jajecznicą i służba uprzątnęła patelnie. Nadworny muzyk odegrał na muszlach Marsz Walecznych Kogutów, po czym rozpoczęła się część koncertowa.

Trzyrękie dziewczęta wykonały na podwójnych skrzypcach uroczysty Hymn do Jajka. Każda z nich dwiema rękami trzymała dwoje skrzypiec, a trzecią prowadziła smyczek.

Muzyka ta była tak wspaniała, że chciałbym ją wam powtórzyć. Posłuchajcie:

„Pi-pi-wzzzz-fff-ff-dli-dli-dli-mg-mg-rs-rs-tfff...”

Oczywiście jest to tylko krótki fragment, ale mam nadzieję, że z tej małej próbki potraficie odtworzyć sobie całą kompozycję. Jeśli zaś chodzi o wykonanie, to mogę was zapewnić, że dzięki zwinności rąk i palców skrzypaczek smyczka w ogóle nie było widać, natomiast struny od szybkiego tarcia rozgrzewały się do czerwoności.

Goście w takt muzyki potrząsali rytmicznie zegarkami, co w połączeniu z melodią wywierało tak potężne wrażenie, że Kwaternoster I o mało się nie rozpłakał.

Następnie odśpiewano alambajkę o kokoszce do słów ministra Spraw Artystycznych, który nazywał się Tubatron.

Ten znakomity alambajkopisarz pracował nad tekstem pieśni dwa lata, toteż warto, abym go przetłumaczył i przytoczył tutaj w całości:

*Ko-ko-kokoszko, wysił się troszkę,*

*Ko-ko-kokoszko, jajko nam daj,*

*Wszak my kochamy każdą kokoszkę*

*Bo ko-ko-kokoszka wzbogaca kraj.*

*Ko-ko-kokoszko, nie żal się gorzko,*

*Alamakocie potrzeba jaj,*

*Pracuj wydajnie, ko-ko-kokoszko,*

*Ko-ko-kokoszko, jajko nam daj.*

Po odśpiewaniu tej pieśni wystąpił zespół tancerzy i wykonał brawurowy taniec akrobatyczny, zwany alamaczyczą: Polegał on na szybkim przebieraniu trzema nogami z potrójnym przytupem oraz na podwójnych przysiadach z równoczesnym wyrzuceniem środkowej nogi do przodu.

Musze obracały się szybko, łącząc poszczególne marsze w jedną skoczną melodię.

Kwaternoster I z nadzwyczajnym wyczuciem rytmu bił w dzwon pokładowy swojej fregaty.



Sala grzmiała i huczała, a tubylcy uderzali zegarkami o podłogę w takt alamaczyczy.

Panny Lewkonikówny, nie przyzwyczajone do takiego zgiełku, pozatykały sobie uszy, natomiast pan Kleks przyglądał się z zaciekawieniem popisom tancerzy i nawet dyrygował jednym palcem jak wytrawny kapelmistrz.

W pewnym momencie, gdy tancerze znowu ruszyli w przysiady i wyrzucili środkowe nogi do przodu, jednemu z nich noga nagle się urwała, przeleciała ponad głowami zebranych przez całą salę i z impetem ugodziła w nos Kwaternostra I. Król ogłuszony uderzeniem, osunął się na pokład fregaty. Muzyka natychmiast zamilkła i wszyscy zamarli z przerażenia. Jeden tylko pan Kleks nie stracił przytomności umysłu i zawołał:

- Adasiu! Czy rozumiesz co to znaczy? Ta noga była przyprawiona! W ten sposób

Alojzy udawał Alamakotańczyka! O, patrz.,. Tam! Ucieka! Panowie - za mną!

Przeciskając się przez tłum oniemiałych gości, rzuciliśmy się ku wyjściu. Pan Kleks z rozwianą brodą pruł naprzód jak czołg, ja za nim, za mną Weronik, a na końcu, podskakując jak piłka, mknął hodowca róż.

Po wydostaniu się z sali zbiegliśmy szybko po schodach i ruszyliśmy w pogoń.

Gdyby Alojzy nie był uciekał, nie rozpoznalibyśmy go w ulicznym tłumie. Ale

obawiał się może nie tyle nas, co królewskiej straży i grożącej mu kary za obrazę majestatu.

Umykał więc nie oglądając się za siebie, jak ścigany zając. Przebiegł Aleję Laktusową, potem

plac Żółtka, ulicę Białka, aż w końcu wpadł w jeden z bocznych zaułków. Tu zawahał się

przez chwilę i dał nura na klatkę schodową pobliskiego domu. Wpadliśmy tam za nim i

ścigaliśmy go z piętra na piętro przeskakując po kilka stopni. Wreszcie, w momencie gdy

Alojzy usiłował przedostać się ze strychu na dach, pan Kleks chwycił go za nogi.

- Mam cię! Zawołał zdyszany. - Mam cię, Alojzy! Nie bój się, nie zrobię ci nic złego!

Nie wyrywaj się! Alojzy, kochany, to przecież ja, Ambroży.

Ściągnęliśmy Alojzego z dachu. Weronik trzymał go mocno za ręce, a ja za głowę.

Pan Kleks wydobył z przepastnych kieszeni surduta śrubokręt i zręcznie nim manipulując wykręcił zza ucha Alojzego niewielką śrubę.

- Rozregulowałem jego mechanizm ruchu - rzekł ze smutkiem. - Teraz już nie ucieknie.

Alojzy stał sztywno jak lalka i tylko mamrotał monotonnym głosem:

- Nie ucieknie... Nie ucieknie... Ambroży fuszer... Ambroży nadęta purchawka...

Ambroży patałach... Ambroży brakorób...

- Uspokój się, Alojzy - rzekłem. - Tu są obcy ludzie... Co sobie pomyślą? Doprawdy nie wypada....

- Uwaga, bo kopnę! - syknął przez zęby Alojzy. Na szczęście jednak nogi miał nieruchome. Pan Kleks przyglądał mu się z powagą, wreszcie skinął na nas.

- Panowie, musimy go zanieść do domu. Czeka nas trudne zadanie.

Weronik bez słowa wziął Alojzego pod pachę i ruszył po schodach na dół.

Wyszliśmy na ulicę. Była głęboka noc. Światła w oknach pogasły, gdzieś tam tylko snuli się jeszcze spóźnieni przechodnie. Jednym z nich okazał się Zyzik. Spojrzał zdziwiony na Alojzego.

- Ciekawe... Przez cały czas chodził na trzech nogach, a teraz ma tylko dwie... Poznaję go. Opowiadał mi, że jego ojciec zamienił się w ptaka... A dzisiaj mówił, że przyjechała jego narzeczona...

- I co dalej? - zawołał pan Lewkonik.

- Co dalej? Prosił mnie, żebym dał mu klucze od Królewskich Ogrodów.

- No i co, i co? - dopytywał się natarczywie pan Lewkonik.

- Podarował mi złoty zegarek, więc dałem mu ten klucz... Obiecał zwrócić go rano.

- Rezeda! Moja Rezeda! - zawołał pan Lewkonik. - Ukrył ją w ogrodach... Panie

Adasiu, musimy tam iść! Natychmiast!

Weronik położył Alojzego na trawniku i systematycznie przetrząsnął jego kieszenie.

W jednej znalazł mosiężny klucz i podwójną platynową sprężynę. W drugiej wielki okrągły guzik.

- Rozumiem - powiedział Kleks. - Wypadła mu sprężyna prawidłowego myślenia... A może sam ją sobie przez nieostrożność wydłubał... Teraz wszystko jest dla mnie jasne.

Adasiu, idź z panem Lewkonikiem do Królewskich Ogrodów szukać Rezedy. Zyzik was zaprowadzi. A my, panie Weroniku, ruszamy do domu.

Weronik podniósł Alojzego, przerzucił go sobie przez ramię i rzekł znacząco:

- Ten guzik już dwa razy widziałem. Ciekawe!

Pan Kleks bez słowa odebrał mu guzik i schował do kieszonki kamizelki.

- Wracajcie z Rezedą! Panie Weroniku, w drogę. Broda czuwa.

Po tych słowach oddalił się wraz ze starym dozorcą, pogwizdując Marsz Ołowianych Żołnierzy, co oznaczało, że przyszła mu do głowy jakaś bardzo mądra myśl.

A my trzej, ponaglani przez pana Lewkonika, szybkim krokiem ruszyliśmy w kierunku Królewskich Ogrodów, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa Alojzy ukrył Rezedę.

Wypożyczalnie hulajnóg były już o tej porze nieczynne, a Królewskie Ogrody leżały daleko za miastem. Szliśmy więc bardzo długo i mieliśmy dość czasu, żeby porozmawiać o różnych sprawach.

Zyzik, który tak jak my brał udział w przyjęciu u Kwaternostra I, poinformował nas, że wprawdzie królowi nic się nie stało, jednak straż królewska poszukuje zamachowca.

- Widziałem tę nogę na własne oczy - mówił Zyzik. - Była wypchana trocinami i

kurzym pierzem. I mimo że winowajca posłużył się sztuczną nogą, odpowiada za kopnięcie króla. U nas króla kopać nie wolno. Grozi za to surowa kara.

Przez chwilę maszerowaliśmy w milczeniu. Niepokoił mnie los Alojzego, aczkolwiek Zyzik najwidoczniej nie skojarzył go z osobą zamachowca.

Pan Lewkonik co chwila wybiegał naprzód, ale natychmiast wracał w obawie, żeby nie stracić z nami łączności. Przypomni mi znajomego pudła, który zachowywał się tak samo, gdy wychodził ze swym panem na spacer.

Księżyc w pełni oświetlał nam drogę i mrugał porozumiewawczo jednym okiem, zupełnie jak pan Kleks, kiedy miał coś mądrego do powiedzenia. Szliśmy szeroką aleją eukaliptusową, a po obu jej stronach ciągnęły się małe farmy kurzy hodowców-chałupników. Tu i ówdzie rozlegało się już pianie kogutów, gdyż jak wiadomo, niektóre z nich cierpią na bezsenność i przystępują do pracy wcześniej, niż należy. Zyzika wprowadziło to w stan takiego podniecenia, że raz po raz trzepotał łokciami, bił się rękami po udach i odpowiadał donośnym pianiem jak prawdziwy kogut.

Korzystając z kogucich upodobań Zyzika, pan Lewkonik ujął mnie pod ramię i rzekł poufnie:

- Opowiadałem panu o pobycie na Przylądku Aptekarskim. Teraz muszę do tego powrócić. Otóż poznaliśmy tam Alojzego Bąbla, który w państwie Obojga Farmacji piastował godność Pierwszego Admirala Floty. Na tym stanowisku cieszył się powszechnym uznaniem i uchodził za znakomitego żeglarza. Zresztą profesor Kleks pisał o tym obszernie w swoich dziełach. Admirala okazywał mnie i moim córkom wyjątkowe względy. Oddał do naszej dyspozycji zabytkową korwetę z pięcioma marynarzami, pozwalał nam uczestniczyć w połowach leczniczych wodorostów, a dziewczętom ofiarował po garści pięknych pereł. Pewnego dnia wydał na pokładzie okrętu flagowego „Pigularia” wspaniały bal na

naszą cześć.

Udzielny Prowizor Pigularz II tańczył w pierwszej parze z moją Hortensją, a w drugiej

- pierwszy Admirał Floty z Rezedą. Cóż to był za taniec! Orkiestra morska grała na trąbkach,

a Rezeda fruwała w tańcu z lekkością naszego kolibra. Marynarze wdrapali się na maszty,

żeby podziwiać moje córki. Jeden z nich tak się zagapił, że spadł z bocianiego gniazda, runął

prosto na bęben i odbił się od niego siedemnaście razy co zabrzmiało jak uroczysty tusz.

Właśnie wtedy, podczas walca pigularnego, Admirał oświadczył się Rezedzie. I

proszę sobie wyobrazić, Rezeda zgodziła się zostać żoną Alojzego Bąbla. Kiedy jednak

dowiedziałem się, że nie jest on stuprocentowym człowiekiem, postanowiłem zerwać

zaręczyny. Rzekłem mu wprost, że Multiflora życzyła sobie, aby córki nasze wyszły za mąż

za ogrodników. Tu dopiero Admirał odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Zagroził, że każe

mnie wrzucić do morza rekinom na pożarcie, kiedy zaś Rezeda zaczęła płakać powiedział:

- A więc dobrze. Nie zrobię tego. Żal mi rekinów. Ale niech pan pamięta: Rezeda jest

moją narzeczoną i nie mam zamiaru jej się wyrzec. Wiem, że jutro odpływa pan z córkami do

kraju. Trudno, nie chcę narażać dostojnego Pigularza II na przykrości. Cokolwiek się jednak

stanie, odnajdę Rezedę nawet na końcu świata. Nie cierpię, kiedy mi się ktoś sprzeciwia.

Rezeda jest bardzo posłusznym dzieckiem, ale tym razem, wbrew mojej woli, rzuciła

się Admirałowi na szyję, wołając jak niegdyś jej matka:

- Tak! Tak! Chcę być twoją żoną! Będę na ciebie czekała. Tylko nie unoś się, nie groź,

przepróż ojca! Zrób to, jeśli mnie kochasz!

Wtedy Pierwszy Admirał Floty, ten największy dostojnik Obojga Farmacji, kawaler

wielkiej wstęgi Piramidonu z gwiazdą, przyklęknął na jedno kolano i powiedział z pokorą, nie

wiem, czy szczerą, czy udaną:

- Kocham Rezedę i niech to będzie poczytane za dowód moich uczuć, że proszę pana

o przebaczenie.

Po tych słowach zerwał się jak oparzony, wybiegł z sali i odtąd nie widziałem go aż do dnia dzisiejszego. A teraz? Co teraz się stanie, panie Adasiu? Ten zepsuty automat ma być mężem Rezedy? Co prawda, ludzie również miewają wady i usterki, bywają źli i uparci, nie można polegać na ich uczuciach. Ale są bądź co bądź ludźmi. A ten Alojzy? Tu śrubki, tam sprężynki. Nie, panie Adasiu! To nie jest materiał na zięcia!

- Drogi panie Anemonie - uspokajałem pana Lewkonika - wiem, że pan Kleks dokonał szeregu nowych wynalazków, które uczynią z Alojzego twór doskonały. Dotychczasowe usterki pewnych części mechanizmu umożliwiły Alojzemu wymknienie się na parę lat spod władzy pana Kleksa. I wtedy stał się rzeczywiście nieobliczalny. Przypuszczam, że podsunął Rezedzie pigułki kochalginy, które sztucznie wzbudziły jej uczucie. Ale jestem przekonany, że sprawa ta przyjmie ostatecznie zupełnie inny obrót.

Pan Lewkonik słuchał z niedowierzaniem, trochę jednak poweselał i chyba na równi ze mną zaniepokoił się o los Alojzego, którego poszukiwali strażnicy, szepnął mi bowiem do ucha:

- Musimy zachować tajemnicę... Na razie nikt nie powinien wiedzieć całej prawdy o Alojzym... Postaram się zaszachować Zyzika tak, żeby trzymał język za zębami.

Po tych słowach przywołał do siebie młodzieńca i rzekł jak gdyby nigdy nic:

- Słuchaj, chłopcze... Nie wiem, czy miałeś prawo dać klucz od Królewskich Ogrodów obcemu człowiekowi... Możesz mieć z tego powodu poważne nieprzyjemności.

Mówiąc to, przyglądał się bacznie Zyzikowi. Chłopiec ogromnie się stropił i wyjąkał po alambajsku:

- Purpełnięm głorpstwur... Nie purmyślałem ur tym... Murgę durstać pur nursie urd urjca.

- Nie martw się - pocieszył go pan Lewkonik. - Nie powiemy o tym nikomu. Ale pod warunkiem, że i ty się nie wygadasz. Głowa do góry. Wszystko, co się tu dziś wydarzyło zachowamy w sekrecie. I zapewniamy cię, że obcy człowiek, któremu dałeś klucz, także nie piśnie o tym ani słowa. Ręka?

- Ręka! - zawołał Zyzik ściskając dłoń pana Lewkonika trzema swymi dłońmi naraz, po czym z radości zapał donośnie.

Przemierzyliśmy już ogromny szmat drogi. Wczesny świt rozjaśnił niebo. Minęliśmy przetwórnię kurzego puchu, stację obsługi hulajnóg, fabrykę ostróg dla kogutów, składnicę grających muszli oraz wytwórnię sztucznych i prawdziwych ogni. W oddali na widnokręgu srebrzyła się wypukła linia morza. Wreszcie ujrzeliśmy lśniące w promieniach wschodzącego słońca szklane budowle Królewskich Ogrodów. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, a żywe pagórki pokryte były gęstwiną traw i osobliwych zwierzokrzewów, jak na przykład muchołapki, kocie łapki i samostrzały, które wyrzucały ostre kolce w przelatujące owady. Dozorca Ogrodów, który dobrze znał Zyzika, otworzył nam bramę. Zyzik wolał nie korzystać z posiadanego klucza. Dozorcy oświadczył, że jesteśmy gośćmi jego ojca, toteż bez przeszkód mogliśmy przystąpić do poszukiwania Rezedy.

Ogrody ciągnęły się na wielkiej przestrzeni. Rosły tam różne gatunki drzew od pospolitych do najrzadszych, a więc olbrzymie eukaliptusy, sekwoje i baobaby, araukarie i sandafluły, tulipanowce i korbikundy. Jedno z drzew figowych liczyło ponad pięć tysięcy lat, a było tak rozłożyste, że w jego cieniu, podczas Święta Królewskiego Koguta, mogło schronić się jednocześnie osiem tysięcy osób. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się klomby, kwietniki, i krzewy obsypane kwiatami. Zgromadzone tu były rośliny ze wszystkich stron świata. W oszklonych chłodniach mieściły się północne kwiaty i owoce, a w cieplarniach - najdelikatniejsze rośliny podzwrotnikowe, wrażliwe na lekki nawet podmuch wiatru.

Zagląдалиśmy kolejno do wszystkich pomieszczeń, do każdej oranżerii, szklarni, chłodni, a także do przetwórnicy owocu gungo:

Pan Lewkonik przeskakiwał jak piłka przez klomby i rowy nawadniające. Jednak wszystkie nasze poszukiwania były nadaremne.

Nagle na moim ramieniu usiadł Tri-Tri, który odnalazł mnie nawet tutaj. Ogromnie się ucieszył i z radości czyścił zapamiętałe dziobek o moje ucho. Ćwierknął przy tym, że obleciał cały ogród i widział coś bardzo ciekawego, ale już zapomniał, co to było.

Postanowiłem tedy z większą jeszcze uwagą rozejrzeć się dokoła. I właśnie wtedy spostrzegłem niewielką szklaną kopułę, ukrytą między krzakami oleandrów.

Skinąłem na pana Lewkonika i razem podążyliśmy w kierunku kopuły. Zanim zdążyłem zajrzeć do wnętrza, hodowca róż wykrzyknął z tryumfem:

- Jest! Jest moja córeczka! Niech pan spojrzy!

Tym okrzykiem można było obudzić umarłego, ale Rezeda nawet nie drgnęła. Spała spokojnie w oszklonej chłodni na posłaniu z płatków róż, oddychała miarowo, a na jej twarzy błąkał się łagodny uśmiech.

Zamierzałem nacisnąć dźwignię, żeby unieść kopułę, ale pan Lewkonik powstrzymał moją rękę:

- Zostawmy ją... Niech śpi. Nie trzeba jej budzić. Ona nie lubi wstawać tak wcześnie.

Staliśmy więc pewien czas, przyglądając się śpiącej Rezedzie. Była tak ślicznie zaróżowiona, że na jej widok serce załomotało mi w piersi. Zyzik oświadczył, że musi wracać do domu, aby niepostrzeżenie położyć na miejsce klucz, który zabrał bez wiedzy ojca i w podskokach pobiegł ku wyjściu. Wobec tego zaproponowałem panu Lewkonikowi przechadzkę po ogrodach.

Postanowiliśmy wrócić po Rezedę za godzinę.



Tri-Tri w chmarze innych ptaków uganiał się za muszkami i nawet jedną z nich, na dowód szczególnej sympatii, próbował wsunąć mi do ust.

Teraz dopiero pan Lewkonik ze znanostwem wytrawnego hodowcy kwiatów zajął się zwiedzaniem ogrodów. Nieomylnie rozpoznawał najrzadsze rośliny, nawet takie, które właściwie nie istnieją i znane są tylko z bajek. Głaskał pnie drzew, spryskiwał kwiaty odżywczym płynem, żeby wywołać ich natychmiastowe kwitnienie, a w chłodniach delectował się zapachem róż i lewkonii, co zapewne przypominało mu Multiflorę.

Tymczasem słońce zaczęło przygrzewać i w Ogrodach zjawili się królewscy ogrodnicy. Byli to ludzie niezwykle wykształceni. Pan Lewkonik ogromnie się ożywił. Chodziło mu niby to o wymianę wzajemnych doświadczeń, o ustalenie nazw niektórych roślin, ale w gruncie rzeczy interesowali go ogrodnicy jako przyszli zięciowie. Przyglądał im się uważnie, mierzył od stóp do głów okiem znawcy. Ostatecznie wytypował pięciu i zaprosił ich na wieczór do pałacu Limpotrona.

Ogrodnicy istotnie byli piękni i postawni, a przy tym pełni prostoty i godności.

Multiflora miała rację, gdy twierdziła, że obcowanie ze światem roślinnym uszlachetnia ludzi.

Pan Lewkonik opowiadał ogrodnikom o swoich córkach, skorzystał też z okazji, żeby stosownie do okoliczności zacytować wiersz Piwonii:

*Drzewo pniewo bryzg podlewo*

*Siedem owoc słońce w lewo*

*Ogrodnicy woda ciec*

*Gruszki uszki zima jedz.*

Hodowca róż nie omieszkał opowiedzieć treści wiersza własnymi słowami. Oto jego sens: pień drzewa, gdy pojawi się na nim owoc, należy podlewać o siódmej po zachodzie słońca. Ognodnicy, którzy nie żałują wody, jedzą w zimie gruszki, aż im się uszy trzęsą.

Wśród ogrodników szczególnie piękni i rośli byli dwaj bracia bliźniacy: Bulpo i Pulbo. Po alamakotańsku imiona te brzmią oczywiście Bolpur i Polbur. Otóż po wysłuchaniu utworu Piwonii Bulpo stanął na środkowej nodze, zamachnął się nogami zewnętrznymi i zaczął wirować z szybkością centryfugi. Przez chwilę widać było tylko przejrzyste kołujące kręgi i pasma. Myślałem początkowo, że Bulpo zwariował. Nie było jednak tak źle. Po prostu oszołomiony treścią wierszyka, Bulpo dostał zawrotu głowy, co pan Lewkonik przyjął za dowód uznania dla talentu Piwonii.

Po rozmowie z ogrodnikami zwiedziliśmy plantację jadalnych motyli oraz szkółkę drzew laktusowych, gdzie wypiliśmy po szklance orzeźwiającego soku. Następnie pan Lewkonik poszedł jeszcze obejrzeć podziemną przechowalnię nasion.

Gdy wrócił, rzekł spojrzawszy na zegarek:

- Czas już zbudzić Rezedę. Jest siódma. Zdążymy do domu na śniadanie. Chodźmy, panie Adasiu.

Czułem ogromne zmęczenie po nie przespanej nocy, ale mimo to raźnie ruszyłem za panem Lewkonikiem.

Szliśmy szybkim krokiem i po kwadransie ujrzeliśmy krzaki oleandrów, a wśród nich ukrytą szklaną kopułę.

Zbliżyliśmy się do chłodni. Pan Lewkonik zajrzał przez szybę do środka i z jękiem chwycił się za głowę.

Chłodnia była pusta.

## **PAN KLEKS DZIAŁA**

„Sprawa Rezedy. Multiflora. Alojzy Bąbel. Repatriacja Bajdotów. Wszystko to wymaga jeszcze załatwienia. Na razie więc pan Kleks nie będzie chciał opuścić Alamakoty. Trzeba czekać. Bez pana Kleksa wyjechać nie mogę, gdyż tylko on potrafi dopomóc mi w

odnalezieniu rodziców. Czas ucieka. Mój biedny ojciec fruwa gdzieś po borach, lasach, narażony na nieustanne niebezpieczeństwo, a ja muszę beczynnie siedzieć w Alamakocie i czekać na pana Kleksa.”

Tak sobie. rozmyślałem, gdy po opuszczeniu Królewskich Ogrodów na wypożyczonych hulajnogach pędziliśmy w kierunku miasta. Pan Lewkonik mknął jak rakietą i tylko od czasu do czasu wołał nie oglądając się:

- Gazu! Nie zwalniać! Prawa wolna! Resorować w kolanie! Uwaga, zakręt!

Motorki hulajnóg jęczały i wyły, a przydrożne drzewa migały jak w przyśpieszonym filmie. Tri-Tri szybował nad nami, co jakiś czas siadał mi na ramieniu i podawał w kilometrach pozostałą jeszcze do przebycia odległość. Był jednak z natury bardzo roztrzepany, toteż informacje jego wyglądały mniej więcej tak:

- Siedem... Trzy... Pięć... Siedem... Dwa... Cztery...

A pan Lewkonik zdyszczanym głosem:

- Nie zwalniać! Jesteśmy na prostej! Pełny gaz!

Po godzinie tej szalonej jazdy dotarliśmy wreszcie na miejsce. Trzy córki pana Lewkonika jeszcze spały, Tylko Hortensja krzątała się po pracowni hydrometeorologicznej. Weronik pióropuszem z kogucich ogonów odkurzał barometry i termometry, drugą zaś ręką przecierał szyby okienne oraz meble, a równocześnie posuwając się na suknach, froterował podłogę. Tak się zapamiętał w swojej pracy, że gdy stanęliśmy w drzwiach, omiółł nam kilkakrotnie twarze kogucią miotełką. Dopiero po chwili spostrzegł się, że nie jesteśmy sprzętami, położył palec do ust i rzekł tajemniczym szeptem:

- Pssst... Pan profesor zamknął się na klucz... Nie wpuszcza nikogo... Zaraz podam śniadanie.

Byliśmy zmęczeni i głodni, więc z apetytem wypiliśmy po szklance gorącego soku

laktusowego i zjedliśmy jajka na twardo, które przydzielano wysokim dygnitarzom oraz zagranicznym gościom.

Rozmawialiśmy między sobą szeptem, żeby nie przeszkadzać panu Kleksowi. Jedyne Hortensja głośno szczebiotała nie zwracając uwagi na psykanie Weronika. Hortensja w istocie rzeczy rozmawiała sama z sobą, a raczej głośno myślała. Właśnie teraz wygłaszała swój monolog wewnętrzny:

- Wrócili bez Rezedy... Widocznie jej nie znaleźli. Ojciec się nie odzywa, a pan

Niezgódka zagląda przez dziurkę od klucza do pokoju profesora. Wszyscy ludzie są bardzo dziwni. Ojciec twierdzi, że gdy ktoś chce ukryć swoją głupotę, to powinien jak najmniej mówić. A ja nie mam nic do ukrywania. Mówię to, co myślę, a myślę to, co mówię.

Nikt z nas nie zwracał uwagi na paplaninę Hortensji, a ja również słuchałem jej tylko jednym uchem, ponieważ drogim łowiłem odgłosy dochodzące z pokoju pana Kleksa.

Hortensja miała nadto osobliwy zwyczaj zadawania pytań, nie interesując się w najmniejszym stopniu odpowiedzią, gdyż natychmiast odpowiadała sobie sama.

Tym razem zwróciła się do Weronika:

- Proszę pana, dlaczego pan, zajmując zaszczytne stanowisko dozorczy domowego, opuścił kraj i przyjechał do Alamakoty? Powie pan, że należy korzystać z doświadczeń innych narodów. Słusznie.

Z tym wszystkim Hortensja była dosyć męcząca. Miała jednak tyle wdzięku, że traktowaliśmy jej gadatliwość z wielką wyrozumiałością.

Zabierała się właśnie do wygłoszenia nowego monologu wewnętrznego, gdy rozległo się pukanie do drzwi i zjawił się nasz gospodarz, ministron Limpotron. Jako były sternik bajdockiego statku zachował krzepki wygląd i tubalny głos.

- Rany koguta! - zawołał spojrzawszy na Weronika. - Coś podobnego! Mój pióropusz,

moje trofeum służy do odkurzania mebli! Skandal! Ten ogon zdobyłem przed trzema laty w walkach kogutów. Na dwunastu zawodników mój kogut zwyciężył. A pan robi z trofeum miotełkę do kurzu?!

Weronik stal z miną sztubaka przychwyconego ze ściągaczką w ręce. Usiłował schować za siebie pióropusz, a równocześnie bełkotał bez sensu:

- Panie ministronie... Tu nie ma żadnego koguta!.... To jakieś nieporozumienie...

Panna Hortensja chciała zobaczyć, czy jej w tym do twarzy... Czyżbym śmiał okurzać pannę Hortensję?... Dobra pogoda, panie ministronie! Barometr idzie na niż... Koguty nisko latają... Któż by odważył się ruszać kogucie ogony...

Limpotron, udobruchany nieco, zawołał marynarskim basem:

- Dobrze już, dobrze! Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, a gościowi na ręce.

Mądra sentencja! I w dodatku sam ją niechcący wymyśliłem. Żebym tylko nie zapomniał wpisać jej do księgi złotych myśli. Każdy ministron prowadzi taką księgę, a na Nowy Rok odbywa się publiczne czytanie na posiedzeniu Rady Tronowej. Bez złotych myśli nie ma dobrych rządów, moi państwo!

Te ostatnie słowa Limpotron wypowiedział tak głośno, że nagle z trzaskiem tworzyły się drzwi od pokoju pana Kleksa i ukazał się w nich nasz uczonec, w długich kalesonach i w surducie zarzuconym na jedno ramię. Brodę miał rozczochraną, oczy zaczerwienione.

Powiódł wzrokiem po sali i rzekł z wymówką:

- Prosiłem, prawda? Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Muszę skupić myśli do stanu najwyższego napięcia. Hortensja gada monotannie, ale nie za głośno. To nawet pomaga w pracy. O, Limpo! Co powiesz, przyjacielu?

Ministron nieznacznie się skrzywił, gdyż ludzie na jego stanowisku nie lubią poufałości, ale zanadto szanował pana Kleksa, żeby dać to po sobie poznać. Rzekł więc

uprzejmie:

- Jego Królewska Mość Kwaternoster I zaprasza całe towarzystwo na lody laktusowe z daktylami. Przyjęcie odbędzie się w pałacowym ogrodzie o godzinie dwunastej trzydzieści.

- Brawo! - zawołał pan Kleks. - przepadam za lodami! Zamawiam dla siebie trzy porcje!

Mówiąc to pomachał przyjaźnie ręką Limpotronowi, po czym wrócił do swego pokoju. Po chwili jednak uchylił drzwi.

- Adasiu - powiedział - chodź do mnie... Jesteś mi potrzebny!

Na to tylko czekałem. Skoczyłem do pokoju pana Kleksa, a on zamknął drzwi na klucz, stanął na jednej nodze i oświadczył uroczyście:

- Dzisiejszy dzień przejdzie do historii ludzkości. Zapamiętaj dobrze tę datę.

Doprowadziłem moje wiekopomne dzieło do stanu doskonałości. Alojzy Bąbel nie różni się już niczym od prawdziwego człowieka. O, proszę!

Alojzy siedział na parapecie okna i pałaszował jajecznicę ze szczypiorkiem, a jego kanciasta i martwa zazwyczaj twarz nabrała rumieńców i wyrazu. Na mój widok Alojzy przyjaźnie uśmiechnął się, cmoknął ustami w moim kierunku, jakby mi posyłał całusa, i powiedział filuternie:

- Wieki nie widzieliśmy się, Adasiu, co? Trzy lata za karę przeleżałem rozmontowany w walizce pana Kleksa, trzy lata podróżowałem po świecie, wcielając się w różne postacie, trzy lata byłem Pierwszym Admiralem Floty na służbie u Pigularza II, od roku płatałem figle panu Kleksowi. Ale od dziś rozpoczynam normalne życie. Mam nadzieję, że więcej nie zrobię wam wstydu. Szare komórki, które są sprężyną prawidłowego myślenia, działają z idealną sprawnością. No, co tak patrzysz? Pierwszy raz widzisz prawdziwego człowieka?

- Brawo, Alojzy! - zawołał z aprobatą pan Kleks. - Muszę ci, Adasiu, powiedzieć, że

kiedy mu wsączyłem do głowy olej Poczciwości i Posłuszeństwa, czyli olej P+P, uważałem dzieło za ukończone. Nie wziąłem jednak pod uwagę, że poszczególne elementy mechanizmu nie są dostatecznie zabezpieczone w rezultacie Alojzy pogubił kilka detali i stał się zdezelowanym automatem. Ale w ciągu ostatnich lat udało mi się dokonać wynalazku niezwyklej wagi. Przy pomocy nader skomplikowanych zabiegów chemicznych uzyskałem tworzywo całkowicie zbliżone do ludzkiej skóry, a następnie poddałem je działaniu promieni omega. Skóra się przyjęła i powlokła całą postać Alojzego. Osłona mechanizmu jest teraz niezawodna. Żadna sprężyna, żadna śrubka nie może wypaść!

Słuchałem słów pana Kleksa pełen podziwu dla jego genialnego umysłu. Na stole, gdzie przedtem leżała mapa z wykresami pogody, piętrzyły się skomplikowane instrumenty, retorty, miniaturowe aparaty promieniotwórcze, Całe naukowe laboratorium pana Kleksa, które nosił przy sobie w swoich przepaścistych kieszeniach. Był to nie lada bagaż, skoro nawet z zapasowych kieszeni w kalesonach wystawały metalowe części przyrządów do skrawania i łączenia skóry oraz szpryce napełnione cielistym barwnikiem.

Na życzenie pana Kleksa Alojzy popisывał się przede mną sprawnością umysłu i mięśni. Posiadał nieprzebrane zasoby wiadomości i śmiało mógł uchodzić za żywą encyklopedię. Omawiając szczegóły swojej konstrukcji powiedział:

- Wiesz, Adasiu, skóra ludzka jest najwspanialszym tworzywem. Nic nie może się z nią równać. Reaguje na dotyk, posiada elastyczność, jest nieprzemakalna, odporna na wahania temperatury, miękka, gładka. Ostatecznie sztuczne serce czy sztuczne płuca potrafi zmajstrować pierwszy lepszy student medycyny. To żadna filozofia. Ale na to, by z pospolitych składników uzyskać żywą skórę ludzką, trzeba być Ambrożym Kleksem, wielkim Ambrożym Kleksem.

Uczony, słysząc te pochwały, spuścił skromnie oczy i ruchem pełnym godności

podciągnął kalesony, po czym zabrał się do wkładania spodni.

- Słuchaj, Alojzy - rzekł po chwili namysłu. - Cieszę się, że król zaprosił nas do siebie.

Mam z nim parę spraw do omówienia. Przede wszystkim jednak pragnę zaprezentować cię. Nie przez małostkową próżność, możesz być pewny. Byłoby to niegodne uczonego.

Muszę jednak prosić króla, aby ci wybaczył twoje niedorzeczne zachowanie z przyprawioną nogą, W przeciwnym bowiem razie królewska straż schwyta cię i uwięzi.

- Mnie? Cha-cha-cha! - roześmiał się Alojzy. - Mogę jedną ręką podrzucić sześciu mężczyzn na wysokość drzewa. Ale ma pan rację, panie profesorze. Prawdziwi ludzie nie powinni załatwiać spraw przy użyciu siły.

Pan Kleks tymczasem zapiął guziki kamizelki, włożył surdut, wreszcie palcami obu dłoni rozczesał sobie brodę. Następnie wyjął z kieszeni srebrne pudełko, w którym przechowywał swoje słynne wzmacniające pigułki. Jedną dał mnie, a drugą zażył sam. Poczuliśmy się od razu rześcy i wypoczęci.

- Jesteśmy gotowi - rzekł pan Kleks do Alojzego. - Wróćmy teraz do reszty towarzystwa. Mam nadzieję, że nie potrzebuję ci udzielać żadnych wskazówek. Wsączyłem do twego mózgu całą zawartość mojej skarbonki pamięci. Wiesz tyle samo co ja. Idziemy. Proszę za mną.

W sąsiedniej sali zastaliśmy Weronikę i hodowcę róż oraz jego cztery córki. Na nasz widok pan Lewkonik z przejęcia pocisnął brodawkę na nosie, Weronikę dostał czkawki, a cztery panny grzecznie dygnęły na powitanie.

Pan Kleks lewą rękę oparł na biodrze, drugą wyciągnął przed siebie i rzekł:

- Moi państwo, pozwólcie, że wam przedstawię: pan Alojzy Bąbel, mój uczeń i wychowanek, absolwent Instytutu Spraw Zmyślonych.

- Panie profesorze - wtrącił hodowca róż - przecież myśmy się już z panem Bąblem



poznali w krainie Obojga Farmacji. Któż by nie pamiętał Pierwszego Admirała Floty, kawalera wielkiej wstęgi piramidonu z gwiazdą. Moja córka Rezeda...

- Drogi panie Anemonie - przerwał pan Kleks - ludzie nauki wiedzą, że przeszłość każdego człowieka zmienia się w miarę potrzeby, a nieraz ulega nawet zapomnieniu. Pan Alojzy Bąbel stał się zupełnie kim innym i liczy się tylko to, co przed chwilą o nim powiedziałem.

- O, ja się nie zgadzam - zaprotestował Weronik. - Pracuję uczciwie pięćdziesiąt lat jako dozorca dyplomowany, lokatorzy obiecali wyprawić mi jubileusz i nie chcę zamienić mojej przeszłości na inną.

- A co będzie z Rezedą? - zawołała Dalia i kichnęła siedem razy z rzędu.

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że Dalia cierpiała na katar dzienny, który zaczynał się o świcie, a ustawał tuż po zachodzie słońca.

- O ile mi wiadomo - wtrącił się Alojzy - panna Rezeda przebywała ostatnio w Królewskich Ogrodach.

- Nie ma jej tam - rzekł ze smutkiem hodowca róż. - Ktoś porwał mi ją sprzed nosa i uprowadził nie wiadomo dokąd. Niegodziwi ludzie bawią się moim dzieckiem jak piłką.

- Jeden-jeden - zauważył znacząco Alojzy. Natomiast pan Kleks podniósł palec do góry i rzekł:

- Panną Rezedą zajmę się we właściwym czasie. Przecież już mówiłem, że pośpiech to wróg rozsądku.

- Muszę wiedzieć gdzie jest Rezeda! - zniecierpliwił się pan Lewkonik. - Dostyc mam tej niepewności.

Sytuacja stawała się naprężona, Alojzy jednak szybko ją rozładował.

- Przecież jesteśmy zaproszeni do króla na lody! Niech żyje król! - zawołał wesoło.

- Masz rację Alojzy - stwierdził pan Kleks. - Minęło już południe. Najwyższy czas przerwać jałowe rozmowy, no i bezustanne kichanie. Król czeka. Ja pójdę przodem, a wy parami za mną. Panna Rezeda się znajdzie, możecie być spokojni. Broda czuwa. Proszę, ruszamy. Pan Lewkonik podaje ramię pannie Róży, pan Weronik prowadzi pannę Dalię, Adaś pannę Hortensję. Tak, dobrze. A na końcu - Alojzy z panną Piwonią.

Domyślcie się zapewne, że Piwonia nie omieszkała przy okazji ułożyć krótkiego wierszyka:

*Broda loda dobra chłoda*

*Bąbel wrąbel zdrów nie szkoda.*

Nauczyłem się już rozwiązywać te rymowane łamigłówki, zrozumiałem więc od razu, co Piwonia chciała powiedzieć w swoim dwuwierszu. Chodziło jej o to, że człowiekowi z brodą, czyli panu Kleksowi, zjedzenie dodatkowej porcji lodów grozi przeziębieniem, natomiast Alojzy może ich „wrąbać” bardzo dużo bez szkody dla zdrowia.

Zająłem się tutaj wierszykiem Piwonii, a tymczasem po wyjściu z domu czekała nas przykra niespodzianka. Na placu A-B zebrała się grupka Alamakotańczyków, wśród których rozpoznałem kilku dozorców z Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Byli bardzo wzburzeni, rozprawiali między sobą, a gdy ujrzeli Alojzego, jeden z nich zawołał:

- To ten!

- O co chodzi? - zapytał pan Kleks.

Najstarszy z dozorców zbliżył się do nas i oświadczył wskazując na Alojzego:

- Poznaję go! Pracował w Rezerwacie. Wczoraj nagle się ulotnił. A dzisiaj rano stwierdziliśmy kradzież dwustu siedemnastu rubinów. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

- Panowie! - rzekł spokojnie Alojzy. - Niesłusznie mnie posądzacie. Proszę, sami możecie się przekonać.

Mówiąc to wyrócił jedną po drugiej wszystkie swoje kieszenie. Nic w nich oczywiście nie miał, nawet chustki do nosa, gdyż doskonałość jego konstrukcji wykluczała możliwość kataru.

Dozorca przyglądał się Alojzemu ze zdumieniem, jako że nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, którego kieszenie byłyby całkowicie próżne. Nawet dzieci trzymają w nich mnóstwo rozmaitych cennych drobiazgów, jak notesiki, scyzoryki, pudełeczka, znaczki pocztowe, stalówki, sznurki, kamyki, muszelki czy kostki cukru. Natomiast Alojzy nie posiadał dosłownie nic, ponieważ dopiero od kilku godzin stał się prawdziwym człowiekiem. Dozorca przestał więc interesować się jego osobą, za to z większą jeszcze podejrzliwością spojrzął na Weronika, a potem na pana Lewkonika i na mnie. Pan Kleks wyglądał tak dostojnie, że był poza wszelkimi podejrzeniami, chociaż miał trzydzieści kieszeni, nie licząc dwóch zapasowych w kalesonach.

Grupa Alamakotańczyków przez ten czas znacznie się powiększyła i otoczyła nas ze wszystkich stron.

- Proszę nas puścić - rzekł pan Kleks. - Jesteśmy gośćmi króla i właśnie idziemy do niego na lody.

Ale Weronik przez zawodową solidarność wystąpił w obronie dozorców:

- Panie profesorze, ja na ich miejscu zrobiłbym to samo. Złodziej kradnie, a dozorca odpowiada.

Po tych słowach wyrócił kolejno kieszenie i pokazał ich zawartość. Pan Lewkonik ociągał się przez chwilę, w końcu jednak machnął ręką i rzekł:

- Trzeba prędzej z tym skończyć. Szkoda czasu. Proszę, patrzcie!. Jedna kieszeń... druga... trzecia... czwarta... I tu jeszcze piąta... To są nasiona kwiatów, to płyn odżywczy, a to fotografie rodzinne... W porządku?

Z niesmakiem przyglądałem się tej scenie, ale wobec zachowania Weronika i hodowcy nie pozostało mi nic innego jak pójść w ich ślady. Zacząłem więc od zewnętrznej kieszeni marynarki. Zagłębiłem w niej rękę i pod palcami poczułem coś sypkiego, w rodzaju kaszy. Wyciągnąłem kieszeń na zewnątrz i osłupiałem. Na ziemię, posypały się rubiny. Możecie sobie wyobrazić zarówno moje zmieszanie, jak i wzburzenie tłumu. Dwaj dozorczy chwycili mnie za ręce, pozostali zaś rozbiegli się po placu, wzywając strażników miejskich. Doleciały mnie okrzyki Alamakotańczyków. Jeden z nich zawołał:

- Złurdziej! Na patelnię złurdzieja!

Ktoś inny mu wtórował:

- Rzorcić draba kurgorturm na pordziurbanie!

Pan Kleks mówił coś wymachując rękami, ale nikt go nie słyszał.

W tym momencie z dachu sfrunął nagle Tri-Tri, usiadł mi na ramieniu i z jego przepełnionego dziobka na oczach wszystkich posypały się do mojej kieszeni rubiny.

Sytuacja od razu stała się jasna.

Poczułem żal do kolibra. Dałem mu prztyczka w dziób, opróżniłem kieszeń z nowej porcji rubinów i oświadczyłem dozorcóm z godnością:

- Jak widzicie, nie mam z tym nic wspólnego. Nie potrzebuję waszych rubinów i nie lękam się waszych kogutów. Idę na lody do króla. To wszystko.

Pan Kleks, wzruszony moimi słowami, otarł łzę, dumnie wysunął brodę do przodu i rzekł:

- Oto postawa godna uczonego!

Dalia kichnęła jedenaście razy, co w znacznym stopniu złagodziło rozdrażnienie dozorców. Jeszcze półgłosem szemrali i naradzali się między sobą, ale na szczęście nadbiegł zdyszany ministrón Pogody i Czterech Wiatrów, wołając już z daleka:

- Panie, panowie! To nie wypada! Król czeka już od pół godziny, ministron Dworu szaleje. Tak nie można!

Pan Kleks w kilku słowach opowiedział Limpotronowi o naszej przygodzie.

- Nie uszanowaliście królewskich gości - skarcił Limpotron dozorców. - Za niewłaściwe podejście do sprawy każę wam zmniejszyć premię. Zamiast pięciu jajek na głowę dostaniecie po trzy. To oduczy was bezduszności.

## **ALOJZY BĄBEL**

Dzień był wyjątkowo upalny. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ludzie, że użyję tu określenia Alamakotańczyków, smażyli się jak jajka na patelni. Owoce gungo wskutek skwaru pękały na drzewach z głośnym trzaskiem niczym petardy. Z pana Lewkonika pot spływał ciurkiem, pozostawiając na chodniku przy każdym stąpieniu mokre plamy. Wszystkie okna zasłonięte były żaluzjami, ulice opustoszały i tylko dzieci bawiły się na golasa w „jajko do dołka” i w „alamberka”.

Pan Kleks nie odczuwał upału, chociaż miał na sobie jak zwykle ciepłą bieliznę, kamizelkę, surdut i sztywny kołnierzyk. Pewnego dnia wyznał mi poufnie:

- Kto ma olej w głowie, ten się nie poci. Panuję nad moimi gruczołami. Wytwarzam w sobie własną klimatyzację. Posiadam samoczynny regulator temperatury. A wszystko mieści się tu!

Przy tych słowach uderzył się dłonią w czoło.

Tak, to był wspaniały umysł!

Zresztą o geniuszu pana Kleksa mógł naocznie przekonać się każdy, kto kiedykolwiek miał okazję zetknąć się z Alojzym Bąblem.

Dzieło to było wykonane z taką precyzją, że w ten upalny dzień, kiedy szliśmy na lody do króla, z czoła Alojzego spływały strużki prawdziwego potu. Pan Kleks nie zapomniał o

najdrobniejszym szczególe. Wystarczy powiedzieć, że Alojzy, chociaż jego sztuczny organizm nie wymagał snu, sypiał jak każdy śmiertelnik, z zamkniętymi oczami, i w dodatku głośno chrapał.

Wróćmy jednak do naszej opowieści, gdyż Limpotron czeka i bardzo się niecierpliwi. Z półgodzinnym spóźnieniem zjawiliśmy się w pałacowym ogrodzie. Przy wejściu powitał nas ministron Dworu, Trąbatron.

Nie potrafiłbym opisać tego ogrodu. Jeśli czytaliście o czymś podobnym w bajkach z Tysiąca i Jednej Nocy, możecie mieć zaledwie nikłe wyobrażenie o przepychu, jaki ukazał się naszym oczom, o feeri barw, o fantastycznej architekturze kwietników i klombów, o aromacie, którego nie sposób wyrazić słowami. Poprzedniego dnia oglądaliśmy z panem Lewkonikiem dzieło uczonych ogrodników, ale ten ogród był dziełem artysty.

Pośrodku znajdowało się nieduże jezioro, w którym pluskały się ryby-fontanny strzelające w górę strugami złota i srebra. Na powierzchni jeziora kołysał się model bajdockiego statku „Apolinary Mrk”, wykonany z samogrających pozytywek. Wśród drzew stały cieniste altany, po których pięły się nieznane kwiaty o płatkach trzepoczących jak motyle. Co godzina zmieniały one kolory, wydając przy tym dźwięk szklanych dzwoneczków. Nawet pan Lewkonik czegoś podobnego dotychczas nie widział.

Król Kwaternoster I przyjął nas w altanie rządowej, oplecionej kwiatami w barwach narodowych. Dwie smagłe służebnice wachlowały go palmowymi liśćmi. Obok króla stał pusty fotel, przeznaczony dla przyszłej królowej. Kwaternoster I jak dotąd, nie znalazł odpowiedniej dla siebie żony i wskutek tego nie miał następcy tronu co bardzo martwiło jego poddanych.

Król trzymał na kolanach Królewskiego Koguta, którego pieścotliwie głaskał, tak jak u nas głaszczę się ulubionego kota. Był to okaz niezwykły. Miał podwójny grzebień i

ogon wyjątkowej piękności. Tytuł Królewskiego Koguta nadawano zwycięzcy w dorocznym konkursach piana. Ten, którego król trzymał na kolanach, zapiał trzydzieści siedem razy z rzędu, pobił wszystkie dotychczasowe rekordy i zdobył nagrodę państwową pierwszego stopnia.

Przyjęcie u króla miało charakter prywatny, a więc prócz nas było tylko jeszcze kilku ministronów z żonami.

Pan Kleks przeprosił króla za spóźnienie, my natomiast złożyliśmy głęboki ukłon, przy czym panny Lewkonikówny wytwornie dygnęły. Pan Kleks przedstawił Alojzego jako swojego ucznia i dodał:

- Jest to młodzieniec nader osobliwy. Pozwolisz, królu, że ci o nim później opowiem.

Kwaternoster I przyglądał się Alojzemu z wielką uwagą, jak gdyby usiłował coś sobie przypomnieć. Wreszcie rzekł:

- Przysięgłbym, że już go gdzieś widziałem... Zresztą mniejsza o to... Trąbatronie - zawołał zwracając się do ministra Dworu - zajmij się gośćmi i każ podać lody!

Podczas tej krótkiej rozmowy Weronik wyciągnął z kieszeni flanelową szmatkę i dyskretnie wytarł z kurzu fotel przyszelej królowej.

Z pałacu wybiegło dwunastu paziów niosąc na srebrnych tacach lody i napoje.

Minstronowie zaprosili panny Lewkonikówny do altanek, gdyż słońce przypiekało coraz mocniej. Pan Lewkonik z galanterią towarzyszył premierowej Tronodentronowej i ministronowej Fajatronowej, zaś Weronik zabawiał pozostałe panie opowiadaniem o własnej metodzie sprzątania klatek schodowych.

Pan Kleks poprosił króla o rozmowę, dając równocześnie znak mnie i Alojzemu, byśmy zostali przy nim.

- Królu - rzekł, gdy reszta towarzystwa rozproszyła się po ogrodzie - oto człowiek,

który kopnął cię wczoraj swoją sztuczną nogą!

- Co? To on?! - zawołał król. - Natychmiast każę go aresztować i zamknąć w kurniku.

- Nie uczynisz tego, królu - powiedział spokojnie wielki uczonec. - Nie uczynisz tego, skoro dowiesz się, że Alojzy Bąbel to arcydzieło techniki stworzone przeze mnie, wiekopomny wynalazek naszych czasów, największe osiągnięcie ludzkiego umysłu. Alojzy, zbliż się do króla!

Alojzy posłusznie wykonał polecenie. Kwaternoster I podejrzliwie oglądał go ze wszystkich stron, pociągnął go za nos, potem za ucho. Nagle zerwał się z fotela i zawołał:

- Teraz go poznaję! Na nic się nie zdadzą te opowiadki. Przecież to on wyłowił nas z morza, kiedy płynęliśmy w beczce, i wziął na pokład swego statku. A potem czterem naszym marynarzom dał pastylki odmładzające i sprowadził ich do stanu niemowlęctwa. Pamiętam tego Pierwszego Admirala Floty! Niemało zalał mi sadła za skórę! Ja go...

- Królu - przerwał pan Kleks - dopiero dzisiejszego ranka usunąłem drobne usterki konstrukcyjne mojego dzieła. Dotychczas Alojzy istotnie zachowywał się niesfornie. Ale od dzisiaj stał się doskonałością. Powtarzam: do-sko-na-łoś-cią! Wszystko funkcjonuje bezbłędnie.

Profesorze - odparł król siadając ponownie na swoim fotelu - nie mogę uwierzyć, że ten osobnik jest rzeczywiście automatem. To taki sam człowiek jak my dwaj!

Pan Kleks z tryumfującą miną pogłaskał się po brodzie, wziął Alojzego za rękę i podszedł z nim do Kwaternostra I.

- Trudno w to uwierzyć, nie przeczę - powiedział z godnością. - Wykonanie Alojzego jest niezwykle precyzyjne, a poprzez skórę nie sposób wyrobić sobie wyobrażenia o jego wewnętrznej konstrukcji. Ale tędy można zajrzeć... O, proszę.

Mówiąc to wyjął z kieszeni elektronową, a właściwie elektronajnowszą



mikrokosmiczną lupę i zbliżył ją do źrenicy Alojzego. Król nieufnie zmrużył jedno oko, podczas gdy drugie przytknął do okularu lupy i zaniemówił z wrażenia. Po chwili jednak, nie odrywając wzroku od obrazu, który zobaczył, zaczął wykrzykiwać:

- Nieprawdopodobne! Zdumiewające! Widzę srebrne punkciki... Tysiące srebrnych punkcików... Tak!... To kółka! Obracają się... Co za mechanizm!... Teraz przesuwają się zadrukowane tasiemki... O, światełka!... Zapalają się i gasną... Cudowne!... A to co?... Ojej!... Widzę szare komórki!... Nie!... To miniaturowe ekraniki... Odbijają się w nich myśli Alojzego... Widzę tam siebie... Widocznie Alojzy pomyślał o mnie... Wprost nie do wiary... Co za ruch... Co za precyzja... Genialne!... Nareszcie wiem, jak wygląda mózg elektronowy!... Pan Kleks przerwał pokaz i schował lupę do kieszeni.

W tym momencie zbliżył się Limpotron, za nim paż z tacą świeżych lodów. Król stosownie do ceremoniału skosztował z każdej porcji po łyżeczkę, a my spałaszowaliśmy resztę, gdyż było piekielnie gorąco. Limpotron w obawie, że mogą spotkać nas przykrości ze strony strażników miejskich, opowiedział królowi historię z rubinami.

Kwaternostra I ubawiła nasza przygoda. Zapominając o swej monarszej godności, roześmiał się rubasznie, po marynarsku, i rzekł do mnie:

- A to pyszny kawał! Nieźle pana ten ptaszek urządził, niech go kura kopnie!

Chciałbym mieć takiego kolibra w swoim ogrodzie!

Ledwo król wyrzekł te słowa, gdy z drzewa sandałowego sfrunął Tri-Tri, usiadł mu na głowie i kilkakrotnie stuknął dziobkiem w królewski nos.

- Co to? Nowy zamach! - krzyknął król. - Limpotronie, złap go natychmiast! <O<

wołając: ministronowie, pozostali niego do się Przyłączyli kolibrem. za pogoń w rzucił Wiatrów Czterech i Pogody>

- Trzymać! Łapać!

A tymczasem Tri-Tri szybował beztrzesko nad ich głowami, aż w końcu usiadł na stateczku „Apolinary Mrk” zakotwiczonym pośrodku jeziora. Ministronowie bezradnie stali na brzegu i wymachiwali rękami.

Kiedy już wszyscy zrezygnowali z pościgu, Tri-Tri dobrowolnie opuścił bezpiecznie schronienie, usiadł ponownie na ramieniu króla i pieszczotliwie pogłaskał go dziobkiem po policzku.

Minstronowie rzucili się z hurmem, aby złapać kolibra, ale Kwaternoster I, który już zdążył się udobruchać, powiedział: „amnestia” i pozwolił ptaszkowi krążyć swobodnie nad królewską głową.

Po tym zajściu towarzystwo wróciło do swoich altanek, natomiast król i pan Kleks ponownie zajęli się Alojzym, który stał spokojnie na uboczu.

- Tak - podjął król przerwana rozmowę - dokonał pan rzeczy niewiarygodnej. Ale wątpię, aby Alojzy potrafił myśleć samodzielnie. To jest chyba niemożliwe.

- Nie doceniasz, królu, mojego dzieła - oburzył się pan Kleks. - Proszę, porozmawiaj z nim, jeśli łaska.

Król wciąż jeszcze nie dowierzając zapewnieniom uczonego, posadził Alojzego obok siebie i zapytał:

- Powiedz mi, mój drogi, ile jest siedem razy dziewięć?

Alojzy uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Królu, nie jestem dzieckiem. Jeśli chcesz, mogę pomnożyć w pamięci liczbę mieszkańców tego kraju przez liczbę kur i podzielić iloczyn przez liczbę kogutów.

- Ho-ho! - rzekł z podziwem Kwaternoster I, po czym, zachęcony, zabrał się z zapalem do egzaminowania Alojzego. Padały więc kolejno pytania i odpowiedzi niczym w zgaduj-zgaduli:

- Jak daleko jest z Alamakoty do Patentonii?

- 763 kilometry, 126 metrów i 70 centymetrów.

- Kto panuje w Abecji?

- Królowa Aba.

- Jak nazywa się największa rzeka w Parzybrocji?

- Zalewajka.

- Ile mam włosów na głowie?

- 107493.

- Świetnie! Zgadza się co do jednego! A powiedz mi, ile jest wysp na Oceanie

Niespokojnym?

- 1749.

- Alojzy, jesteś genialny! - zawołał król z takim zachwytem, że Królewski Kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał na całe gardło.

- Jestem zaledwie nikłym odbiciem profesora Kleksa - powiedział skromnie Alojzy. - On użyczył mi odrobinę swojej wiedzy i zasobów pamięci.

Po tej rozmowie króla z Alojzym pan Hleks stanął dumnie na jednej nodze, lewą rękę przyłożył do kamizelki, prawą wyciągnął przed siebie i rzekł:

- Królu! Dokonałem w nauce przewrotu. Obaliłem błędne poglądy chemików, fizyków, biologów; odkryłem kleksyczne prawa przyrody, kleksyczne zasady budowy komórek, osiągnąłem nie znane dotąd wyżyny wiedzy, opracowałem własne teorie, dzięki którym udało mi się, pierwszemu w świecie, stworzyć sztucznego człowieka. Automaty mózgowe Patentonczyków mogą wykonywać dwieście tysięcy działań na sekundę. Mój Alojzy działa z szybkością myśli. Dlatego stał się niemal równy człowiekowi. Powiadam „niemal”, gdyż brak mu tylko jednej rzeczy: fantazji.

Król oszołomiony słowami pana Kleksa strącił z kolan Królewskiego Koguta, wybiegł z altanki i zawołał:

- Ministronowie, panie, panowie, proszę do mnie! Pragnę obwieścić wam rzecz niezwykłą! .

Pierwszy nadbiegł Trondodentron, przerażony, że nastąpił nowy zamach na króla. Tuż za nim, podskakując z właściwą sobie lekkością zjawił się Lewkonik. Niebawem też nadciągnęła reszta towarzystwa, a na końcu, zgodnie z głoszoną przez siebie dewizą, że prawdziwy dozorca nigdy się nie spieszy, kroczył Weronik.

- Czy mam wezwać straż? - zapytał premier z niepokojem.

- Masz słuchać! - rzekł uroczyście król wypinając klatkę piersiową, na której były wytatuowane jego zmyślane bohaterskie czyny. - Profesor Kleks zaprezentował mi swoje niezrównane arcydzieło. Chcę, aby każdy z was mógł je podziwiać. Oto Alojzy Bąbel, sztuczny, mechaniczny, uniwersalny człowiek, wykonany własnoręcznie przez naszego wielkiego uczonego. Alojzy, przedstaw się!

Alojzy uklonił się z galanterią. Ministronowie obmacywali go ze wszystkich stron, wydając okrzyki zdumienia.

- Widziałem sztuczne ręce, sztuczne nogi - zauważył Fajatron - ale cały człowiek? Chciałbym usłyszeć go mówiącego.

- Panie ministronie - powiedział uprzejmie Alojzy - mogę wygłosić przemówienie trwające dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, ale obawiam się, że znużyłbym obecne tutaj damy.

- Niezwykły okaz - rzekł Trąbatron. - Co za mechanizm!

- Fenomenalny! Rewelacyjny! - stwierdził Trondodentron.

- Ciekaw jestem, czy zna się również na hodowli kur - powiedział Paramontron.

- Znam 79 zasad wylęgu kurczątków oraz 43 sposoby krzyżowania kurzych ras i gatunków

- rzekł skromnie Alojzy.

Wszyscy byli tak poruszeni i oszołomieni, że Hortensja przerwała swoje monologi,

Piwonia przestała mówić wiersze, a nawet Dalia tym razem powstrzymała się od kichania.

Jeden tylko Weronik nie mógł opanować czkawki, ale w przerwie zdołał wykrztusić:

- Żal mi go... Nie miał matki... Sierota...

Alojzy, gdy usłyszał te słowa, nagle posmutniał i zamrugał powiekami, jak gdyby był bliski płaczu.

- Nie martw się, Alojzy! - zawołał wesoło pan Kleks. - Ja jestem twoim ojcem i twoją matką. Wymyślę dla ciebie taki rodowód, jakiego nie powstydziliby się nawet król

Kwaternoster I. Głowa do góry!

Królewski Kogut po raz drugi zatrzepotał skrzydłami i zapiał pięknym, donośnym głosem. Odpowiedziało mu pianie jeszcze wspanialsze i głośniejsze. Rozejrzeliśmy się dokoła, gdyż w pobliżu nie było żadnego innego koguta. I cóż myślicie? To Alojzy zabłysnął jedną ze swoich umiejętności.

Alamakotańczycy spojrzeli na niego z największym podziwem, natomiast pan Kleks wysoko zadarł głowę i rzekł uroczyście:

Królu, panie, panowie! Pokazałem wam moje dzieło, a teraz ujawnię wam moje zamysły. Patrzę w przyszłość. Gdybym miał odpowiednie warunki, w ciągu roku wykonałbym dokumentację wielkiej bąblowni. Za trzy lata mogłaby ruszyć seryjna produkcja Bąbli. Dzisiejszy dzień to przełom w dziejach ludzkości. Widzę oczami duszy tę świetlaną erę, kiedy każdy ministron, każdy księgowy, inżynier czy lekarz, ba każdy uczeń w szkole będzie miał do pomocy własnego Bąbla. Świat wkroczy w bąbloepokę. W roku dwutysięcznym już nie my, ale Bąble będą produkowali samych siebie. Zbliżają się życie

ludzkie od podstaw. Oto moja idea!

Pan Kleks mówił głosem natchnionym, oczy mu płonęły, a w brodzie rozlegał się trzask elektrycznych iskier.

Król wybiegł z altanki, objął wielkiego uczonego i zawołał:

- Profesorze, ja panu stworzę warunki do urzeczywistnienia pańskiego genialnego planu! Oddam do pana dyspozycji wszystkie kury i koguty, wszystkie jajka i zegarki, całe bogactwo Alamakoty. Od jutra możemy przystąpić do bąbłobudowy.

Wszystkie oczy zwrócone były na Alojzego, Weronik otrzepywał mu z kurzu trzewiki, panny Lewkonikówny spoglądały jak urzeczone, gdy oto rozległ się tubalny głos premiera:

- Królu, pragnę zauważyć, że produkcja Bąbli stanie się dla nas posunięciem antyimportowym. Obejdziemy się bez zagranicznych specjalistów. Bąble nam ich zastąpią. Alamakota wysunie się na pierwsze miejsce wśród potęg świata. Musimy stworzyć gigantyczny bąbłokombinat. Rada Ministronów przystąpi natychmiast do opracowania zasad zbąbłowania gospodarki narodowej.

- Dziękuję. O to mi właśnie chodziło! - rzekł pan Kleks rozczesując palcami brodę. -

Przyjechałem do Alamakoty, żeby zabrać Bajdotów z powrotem do ojczyzny, a tymczasem sam gotów jestem tutaj zostać.

- Nas stąd zabrać? - zdziwił się król. - A cóż by Alamakotańczycy zrobili bez nas?

Piastujemy tu najwyższe godności i żaden Bajdota nie będzie chciał się tego wyrzec. A zresztą staliśmy się tutaj ludźmi czynu, nie potrafilibyśmy już żyć bajkami. Sprzykrzyło nam się nudne bajkopisarstwo. Tu zostaniemy i pan zostanie z nami.

Pan Kleks myślał chwilę, po czym rzekł:

- Nie lekceważcie bajek. Nie lekceważcie fantazji. Bez fantazji nie może powstać nic wielkiego. Alojzy pozbawiony jest wyobraźni. Dlatego właśnie może służyć ludziom, ale

nigdy nad ludźmi nie zapanuje. Wszystko przewidziałem. Prawdziwy uczonek nie stworzy nic przeciwko człowiekowi.

- Niech żyje pan Kleks! - zawołała chórem rodzina Lewkoników.

- A więc dobrze - oświadczył wreszcie wielki uczonek. - Przyjmuję twą propozycję, królu. Za dwa tygodnie mogę przystąpić do pracy. Przedtem jednak muszę zakończyć pewne ważne sprawy. To długo nie potrwa.

- Przepraszam - wtrącił nieśmiało Alojzy - a co się stanie ze mną?

- Użyczyłem ci pełnej samodzielności - odrzekł pan Kleks. - Możesz robić, co chcesz. Jesteś wolny tak jak każdy z nas.

- Panie profesorze - zauważył rezolutnie Alojzy - przecież ja jestem prototypem. Beze mnie seryjna produkcja nie ruszy z miejsca.

- Kochany! - zawołał pan Kleks. - Ależ oczywiście, masz rację. Królu, musimy Alojzego za wszelką cenę zatrzymać. Jest on dla nas niezbędny!

- O, nic prostszego - odparł Kwaternoster I. - Mogę ofiarować Alojzemu wysoki urząd w Alamakocie. Potrzebujemy mądrych administratorów.

- Królu - oświadczył Alojzy - profesor Kleks uczynił mnie zdolnym do wykonywania wszelkich funkcji i do pełnienia wszelkich urzędów. Mogę być ogrodnikiem, marynarzem, inżynierem, aptekarzem, generałem, dyrektorem, ministronem. Jestem wprost stworzony do tego, żeby służyć każdemu, kto tego potrzebuje.

- Widzisz, królu - wtrącił pan Kleks - Alojzy Bąbel jest mądry, bystry, układny, poprawny, nienaganny, niezawodny, opanowany, spokojny, rzetelny, godny zaufania. Brak mu tylko fantazji. Posiada więc wszystkie zalety, których wymaga się od dobrego urzędnika. Król zastanawiał się przez kilka minut. Zapanowało ogólne milczenie, przerywane tylko kichaniem Dalii. Wreszcie, zwracając się do premiera Trondodentrona, Kwaternoster I

przemówił:

- Mój przyjacielu, powołuję pana Alojzego Bąbla na stanowisko ministrona w rządzie Alamakoty. Który jest dzisiaj? Trzydziesty czerwiec? Otóż od pierwszego lipca obejmie on urząd ministrona Dalekiej Żeglugi. No i oczywiście otrzyma tytuł Pierwszego Admirala Floty. Proszę przygotować odpowiednie dekrety nominacyjne. Należy też załatwić dla niego ministronalne mieszkanie i przydział rządowych jajek. Z chwilą gdy nastąpi nominacja, pan Bąbel nazywać się będzie Alojzytron. To wszystko.

Królewski Kogut zapał po raz trzeci.

- Aordienca Skurńczurna! - oświadczył ministron Dworu.

Skłoniliśmy się królowi, pożegnaliśmy członków rządu i po wymianie wzajemnych grzeczności udaliśmy się na zaproszenie ministrona Paramontrona na obiad do Instytutu Smażenia Jajeczniczy.

Muszę wyznać, że przyjęcie u Kwaternostrza I, pomimo że zjadłem kilka porcji lodów, porządnie mnie znudziło. Uczestniczyłem w pracach pana Kleksa nad konstrukcją Alojzego od samego początku, jeszcze w Akademii. Znałem teorie naukowe wielkiego uczonego, obecnie więc nie dowiedziałem się nic nowego. Zresztą, prawdę mówiąc, wolałem dawnego Alojzego z jego wadami technicznymi, kiedy wymykał się spod władzy pana Kleksa, był niesforny i płatał przeróżne nieobliczalne figle. Na moje oko bardziej wtedy przypominał prawdziwego człowieka niż teraz, odkąd mechanizm jego zaczął działać z doskonałą precyzją. Usunięcie błędów konstrukcyjnych pozbawiło Alojzego fantazji, ale, ostatecznie, było zgodne z zamierzeniami pana Kleksa.

Szliśmy tym razem na przełaj, skrótem, obok boiska sportowego, gdzie właśnie odbywał się mecz piłki nożnej. Możecie sobie wyobrazić, z jaką szybkością toczyła się gra, skoro obie drużyny składały się z trzynożnych piłkarzy, a bramkarzami byli alambajscy



chłopcy o trzech rękach. Osobliwość gry polegała na tym, że liczyły się wyłącznie gole strzelone środkową nogą, a ponieważ sędzia nigdy nie mógł tego ustalić w sposób całkiem pewny, przeto mecze kończyły się zawsze remisem.

Przyglądaliśmy się z zainteresowaniem tej ciekawej grze, gdy nagle piłka wybita na aut potoczyła się w naszą stronę. Wtedy Alojzy błyskawicznym kopnięciem wystrzelił ją w górę z taką siłą, że po dziesięciu minutach jeszcze nie spadła z powrotem na ziemię.

Ruszyliśmy więc w dalszą drogę, pozostawiając graczy i kibiców sportowych z rozdziawionymi ustami i wzrokiem utkwionym w niebo.

Panny Lewkonikówny mogły teraz pofolgować swoim przyzwyczajeniom.

Hortensja mówiła:

- Niech mi pan wytłumaczy, panie Adasiu, dlaczego król Kwaternoster I dotąd się nie ożenił? Pewnie dlatego, że żadna cudzoziemska księżniczka nie zgodziłaby się żyć samą jajecznicą. .

Dalia kichała bez przerwy, płosząc motyle, a Piwonia ułożyła długi wiersz o Alojzym, zakończony słowami:

*Oj-zły Alojzy flota plusk*

*A wielorybka szybka mózg.*

Naszej miłej poetce chodziło prawdopodobnie o to, że Alojzy zatopi flotę, a jego mózg stanie się pastwą wieloryba. Nie jestem przekonany, czy dobrze objaśniłem sens tego dwuwiersza, gdyż nie znam się niestety na poezji. Pan Lewkonik zrobiłby to na pewno dużo lepiej ode mnie.

Róża nie interesowała się literaturą. Tak jak rodzice kochała kwiaty. Była najstarszą córką pana Lewkonika i sądząc z jego słów, odznaczała się uderzającym podobieństwem do swojej matki Multiflory. Sam zresztą stwierdziłem, że gdziekolwiek się pojawiła, bił od niej

naturalny aromat róż. Miała ślicznie zadarty nosek, była małowówna, ale za to lubiła nucić wesołe piosenki. Pan Kleks chętnie jej wtórował przebierając palcami na wargach i podśpiewując swoje „pa-ram-pa-ram”.

Ta urocza dziewczyna miała tylko jedną wadę, wadę wymowy: „r” wymawiała jako „k”. Siebie nazywała więc Kózą zamiast Różą, Weronika - Wekonikiem. Rosa w jej ustach brzmiała jak kosa, ręka jak kęka, rura jak kuka. O królu mówiła kkuł Kwateknostek Piekwszy, a imię swojego koliberka wymawiała Tki-Tki.

Podobnie i teraz, w chwili gdy wchodziła na teren Instytutu Smażenia Jajeczniczy, zawołała:

- O, Tki-Tki! Wkócił.

Istotnie koliberek usiadł mi na ramieniu i szepnął do ucha pewne ważne wiadomości.

Zaraz też dałem mu kilka poleceń i odesłałem z powrotem do miasta.

Niebawem w sali probierczej zasiedliśmy do obiadu. Podano nam jajecznicę o różnych smakach: z orzechami, z bananami, z makiem, z groszkiem, z kapustą morską, z rybą wątróbką i z krewetkami.

Siedziałem pomiędzy Alojzym i panem Kleksem, ale nie brałem udziału w rozmowie, gdyż znów zaczął mnie nurtować niepokój o los rodziców. Pan Kleks dostrzegł troskę na mojej twarzy. Wyjął z kieszeni skarbonkę pamięci, przyłożył ją do czoła i po chwili zastanowienia oświadczył:

- Drodzy przyjaciele! Mamy już załatwioną sprawę Alojzego. Sprawa repatricji

Bajdotów odpada. O Rezedę możecie być spokojni. Jestem na jej tropie. Pozostaje nam jeszcze sprowadzenie małżonki pana Lewkonika - Multiflory oraz odnalezienie rodziców Adasia Niezgódki. A na koniec - powzięcie decyzji co do dalszych losów mojej Akademii.

Zatrzymajmy się przy punkcie drugim. Ty, Alojzy, od jutra obejmiesz urząd ministrona

Dalekiej Żeglugi i Pierwszego Admirala Floty. Bądź łaskaw zarządzić, abyśmy pojutrze otrzymali do dyspozycji odpowiedni okręt. Obejmiesz nad nim dowództwo. Wyruszamy do Wyspy Sobowtórów: ja, Adaś i pan Weronik. Pan, panie Anemonie, musi zostać tutaj i zaopiekować się córkami. A więc postanowione! Drugiego lipca w południe odbijamy od brzegów Alamakoty!

Przemówienie pana Kleksa wywołało nieopisaną radość w rodzinie Lewkoników. Hodowca róż podbiegł do wielkiego uczonego i ucałował go w ucho, rozpromienione dziewczęta klaskały w dłonie, Dalia kichała jak najęta, a Róża wołała:

- Bkawo, bkawo! Niech żyje pan pkofesok!

- Idźcie teraz wszyscy do ogrodu - powiedział pan Kleks. - Muszę odbyć z Alojzym i Adasiem naradę nawigacyjną. Proszę nam nie przeszkadzać.

Gdy zostaliśmy sami, uczonego wyjął z kieszeni swoją samoczynną sprężoną mapę, rozłożył ją na stole i rzekł:

- Spójrz, Alojzy... To jedyna mapa na świecie, na której uwidoczniona jest Alamakota oraz inne kraje, uważane przez różnych nieuków za nie istniejące. Tu, na północny zachód od Alamakoty, leży archipelag Wysp Kaktusowych, dalej Cieśnina Świętego Pantalęyka... Tędy wychodzimy na Ocean Niespokojny, omijamy Przylądek Wiecznego Pióra i wypływamy wprost na Wyspę Sobowtórów. Jak widzisz, odległość jest stosunkowo niewielka. Jeśli weźmiemy kurs nieco bardziej na północ, będziemy mieli do przebycia w linii prostej około trzystu alamakotańskich mil morskich. A więc podróż nasza nie powinna trwać dłużej niż osiem godzin.

- Tak, tak, słusznie - powiedział ze znanstwem Alojzy. - Podejmuję się nawet rozwinąć większą szybkość, niż pozwalają przepisy nawigacyjne w tym rejonie Oceanu Niespokojnego. Gdy pływałem na „Pigularii”, nauczyłem się różnych korsarskich sztuczek.

- Żebyś tylko nie przeholował - upominał go Kleks.

W tym momencie Alojzy rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, i powiedział szeptem:

- Panie profesorze... Od jutra będę ministronem... Jeśli pan sobie życzy, mogę obalić Kwaternostra I i obwołać pana królem Alamakoty.

Pan Kleks wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Chyba oszalałeś, Alojzy! - zawołał. - Też pomysł! To tak, jakbyś zaproponował lwu, żeby został karaluchem! Ja - wolny, niezawisły umysł, miałbym włożyć na głowę ten garnek zwany koroną? Ja - Ambroży Kleks?!

Po chwili zaś dodał surowo:

- Proszę cię, Alojzy, tylko bez takich wybryków. Ofiarowałem ci samodzielność, ale wiesz chyba, że mam cię na fali ultrakrótkiej 0,000001 metra i mogę w każdej chwili uruchomić aparaturę zdalnego kierowania. Wtedy skończy się twoja samodzielność.

Zrozumiałeś? Miej się na baczności!

Mówiąc to pan Kleks pogroził mu kciukiem prawej ręki, co oznaczało bardzo poważne ostrzeżenie.

Alojzy zaczerwienił się, bo nawet i o tym drobnym szczególe konstrukcyjnym nie zapomniał nasz wielki uczonec.

Chciałem panu dogodzić, panie profesorze - powiedział ze skruchą, po czym, zmieniając szybko temat, dorzucił: - W oznaczonym terminie mój okręt flagowy będzie gotów do wyjścia w morze.

Skończyliśmy naszą rozmowę. Pan Kleks nasłuchując zbliżył się do otwartego okna, gdyż z ogrodu dolatywał śpiew Róży. Była to ulubiona piosenka profesora.

*Na gałęzi siedzi ptak,*

*Chcę go złapać, ale jak?*

*Po gałęzi wleź na szczyt,*

*Nie złapałeś? A to wstyd!*

*Brzegiem rzeczki pełznie rak,*

*Chcę go złapać, ale jak?*

*Nic się nie bój, łap za kleszcz,*

*Gdy ugryzie cię, to wrzeszcz.*

*Pośród kłosów rośnie mak,*

*Chcę go zerwać, ale jak?*

*Zerwij ręką! Brak ci sił?*

*To nie mak, to motyl był.*

Chociaż Róża zamiast „rak” mówiła „kak”, a zamiast „rośnie” - „kośnie”, pan Kleks przysłuchiwał się piosence z błogim uśmiechem, palcami bębnił w takt o parapet okna i przyśpiewywał:

- Pa-ram-pam-pam, pa-ram-pam-pam!

W tym momencie poczułem, że coś otarło się pod stołem o moje nogi. Nie mógł to być pies, gdyż psów nie znano w Alamakocie. A więc chyba kogut? Wsunąłem rękę pod stół, złapałem kogoś za nos i wyciągnąłem Zyzika.

- To ty? - zawołałem. - Podśluchiwałeś, nicponiu!

- Podśluchiwałem - odparł Zyzik bezczelnie. - Ale nic nikomu nie powiem. Daję alambajskie słowo honoru. Tylko zabierzcie mnie z sobą na Wyspę Sobowtórów. Mogę się przydać. A to, co ten pan mówił o królu, wcale mnie nie obchodzi. Umieję trzymać język za zębami.

Alojzy chwycił Zyzika za ramię tak mocno, że o mało mu nie pogruchotał kości.

Chłopiec wrzasnął z bólu, ale tu wdał się w sprawę pan Kleks.

- Puść go, Alojzy - powiedział spokojnie. - Za to, że podsłuchiwał, mógłbym go zamienić w muchę. Posiadam taki przebieralnik! Ale mam lepszy pomysł. Trzeba wlać mu oleju do głowy. Zabierzemy go z sobą. Jest ciekawy, a ciekawość to droga do wiedzy. Potrafię zrobić z niego dzielnego chłopca. Zyzik, jedziesz z nami!

Taki to był człowiek pan Kleks.

Tymczasem zrobiło się dosyć późno. Z oddali dobiegało chóralne pianie kogutów, gdyż była to pora spuszczenia ich z łańcuszków.

Podziękowaliśmy Paramontronowi za wyborny poczęstunek, po czym na użyczonych nam hulajnogach wróciliśmy do domu.

Bulpo i Pulbo, dwaj uczeni ogrodnicy spośród pięciu, których pan Lewkonik zaprosił na wieczór, czekali już z bukietami kwiatów dla panien Lewkonikówien. Pozostali trzej mieli tego dnia nocny dyżur.

Hodowca róż znalazł w królewskich ogrodnikach bratnie dusze i od razu przystąpił do rozmów na temat alamakotańskiej botaniki, opisanej w najnowszej pracy pana Kleksa pt. „Alamakotanika”. Dzieło to ukazało się w przeddzień naszego przyjazdu do Alamakoty.

Weronik przerwał im ciekawą dyskusję:

- Panie Anemonie, myślę, że ci młodzi panowie woleliby zabawić się w jakąś grę towarzyską z pańskimi córkami. Powiedzmy, w „wesołego dozorcę”. Albo w „myjmy schody”. Albo w „zamiatanego”.

- Proponuję w „zamiatanego”! - zawołał pan Kleks.

Wobec tego Weronik przyniósł miotłę i zaczął nas gonić po wszystkich pokojach. Ten, kto dał mu się „zamieść”, przejmował miotłę i z kolei gonił innych. Najzręczniejszy okazał się pan Lewkonik, który odbijał się od podłogi i unosił nad naszymi głowami jak balonik.

Zdobył największą ilość punktów i dlatego wolno mu było wybrać następną grę.

- Świetnie! - zawołał rozbawiony pan Kleks. - Może zagramy w „trzy wiewiórki”?

Pan Lewkonik stanął na środku pokoju, pocisnął brodawkę na nosie i rzekł dumnie wypinając brzuch:

- Mam propozycję. Zabawmy się teraz w „oświadczyń”. Panowie wybierają.

- O, z takimi rzeczami to nie ma żartów - zauważył Weronik.

- Kto chce, ten żartuje, a kto chce, oświadcza się na serio! - rzekł wesoło pan Kleks, pocieszenie głaszcząc brodę z góry na dół i z dołu do góry.

Alojzy nie ruszył się z miejsca. Zapewne wciąż jeszcze uważał się za narzeczonego Rezedy, chociaż, ku memu zdziwieniu, nie wykazywał żadnego zainteresowania jej zniknięciem.

Weronik nie odstawił miotły, lecz kucając zabrał się z przyzwyczajenia do wymiatania kurzu z kątów pokoju.

Pan Kleks nucił beztrosko jakąś piosenkę. Tylko pan Lewkonik wykazywał wielkie podniecenie i nawoływał:

- Panowie! Bawimy się! Panie czekają na oświadczyń!

Wtedy Bulpo i Pulbo, uczeni ogrodnicy, stanęli na wysokości zadania. Jeden podszedł do Hortensji, drugi do Dalii, skłonili się przed nimi szarmancko i powiedzieli równocześnie:

- Piękna pani, mam zaszczyt prursić ur twurją rękę.

Jako bliźniacy, byli do siebie bliźniaczo podobni, toteż obie siostry nie miały trudności z wyborem. Grzecznie dygnęły i zgodnie z ich życzeniem podały im prawe rączki.

- Brawo! - zawołał pan Kleks. - Mamy już dwie pary. A co dalej, panie Anemonie?

- Przepraszam - wmieszał się Weronik - musimy wiedzieć, czy oświadczyń odbyły się na żarty, czy na serio?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

-Panno Hortensjo! - rzekł wreszcie Bulpo - Pokochałem panią od pierwszego wejrzenia... To może śmieszne, ale my, wychowani wśród kwiatów, mówimy to, co czujemy.

- A ja mówię to, co myślę - odrzekła Hortensja. - Siostry śmieją się ze mnie, że myślę głośno. Teraz też zastanawiam się, dlaczego pan wybrał właśnie mnie? Może dlatego, że żona, która rozmawia sama z sobą, nie nudzi męża nadmierną gadatliwością. Zapytałam, odpowiedziałam i wszystko jest jasne.

- Kolej na pana - zwrócił się do Pulba Weronik, jako że miał wrodzone zamiłowanie do porządku i nie lubił niewyraźnych sytuacji.

Pulbo zmieszał się i tłumiąc wstydlivy chichot, powiedział:

- Panna Dalia... chi-chi... przepraszam... tak ślicznie kicha, że naprawdę... chi-chi-chi... jestem oczarowany... Marzyłem o takiej żonie... chi-chi... przepraszam... Daję słowo.

Chichot jego był tak zaraźliwy, że pan Kleks śmiał się do rozpuku. Nawet Alojzy uśmiechał się półgębkiem. A Weronik na dowód zadowolenia złapał obu braci naraz i podrzucił ich w górę jak parę szczeniaków.

Jedynie pan Lewkonik zachował należyłą powagę. Uściskał bliźniaków, przytulił do serca Hortensję i Dalię, po czym rzekł drżącym głosem:

- Spełni się marzenie mojej kochanej Multiflory. Co najmniej dwie nasze córki wyjdą za mąż za ogrodników.

- Pa-ram-pam-pam! Pa-ram-pam-pam! - zawołał pan Kleks, porwał pana Lewkonika za ręce i przez kilka minut kręcił się z nim w „drobną kaszkę”.

Był to naprawdę widok niezapomniany.

Postanowiono, że oficjalne zaręczyny odbędą się po przybyciu Multiflory.

Nazajutrz z kancelarii Kwaternostrą I nadeszły nominacje dla Alojzego. Przydzielono



mu również ministronalny apartament w Instytucie Urojonych Odkryć i Wynalazków. Była to stara uczelnia, założona niegdyś przez jednego z alamakotańskich podróżników, który przypadkowo odkrył Amerykę, zanim jeszcze została odkryta naprawdę.

Wraz z panem Kleksem odprowadziliśmy Alojzego do jego nowych apartamentów. Składały się one z ośmiu pokojów, troskliwie wyposażonych we wszystkie sprzęty i urządzenia niezbędne dla ministra Dalekiej Żeglugi. W szafach wisiały mundury Pierwszego Admirała Floty, a w oszklonej gablocie leżały jego ordery i odznaczenia, które król Kwaternoster I przyznał mu zawczasu.

Resztę dnia zajęły nam przygotowania do podróży. W tym samym czasie mieszkańcy Alamakoty szykowali się do następnego święta narodowego, do Święta Królewskiego Koguta. Na marginesie muszę wyjaśnić, że podobne obchody odbywały się w tym kraju co trzeci dzień, gdyż Alamakotańczycy ogromnie lubili świętować. Obchodzono więc uroczysto Dzień Przyjaźni Alambajskiej, Dzień Hodowcy Kur, Dzień Ogrodnika, Dzień Kucharza, Dzień Dojarza Drzew Laktusowych, a nadto Rocznicę Lądowania Bajdotów, Święto Hulajnogi, Święto Zepsutych Zegarków, Święto Jajecznicy i różne inne.

Święto Królewskiego Koguta połączone było z wielkim festynem ludowym w Ogrodach Królewskich. Podczas festynu Kwaternoster I nagradzał najwybitniejszych hodowców kogutów zegarkami. Ale najważniejszym punktem programu był konkurs piania i wybór Królewskiego Koguta na rok następny.

Jak już wspomniałem, całe popołudnie zajęci byliśmy pakowaniem naszych bagaży. Panny Lekonikówny wróżyły sobie z płatków róż oraz innych kwiatów, które dostały poprzedniego dnia od braci-bliźniaków. Pan Kleks napełniał swoje trzydzieści kieszeni częściami różnych narzędzi, przyrządów i aparatów, stanowiących jego podrózne laboratorium. Weronik czyścił i pucował wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, a ja

pakowałem do kufra mój bagaż, który poza tropikalnym hełmem okazał się całkiem zbyteczny. Zresztą płetwy do nurkowania i wypchanego sokoła ofiarowałem w prezencie Zyzikowi.

Ściemniało się już na dobre, gdy nagle przez okno wleciał Tri-Tri bardzo zakłopotany, a równocześnie zjawił się pan Lewkonik wołając:

- Ministron Limpotron prosi wszystkich na dół do salonu. Delegacja przyszła!

Pan Kleks burknął coś z niezadowoleniem, ale szybko się ubrał, przyczesał brodę, wpadł do pokoju dziewcząt, żeby przejrzeć się w składanym lustrze, po czym godnie ruszył w kierunku schodów. Rodzina Lewkoników, Weronik i ja szliśmy parami za nim.

W salonie zastaliśmy sześć najznakomitszych alamakotańskich dam oraz ministrona Limpotrona i ministrona Dworu.

Złożyliśmy sobie ceremonialne ukłony.

Wśród dam rozpoznałem żony ministronów, które były obecne na przyjęciu w ogrodzie u króla.

Ministron Trąbatron, posypany galowym proszkiem, z piórem kogucim za uchem na znak pełnionego urzędu, wystąpił naprzód i zagaił:

- Nasz król...

- Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster - powiedziały chórem damy stosownie do przyjętej etykiety i trzykrotnie powtarzały to imię za każdym razem, ilekroć Trąbatron wymawiał słowa „nasz król”.

- ...poleciał nam - ciągnął ministron - zwrócić się do czcigodnego cudzoziemca, pana Anemona Lewkonika, i przedstawić mu jego królewską prośbę. Nasz król...

- Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster...

- ...postanowił porzucić stan kawalerski i wstąpić w związek małżeński, aby

uszcześliwić naród Alamakoty następcą tronu. Nasz król...

- Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster...

- ...przysła nas w uroczystej delegacji, abyśmy w jego imieniu prosili o rękę obecnej tu panny Róży. Nasz król...

- ...pragnie pojąć ją za żonę i uczynić królową Alamakoty. Skończyłem.

Zapadło milczenie, a pan Lewkonik osunął się w ramiona pana Kleksa i z wrażenia zemdlął na jego szerokiej piersi.

## **WYPRAWA PO MULTIFLORE**

Wyszedłem z domu bardzo wcześnie, gdy wszyscy jeszcze spali, i pobiegłem do portu. Stał tam już gotowy do drogi okręt flagowy Pierwszego Admirała Floty „Kwaternoster Pierwszy”. Na maszcie powiewała trójbarwna bandera Alamakoty ze złotym kogutem pośrodku.

Kapitan Tykwot pomimo wczesnej pory był już na stanowisku, zaglądał do wszystkich kątów, pokrzykiwał na marynarzy, sprawdzał zaopatrzenie. Był to stary wilk morski, który przemierzył w swoim życiu wszystkie morza i oceany. Miał siwą czuprynę, siwe wąsy i siwą kocią bródkę, ale czerstwa czerwona twarz tryskała zdrowiem. Spodziewacie się zapewne, że pykał fajeczkę? Nic podobnego. Kapitan Tykwot, zgodnie ze zwyczajem panującym wśród wilków morskich w tej strefie Oceanu Niespokojnego palił grube cygaro. A ponieważ cygar nie cierpiał, co chwila s pluwał z obrzydzeniem. Ale to już jego prywatna sprawa.

Omówiłem z nim pewne szczegóły dotyczące naszej podróży, wspomniałem mimochodem, że udajemy się po matkę przyszłej królowej, ofiarowałem mu moje dziełko pt. „Ambroży Kleks, uczony i wynalazca”, żeby wiedział, z kim będzie miał do czynienia, po czym ruszyłem w drogę powrotną.

Zapowiadał się dzień mniej upalny niż zazwyczaj, a nawet na niebie pojawiły się

chmurki, co w tym kraju należało do rzadkości.

„Zbiera się na burzę” - pomyślałem zbliżając się do pałacu Limpotrona.

Towarzystwo już wstało, pan Kleks przed składanym lustrem szczotkował brodę, dziewczęta, jak to dziewczęta, coś między sobą szeptały, a Weronik robił pożegnalne porządki i przekomarzał się z panem Lewkonikiem:

- Tak, panie Anemonie, człowiek nie zna dnia ani godziny. Życie składa się z samych niespodzianek. Nie jest pan już hodowcą róż, tylko hodowcą córek na wydaniu. Róża róży nierówna, co? Zapuści pan korzenie w Alamakocie, jak baobab. Zostanie pan teściem króla i dziadkiem następcy tronu, będzie się pan mógł kąpać w jajecznicy. Żyć - nie umierać!

- A panu zazdrościć - odciął się pan Lewkonik. - Zresztą mogę pana zaangażować jako dozorcę pałacu królewskiego. Taki człowiek przyda się na dworze.

Weronik przerwał froterowanie podłogi, wziął się pod boki i oznajmił z godnością:

- Od pięćdziesięciu lat pracuję na jednym miejscu. Przyjechałem tu z panem

Niezgódką, gdyż odpowiedzialny dozorca powinien opiekować się lokatorami. Znam swój obowiązek. I żeby mi pan nawet obiecał tron i koronę, ja mojego stanowiska nie opuszczę!

Cenniejsza mi jest miotła w domu niż berło w Alamakocie. Mówi to panu Weronik

Czyścioch, dyplomowany dozorca z dziada pradziada.

- Dostyc, dostyc, panowie! - zawołał pan Kleks. - Ród Lewkoników ma prawo piąć się

w górę, a ród Czyściochów może przestrzegać rodzinnych tradycji. Co człowiek, to widzimisę. Tylko Bąble będą jednakowi. Panie Weroniku, Adasiu, ruszamy. Admirał czeka.

Limpotron i pan Lewkonik odprowadził nas do portu. Na pokładzie „Kwaternostra

Pierwszego” przy trapie stał Alojzy. Miał na sobie wspaniały biały mundur, przepasany wielką wstęgą Koguta z gwiazdą, na jego piersi widniały liczne orderki i odznaczenia.

Zasalutował przykładając dłoń do admirałskiego kapelusza, a kapitan Tykwot zdał raport

panu Kleksowi. Honorowa kompania marynarzy sprezentowała broń.

W chwili kiedy nadleciał Tri-Tri i usiadł mi na ramieniu, okręt flagowy majestatycznie odbił od brzegu. Limpotron machał chusteczką, czego nie mógł uczynić pan Lewkonik, musiał bowiem wycierać łzy obficie spływające mu po twarzy. Wyruszyliśmy przecież po Multiflorę.

Oddalaliśmy się szybko od wybrzeży Alamakoty. Bandera furkotała na wietrze, samosterujące motory pracowały niemal bezgłośnie.

Rozlokowaliśmy się wygodnie na leżakach, tylko Weronik zabrał się od razu do pucowania i tak już wypolerowanych na najwyższy połysk poręczy przy burtach. Stewardzi roznosili chłodzące napoje i owoce.

Kapitan Tykwot z mostku kapitańskiego wydawał rozkazy podwładnym oficerom.

- Słuchaj, Alojzy - rzekłem do Admirala, gdy nadeszła stosowna chwila. - Chciałbym cię prosić o pewne wyjaśnienie...

Alojzy wstał z leżaka i oświadczył chłodno:

- Wypraszam sobie tego rodzaju poufałości. Mam swój tytuł i proszę, aby zwracano się do mnie w odpowiedni sposób.

Pan Kleks grzotnął dłonią o poręcz leżaka.

- Patrzcie państwo! Sprężyna prawidłowego myślenia działa! Zachowuje się jak typowy człowiek. Wystarczyło, że wdział urzędowy mundur, a już mu się w głowie przewróciło! Hola, Alojzy, hola! Nie z nami te sztuczki. Olej, którego ci nalałem do głowy, to nie była woda sodowa! Adaś nie jest twoim podwładnym. To po pierwsze mój uczeń, a po drugie twój szkolny kolega! Siadaj i słuchaj!

Strapiony Alojzy zasalutował i usiadł na brzeżku leżaka.

- Przepraszam... zagalopowałem się - rzekł potulnie.

Aby jednak zadokumentować powagę swego stanowiska, zawołał:

- Hej! Kapitanie! Cóż tam, do stu par kogutów! Dlaczego wleczeni się jak senny ślimak? Czy tak was uczono prowadzić okręt flagowy Pierwszego Admirała Floty? Może mam osobiście stanąć na mostku i podać załogę ostrym sosem?

- Rozkaz, panie Admirale! - odkrzyknął kapitan. - Wachtowy! Pełne obroty! Ster dwa rumby w prawo! Ruszać się, do stu par pieczonych kurcząt!

Po wydaniu tych rozkazów Alojzy rozparł się dumnie w leżaku, po czym zwrócił się do mnie:

- Chciałeś o coś zapytać. Proszę, słucham, mów.

- Powiedz mi, Alojzy, szczerze i otwarcie - rzekłem przewyciężając niepokój - jak wyglądają twoje sprawy z Rezedą? Czy wciąż jeszcze uważasz ją za swoją narzeczoną? Powiedz, to bardzo dla mnie ważne.

Pan Kleks nastroszył się, poprawił na nosie okulary i utkwiał wzrok w Alojzym.

Alojzy uśmiechnął się filuternie. Przez chwilę bawił się orderami, strzepnął pyłek z munduru, wreszcie powiedział od niechcenia:

- Co, Rezeda? Cha-cha-cha... Czy nie rozumiesz, że gdy zgubiłem sprężynę prawidłowego myślenia, robiłem różne figle na złość panu Kleksowi? Rezeda? Nie, mój drogi, Rezeda zupełnie mnie nie interesuje. Jestem przeznaczony do wyższych celów.

Alojzytron, ministron, Pierwszy Admirał Floty, Bąbel-prototyp. Oto moje powołanie!

- Więc dlaczego ją porwałś? - zapytał pan Kleks.

- O, pan, panie profesorze, powinien wiedzieć najlepiej, że przeszłość zmienia się, a nieraz nawet ulega zapomnieniu i liczy się tylko to, co przed chwilą powiedziałem.

Na te słowa zerwałem się z leżaka, uściskałem Alojzego i zbiegłem na dół do kajut. Po chwili wróciłem ciągnąc za rękę... Rezedę.

- Panowie! - zawołałem drżącym głosem. - Panie Weroniku, niech pan tu przyjdzie!

Posłuchajcie! Pokochaliśmy się z Rezedą jeszcze w drodze do Alamakoty, na pokładzie „Płetwy Rekina”. Opowiedziała mi o swoich niefortunnych zaręczynach z Alojzym, który użył podstępu i dał jej pigułki kochalginy. Gdy oprzytomniała, było już za późno. Nie wiedziała, jak się z tego wycofać. Postanowiłem więc uwolnić ją od Alojzego. To ja wyniosłem ją spod szklanego klosza. Bulpo i Pulbo na moją prośbę zaopiekowali się Rezedą i ukryli ją w bezpiecznym miejscu. Porozumiewałem się z nią stale za pośrednictwem Tri-Tri, którego Rezeda odpowiednio wytresowała. Dzisiaj rano wtajemniczyłem w nasze sprawy kapitana Tykwota i przyprowadziłem ją na okręt. Teraz nic już nas nie rozłączy. Rezedo, powiedz, czy tak?

Rezeda stała oszołomiona. Potem wzięła mnie pod ramię i tuląc się do mnie, potakiwała tylko głową. Wreszcie wyjąkała ledwie dosłyszalnym głosem:

- Tak... To wszystko prawda...

- Panie Adasiu - rzekł z wyrzutem Weronik. - Przede mną pan robił tajemnicę? Przed swoim dozorcą? Nieładnie. Ale już niech tam... Zameldujemy pannę Rezedę. Za przeproszeniem, będzie pani trzydziestą lokatorką w naszym domu. Ładna, okrągła liczba. Alojzy z galanterią podsunął Rezedzie leżak.

- Widzieliśmy się z panią ostatnio w Rezerwacie Zepsutych Zegarków - powiedział mrużąc filuternie oko. - Zdaje się, że nawet stamtąd przeniosłem panią do Królewskich Ogrodów? Proszę nie patrzeć na mnie z takim przerażeniem. Dawny Alojzy Bąbel przestał istnieć. Od dziś zaczynamy nowe życie. Trzy siostry pani już się zaręczyły. Teraz kolej na panią. Jeśli chodzi o mnie, jest pani zupełnie, ale to zupełnie wolna!

Mówiąc to klasnął w ręce i kazał stewardowi przynieść butelkę laktusowego wina.

Pan Kleks przyglądał się tej scenie z uśmiechem, głaskał swą rozłożystą brodę i

wesoło pogwizdywał. Wreszcie rzekł:

- Zapewniłem pana Lewkonika, że jestem na tropie panny Rezedy. A ja nie mam zwyczaju mówić na wiatr. Cały czas wiedziałem o niej wszystko, wiedziałem również, że została sprowadzona na statek i ukryta w kajucie. Nie sądzicie, że jestem jasnowidzem. Nie używałbym energii kleksycznej do spraw tak mało mających wspólnego z nauką. Po prostu Tri-Tri wszystko mi wypaplał. Tresując go, Rezeda nie przewidziała ptasiej gadatliwości. Winszuję ci Adasiu. Pochwalam twój wybór. I cieszę się, że już czwarta siostra znalazła kandydata do swojej ręki.

Strzeliły korki, w kielichach zamusowało wino. Weronik, jako najstarszy wiekiem, zaimprovizował rymowany toast na naszą cześć:

*Pan Niezgódka pannę Lewkonikównę serdecznie kocha*

*To prawdziwa radość dla Weronika Czyściocha.*

*Dobrali się jak dwa ziarenka maku z korca,*

*A więc życzy im szczęścia stary dozorca.*

Wychyliliśmy kielichy. W jednym z nich nawet Tri-Tri zanurzył swój dzióbek i zaczął pić tak łapczywie, że nie można go było odpędzić, a potem przez dłuższy czas zataczał się w powietrzu.

Po tej małej uroczystości poszedłem z Rezedą na rufę, żeby swobodnie porozmawiać.

Przez ostatnie dni Rezeda mieszkała u rodziców Pulba i Bulpa, gdzie znalazła troskliwą opiekę. Byli to bardzo poczciwi i pracowici ludzie. Prowadzili wytwórnię puchowych jaśków. Odwiedzałem tam Rezedę potajemnie, ale wpadałem tylko na krótko, kiedy udawało mi się wymknąć niepostrzeżenie z domu. Teraz mieliśmy sobie dużo do powiedzenia i musieliśmy ułożyć nasze plany na przyszłość.

- Smutno mi będzie rozstać się z rodziną - rzekła Rezeda - ale kocham cię i chcę być



przy tobie. Mamy przecież tyle wspólnych zainteresowań. Załóżmy hodowlę ptaków, udoskonale moją tresurę, będę ci pomagała w pracy nad słownikami ptasich języków...

Objąłem ją ramieniem i staliśmy tak przez chwilę przytuleni do siebie, gdy nagle z wieży strażniczej rozległo się wołanie:

- Uwaga, uwaga! Cyklon w polu widzenia!

Spojrzałem w górę i dostrzegłem znajomą postać z lunetą przy oku. Był to Zyzik. Pan Kleks dotrzymał obietnicy i polecił Alojzemu, aby zatrudnił go na okręcie.

Wróciliśmy szybko do reszty towarzystwa. Pierwszy Admirał Floty bystrym spojrzeniem, bez pomocy lunety, wpatrywał się w oko cyklonu.

- Zawsze tak jest, kiedy na okręcie wojennym przemycą się baby - powiedział zgryźliwie, gdyż wszedł już całkiem w rolę marynarza, a marynarze, jak wiadomo, są bardzo przesądni.

Mruczał coś jeszcze pod nosem, po czym oznajmił:

- Tak... Oczywiście... Zbliża się ku nam cyklon „Rezeda”. Z naszego okrętu mogą zostać wióry.

- Słuchaj, Alojzy, sam zajmę się tą sprawą. Moja broda znaczy więcej niż wszystkie wasze przyrządy nawigacyjne - oświadczył pan Kleks.

Mówiąc to stanął na jednej nodze i pozwolił brodzie na swobodne manewrowanie.

Naładowana elektrycznością z atmosfery broda ułożyła się w szpic i odchyliła w kierunku południowo-zachodnim.

- Skręt o dwie minuty kątowne w prawo. Maszyny zastopować. Wszystkie działa na prawą burtę - zakomenderował pan Kleks.

- Skręt o dwie minuty kątowne w prawo! Maszyny zastopować! Działa na prawą burtę - zawołał Admirał do kapitana.

- Tak jest! - odchrzyknął kapitan wypluwając cygaro, po czym wydał odpowiednie rozkazy załodze.

- Cyklon „Rezeda” to największy postrach Oceanu Niespokojnego - poinformował nas Alojzy. - Swego czasu głośna była historia zatonięcia floty Porcelanii, kiedy to wszystkie statki, nie wyłączając wodoodpornych sosjerek, poszły na dno.

- Diabli mi nadali opuszczać dom na stare lata - mruknął Weronik.

- Głowa do góry! Jestem z wami! - zawołał pan Kleks. - Cyklony to moja specjalność.

„Kwateroster Pierwszy” ustawił się prawą burtą do kierunku, skąd nadciągał cyklon, po czym zatrzymał się w miejscu, wstrząsany zgrzytem hamulców.

- Celowniczo, do dział! Obsługa wyrzutni, na stanowiska! - zakomenderował kapitan Tykwot.

- Ognia! - rozkazał pan Kleks.

Gruchnęła salwa. Samosterujące pociski raketowe z błyskiem i świstem uderzyły w oko cyklonu.

- Jeszcze raz - ognia!

- Dobrze, wystarczy - rzekł pan Kleks, podniósł koniec brody do ust i serdecznie ją ucałował. - Dobra broda! Kochana broda!

- Klawo! - krzyknął z góry Zyzik, gdy rozwiął się dym. - Cyklon rozbity w drobny mak!

Pożyczyłem od kapitana lunetę, żeby obejrzeć skutki bombardowania. Szczątki cyklonu rozsypały się po powierzchni oceanu jak odłamki rozbitego lustra. Oko cyklonu, podziurawione pociskami, przypominało teraz sitko do herbaty, przez które sączyły się czerwone promienie słońca.

- A więc jesteśmy uratowani - powiedział pan Kleks do Alojzego. - Pomimo że na

okręcie wojennym znalazła się „baba”.

Z tymi słowy szarmancko skłonił się przed Rezedą i pocałował ją w rękę, co sprawiło mi ogromną satysfakcję. Rezeda naprzód grzecznie dygnęła, a następnie rzuciła się panu Kleksowi na szyję, dziękując mu w ten sposób za wzięcie jej w obronę przed Alojzym. Pierwszy Admirał Floty pokiwał tylko ironicznie głową, po czym rzekł patrząc na barometr:

- Tak, uwolniliśmy się od cyklonu, ale jak poradzimy sobie z burzą, która właśnie nadciąga? Trzeba bowiem pamiętać, że wkraczamy w sferę podzwrotnikowych niżów. Spodziewałem się tego już rankiem, gdy spostrzegłem na niebie niewielkie chmurki zwiastujące burzę.

Teraz właśnie, gdy „Kwaternoster Pierwszy” znów płynął na pełnych obrotach, z nieba wystrzeliły ogniste zygzaki błyskawic, huknęły grzmoty, pioruny z sykiem posypały się w morze, tworząc gęste obłoki pary. Woda zawrzała. Na powierzchnię zaczęły wypływać ławice ugotowanych ryb, które marynarze szybko wyławiali siatkami na motyle. Po chwili lunął deszcz i rozszalała się letnia nawałnica. Nastąpiło to tak szybko, że zanim zdążyliśmy opuścić pokład, byliśmy przemoczeni do nitki.

Pan Kleks miał na sobie strój wykonany z hermetycznych, nieprzemakalnych tworzyw, toteż wystarczyło mu otrząsnąć krople deszczu, żeby zachować swój zwykły wygląd. Również broda, natłuszczona meteokleksyczną pomadą, nie ucierpiała od nawałnicy. Weronik w łazience wyjął swoje ubranie, przywdział je znowu i powiedział z dziarską brawurą:

- Twarde życie dozorca uodporniło mnie na wiele rzeczy. Ja kataru nie miewam. Jestem zahartowany jak gwóźdź!

Mówiąc to naprężył bicepsy, stanął na rękach, wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych

i dodał z dumą:

- Niech się nie nazywam Weronik Czyścioch, jeśli zełgałem. Mam siedemdziesiąt lat, ale potrafię jeszcze zakasować niejednego młodzieniaszka.

Było to pite głównie do mnie, gdyż ja i Rezeda skorzystaliśmy z uprzejmości pierwszego oficera, który zaproponował nam przebranie się w marynarskie mundury, dopóki nasze ubrania nie wyschną. Trzeba przyznać, że Rezeda jako marynarz wyglądała prześlicznie.

Tymczasem dokoła nas szalała burza. Wystraszone latające ryby raz po raz uderzały o szyby okrętowych okienek. „Kwatermistrz Pierwszy” przewalał się z boku na bok, stawał dęba i pod uderzeniami bałwanów wydawał z siebie głuche odgłosy.

Admirał stał na stanowisku. W głośnikach grzmiał zachrypnięty głos kapitana Tykwota. Po pewnym czasie w admiralskim salonie, gdzie popijaliśmy gorący sok laktusowy, zjawił się Zyzik. Słaniał się na nogach z przemęczenia, ciężko sapał, ale rozpierała go duma.

- Panie profesorze... - mówił chwytając powietrze - nie sprawiłem panu zawodu, prawda?... Niech pan poprosi Admirala, żeby mnie przyjął do marynarki... Profesoruniu kochany, niech pan zrobi to dla mnie.

- Siadaj tu i odpocznij - rzekł Kleks. - Jesteś dzielnym chłopcem! Widzę, że potrafisz wypić morze jednym łykiem. Za pięć lat będziesz sławnym kapitanem. Przrzekam ci. Masz to u mnie jak w banku. A ja nigdy nie mówię na wiatr.

Gdy tylko pan Kleks wypowiedział to słowo, siła wiatru wzmogła się o pięć stopni w skali Brzechworta i okręt zaczął podskakiwać po oceanie jak pingpongowa piłka.

Stewardzi przywiązali nas pasami do foteli, żebyśmy nie porozbijali sobie głów o sufit salonu.

Zapadła noc. O podaniu posiłku nie mogło być nawet mowy. Dzban z sokiem

laktusowym i szklanki dawno już potłukły się na drobny pył. Gryźliśmy w milczeniu suchary, spoglądając wyczekująco na pana Kleksa.

Wielki uczyony zagłębiony był w samoczynnej mapie, po której wodził palcem, podśpiewując beztrosko swoje „pa-ram-pam-pam”.

Gdy zegar wybił północ, pan Kleks kazał stewardowi poprosić do salonu Admirala.

Alojzy zjawił się spokojny jak zwykle. Nie znać było na nim żadnego zmęczenia. Na tym polegała jego mechaniczna wyższość nad zwykłymi admirałami.

- Zbliżamy się do celu - rzekł pan Kleks. - Od Wyspy Sobowtórów dzieli nas nie więcej niż piętnaście mil w linii prostej. Kierunek wskaże moja broda. Wracamy na pokład.

- Zaraz wydam odpowiednie rozkazy - odrzekł salutując Alojzy i wbiegł po schodach na górę.

Ruszyliśmy za nim ubezpieczeni liną, jak na wspinaczkę wysokogórską, żeby wicher nie zwał nas do wody. Szedłem na samym końcu, a ponieważ byłem w mundurze marynarskim, co chwila jakiś bosman sztorcował mnie przygadując:

- Nie obijaj się tutaj, kulfonie! Rusz się, amebo! Do roboty, nicponiu!

Rezeda współczująco ścisnęła moją rękę, ale milczała, gdyż i ona była w mundurze marynarza.

Na pokładzie wicher szalał, zapierał dech, ale deszcz jakby ustał. Kapitan Tykwot, krztusząc się cygarowym dymem i spluwając z obrzydzeniem, niestrudzenie wydawał rozkazy. Przeszliśmy na dziób okrętu. Pan Kleks wysunął brodę do przodu, oparł lunetę na ramieniu Alojzego i bacznie patrzył w dal. Naprzód mruczał coś w sposób niezrozumiały, a po chwili zaczął wyrzucać z siebie krótkie, urwane zdania:

- Ciekawe... Nic nie rozumiem... Nie ma Wyspy Sobowtórów. Po prostu nie ma jej. A przecież moja mapa jest nieomylna. Musiało stać się coś niezwykłego. Zaraz, zaraz... Nie do

wiary! Tam pływa wierzchołek wyspy. Sam wierzchołek! Widocznie cyklon rozłupał wyspę w linii poziomej. Wierzchołek wraz z domem ocalał i pływa po powierzchni jak spodek. Alojzy, każ wzmocnić reflektory... O! Widzę! Widzę! Dom z ogrodem! Trzeba wypuścić rakiety! Prędzej, prędzej!

Alojzy wysłał Zyzika z rozkazem do kapitana i po chwili wzbiły się do nieba trzy oślepiające rakiety w narodowych barwach Alamakoty: żółta, czerwona i zielona. Pan Kleks przetarł szkło lunety i jeszcze baczniej wpatrywał się w dal.

- Jest! Jest! - zawołał radośnie. - Przed domem stoi kobieta. To Multiflora! A obok niej dwa czarne psy. Słowo daję! To są pudle!

Alojzy nie słuchał dalszych relacji pana Kleksa, tylko pobiegł długimi susami do kapitana.

Przybliżyliśmy się do pływającego wierzchołka wyspy tak, że na skrzyżowaniu świateł i reflektorów można było gołym okiem dojrzeć czworograniasty zarys domu. Okręt obrócił się lewą burtą, zatrzęsł się, zadygotał i stanął w miejscu, walcząc dzielnie z wichurą i nawałą rozwścieczonych bałwanów.

W przeciągu paru minut spuszczone łódź, w której dwunastu marynarzy wraz z Zyzikiem wyprawilo się po Multiflorę. Ale pomimo nadludzkich wysiłków walka z żywiołem okazała się bezowocna. Z huczącej kipieli wystrzelały w górę olbrzymie wodospady, zwały się na łódź istnym potopem i usiłowały unicestwić ją razem z dzielną załogą.

Kapitan wydał rozkaz powrotu i wtedy właśnie nagły poryw wichru potężnym uderzeniem roztrzaskał łódź o kadłub okrętu.

Rozległ się alarmowy sygnał „człowiek za burtą”. Posypały się do morza koła ratunkowe. Marynarze uwijali się jak osy, niosąc pomoc tonącym towarzyszom. Ale oto zwabione łatwym żerem nadpłynęły rekiny. Sytuacja stawała się z każdą chwilą groźniejsza.

Załoga zdwoiła wysiłki. Wreszcie zdołano wyłowić wszystkich marynarzy. Tylko jednego

Zyzika fala odrzuciła daleko od okrętu.

- On zginie! - wołała rozpaczliwie Rezeda. - Ratujcie go! Przecież te rekiny pożrą biedaka!

Nawet pan Kleks stał bezradny, z przerażeniem w oczach.

Żaden z marynarzy nie odważył się pośpieszyć Zyzikowi na ratunek. I właśnie wtedy Pierwszy Admirał Floty, tak jak stał, w swoim białym mundurze przepasanym wielką wstęgą Koguta z gwiazdą, jednym susem przesadził poręcz burty i skoczył w spienione odmęty. Jego mechaniczne członki działały z błyskawiczną szybkością i nieomylną precyzją. Po kilku zamachach ramion Alojzy dosięgnął Zyzika, kilkoma uderzeniami pięści jak żelazną maczugą ogłuszył napastujące go rekiny i zanim zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, wniósł nieprzytomnego chłopca po sznurowej drabince na pokład.

Urządziliśmy Admirałowi huczną owację, a pan Kleks uściskał go ze łzami w oczach, mówiąc:

- Kochany Alojzy! Jesteś prawdziwym dziełem moich rąk. Panie, panowie, nie żyje ministron Alojzytron, Pierwszy Admirał Floty!

- Niech żyje!- krzyknęła wraz z nami cała załoga okrętu, a Weronik najgłośniejsze ze wszystkich.

Zyzik szybko odzyskał przytomność.

- Panie Admirale - zwrócił się do Alojzego - zawdzięczam panu życie, toteż może pan nim rozporządzać wszędzie i zawsze.

Alojzy spojrzał na niego z aprobatą, po czym przypiął mu na piersi jeden z własnych orderów.

Zasłużyłeś na wyróżnienie, chłopcze - powiedział. - Wysoko zajdziesz. Mianuję cię

bosman-matem w marynarce Jego Królewskiej Mości.

Zyzik zaczerwienił się po uszy i nie mógł wykrztusić słowa. Powinszowałem mu nominacji, a pan Kleks mrugnął do niego porozumiewawczo i szepnął ponad moją głowę:

- A nie mówiłem? Pa-ram-pam-pam!

Opisałem tę scenę nieco rozwlekłe, w istocie jednak trwała ona minutę albo mniej.

Przez cały ten czas Rezeda nie odstępowała pana Kleksa, wołając rozpaczliwie:

- Panie profesorze, błagam pana! Róbcie coś! Ratujcie mamę! Każda chwila jest droga! Boże, mój Boże, co za ludzie! Czy pan nie rozumie? Tam jest moja mama!

Wichura ustała, niebezpieczeństwo minęło - rzekł pan Kleks. - Musimy zachować spokój. Proszę pozwolić mi się zastanowić.

Po tych słowach stanął na jednej nodze, wypuścił brodę na wiatr i przy pomocy swego wszechwidzącego oka raz jeszcze zbadał sytuację.

- Admirale! - rzekł po chwili, bowiem w obecności załogi zawsze tytułował Alojzego wedle jego rangi. - Admirale, przewidywania moje były słuszne. Nie możemy zbliżyć się do wyspy, gdyż Multiflora musiałaby zejść na jej krawędzi, co wywołałoby zachwianie równowagi, a wystarczy najmniejszy przechył, żeby ten pływający pagórek wywrócił się do góry dnem. To jedno. Po wtóre nie zapominajmy, że dom, który tam widzimy, stanowi cały dobytek pana Lewkonika. Otóż mam myśl. Musimy ocalały cypel wyspy wraz ze wszystkim, co się na nim znajduje, wziąć na hol i w ten sposób przetransportować go do Alamakoty.

Alojzy, który już przedtem znalazł odpowiedni moment, żeby przebrać się w świeży mundur, zasalutował i po krótkim namyśle oświadczył:

- Panie profesorze, mój mózg rozważył zadany mu program. Zaraz go zrealizujemy.

Kapitanie, zarządzam przeniesienie wszystkich lin okrętowych na lewą burtę. Załoga połączy je podwójnymi supłami w jedną całość. Podczas manewru brania na hol ogniomistrze



wystrzelą kolejno piętnaście rakiet. Wykonać!

- Tak jest, panie Admirale! - krzyknął kapitan Tykwot, po czym przekazał rozkaz pierwszemu oficerowi.

- Linę trzeba będzie wystrzelić z wyrzutni, inaczej nie doleci - zauważył rezolutnie Zyzik.

Przenieśliśmy się wszyscy na dziób okrętu, żeby nie przeszkadzać marynarzom w pracy. Stos lin powiększał się z każdą chwilą, mechanicy wiązali ich końce w supły i zabezpieczali na stykach stalowymi uchwytami. Długość lin wynosiła łącznie ponad tysiąc metrów.

Ponieważ siła wiatru osłabła i fala stała się mniej groźna, kapitan przybliżył okręt do pływającej wyspy na odległość odpowiadającą długości liny.

Gdy praca była już skończona, Alojzy własnoręcznie zrobił na końcu liny olbrzymią pętlę. Marynarze, którzy mu pomagali - a było ich kilkunastu - ledwo uporali się z ciężarem tego konopnego węża.

I tu Alojzy dał olśniewający popis kleksycznej siły swych mięśni. Wystrzeliły w górę rakiety, a on chwycił pętlę w łuk prawego ramienia, zamachnął się ruchem dyskobola i wyrzucił linę jak lasso w kierunku widniejącego w oddali ciemnego wierzchołka wyspy.

Wyrwałem z rąk pierwszego oficera pryzmatyczną lunetę, spojrzałem w ślad za lecącą pętlą i wydałem okrzyk zdumienia. Zwoje lin na pokładzie rozwijały się z szaloną szybkością, puszczane w ruch gigantyczną, nadludzką siłą rzutu, a tam w oddali dojrzałem pętlę, która z niewiarygodną precyzją opasała czworobok domu.

Pan Kleks z rozrzewnieniem spoglądał na Pierwszego Admirala Floty, na wiekopomne dzieło swego umysłu. To, czego dokonał Alojzy, przekroczyło najśmielsze przewidywania jego twórcy.

Załoga osłupiała z podziwu. W oczach marynarzy można było wyczytać uwielbienie dla Admirala.

Weronik, który nieraz przecież sam popisował się swoją niezwykłą siłą fizyczną, teraz był całkowicie olśniony wyczynem Alojzego. Nie tracąc jednak poczucia rzeczywistości, splunął w dłonie, potarł je, chwycił Admirala i trzykrotnie podrzucił go w górę. Załoga przyłączyła się do owacji i niewiele brakowało, żeby z admiralskiego munduru pozostały strzępy. W każdym razie trzeba było potem przez dłuższy czas zbierać pozrywane i rozsypane po całym pokładzie ordery Alojzego.

Rezeda z niepokojem spoglądała w kierunku wyspy, posłała bowiem Tri-Tri z listem do Multiflory.

Kapitan podał sternikowi kierunek. Okręt wolno popłynął w drogę powrotną. Ze względu na holowany wierzchołek Wyspy Sobowtórów nakazana była szczególna ostrożność. Wyłynęliśmy ze strefy burz i deszczów. Wiatr ustał, niebo się wypogodziło, zajaśniała pełnia Księżyca.

Część załogi, która nie miała służby, opuściła pokład. Kapitan Tykwot z obrzydzeniem wypluł cygaro do morza i również udał się na spoczynek. Alojzy osobiście stanął przy sterze. Zresztą zawsze trwał w pozycji stojącej, gdyż jego sztuczna konstrukcja doskonale obydwała się bez snu i odpoczynku. Właściwość ta godna była pozazdroszczenia, bo nasza czwórka musiała nieustannie zażywać wzmacniające pigułki pana Kleksa, żeby nie ulec zmęczeniu.

Weronik przystąpił z zapałem do polerowania przyrządów nawigacyjnych, usiłując po deszczu wydobyć z nich dawny połysk. Ubawiło to bosmana, który rzekł po alambajsku:

- Pan Werurnik ma takie zamiłowanie do czystości, że purwinien nazywać się

Czyściurch.

- Panie bosmanie - odparł Weronik z godnością - ten żart jest nie na miejscu. Proszę nie zapominać, że kiedy pańskich przodków zjadały pijawki, mój pradziad walczył pod Białą Muszką o wyzwolenie zielonoskórych Cytrusów. Dbam o czystość, to prawda, ale nie zajmuję się skubaniem kurzego pierza.

Bosman nie zrozumiał tej aluzji, mruknął więc tylko pod nosem:

- Szczur lądowy - szkoda mowy!

Pan Kleks wszedł na mostek kapitański. Domyśliłem się od razu, że posłał w kosmos swoje wszechwiedzące oko, stał bowiem ze spuszczoną głową, w postawie wyczekującej, nie zwracając uwagi na pierwszego oficera, który zastąpił kapitana Tykwota.

Widzialność była teraz doskonała, toteż Rezeda mogła bez trudu obserwować swój dom rodzinny.

- Nie widzę tam żadnego ruchu - powiedziała zatroskana. - Tri-Tri nie wraca... Światła w oknach pogasły. Biedna mama...

Starałem się pocieszyć Rezedę i rozproszyć jej smutne myśli. Z pomocą przyszedł mi pan Kleks, który właśnie w tej chwili zwinnie zbiegł na pokład.

- Obejrzałem z bliska powierzchnię Księżyca. Moje wszechwiedzące oko wróciło właśnie z wyprawy. Kosmiczna stacja przeładunkowa działa bezbłędnie. Ale oświadczam uroczyście: ja w tym udziału brać nie będę. Nie będę na razie penetrował przestrzeni międzyplanetarnych, gdyż za dużo jest jeszcze spraw do załatwienia na Ziemi. Dopóki tu panują choroby, nieszczęścia i niedostatek, moim obowiązkiem jest myśleć o ludziach. Tak, moi drodzy! Ludzie na Ziemi to dla mnie rzecz najważniejsza.

Po tych słowach spojrział na Rezedę, odgadł jej niepokój i dodał głosem pełnym ciepła, jak to on tylko potrafił:

- Nie trzeba się martwić, panno Rezedo. Wszystko jest w zupełnym porządku, broda

czuwa. Może mi pani zaufać.

Ledwie to wyrzekł, nadleciał Tri-Tri niosąc w dziobku List od Multiflory. Rezeda odczytała go na głos, a my słuchaliśmy w największym skupieniu.

„Dziecko moje drogie - pisała matka Rezedy - ratunek przyszedł w samą porę. Teraz, kiedy ustała burza, cypel, na którym ocalał nasz dom, płynie za okrętem spokojnie jak tratwa. Katastrofa wydarzyła się w nocy przed dwoma dniami. Słyszałam podziemne huki, grunt pod nogami pękał wśród groźnych wstrząsów. Rano poznałam rozmiary klęski. Cała wyspa, prócz skrawka ziemi z naszym domem, zapadła się w otchłań. Potem krowa obsunęła się do morza i utonęła. Kozę porwał kondor. Zostały mi się dwa nasze pudle. Żywimy się owocami i wodą deszczową. Przed tygodniem odwiedził mnie profesor Kleks...”

- Co? - zawołał uczony unosząc brwi ze zdumienia. - Ja odwiedziłem Multiflorę? To niesłychane! Znowu jakaś sztuczka nieponia! Admirale! Admirale, proszę tu do mnie!

Alojzy zbliżył się sprężystym krokiem i uprzejmie zsalutował.

- Słuchaj, Alojzy - rzekł surowo pan Kleks - znowu wyszły na jaw twoje bezeceństwa.

Nic mi nie mówiłeś, że byłeś na Wyspie Sobowtórów, a w dodatku bezczelnie wystąpiłeś w mojej postaci! Jak mam rozumieć to zuchwalstwo, co?

- Panie profesorze - odparł potulnie Alojzy - istotnie podsłuchałem rozmowę o Multiflorze i postanowiłem ją odwiedzić...

- Jak mogłeś podsłuchać będąc gdzie indziej? - zawołałem zdziwiony.

- Wykazujesz, Adasiu, zupełny brak pamięci - odparł Alojzy z politowaniem. - Pan Kleks w moim prawym uchu zainstalował dalekosiężny bębenek podsłuchowy. Sam pomagałeś mu przykręcać platynowe blaszki. Dzięki temu urządzeniu potrafię chwycić z odległości pięciuset metrów najcichszy nawet szept. Nic się przede mną nie ukryje. Otóż kiedy dowiedziałem się wszystkiego o pani Multiflorze, wsiadłem na statek, który szedł

kursem na Archipelag Rabarbarski omijając o pół stopnia Wyspę Sobowótów. Resztę drogi odbyłem w pław, gdyż jak panu wiadomo, panie profesorze, jestem nieprzemakalny, w wodzie nie tonę i nie odczuwam zmęczenia mięśni. Ale proszę wziąć pod uwagę, że wszystko to stało się, zanim odzyskałem sprężynę prawidłowego myślenia. Teraz, odkąd jestem doskonale wykończony, nie uczyniłbym oczywiście nic podobnego.

Wyznanie Alojzego rozbroiło pana Kleksa. Poklepał go po ramieniu i pokiwał wyrozumiale głową.

- Powiedz mi jednak - zapytał - co tam nawyprawiałeś na mój rachunek?

- O, nic wielkiego - odrzekł Alojzy. - Powiedziałem pani Multiflorze, że pan Lewkonik z tęsknoty wysechł jak tyczka, i... obiecałem jej, że będzie królową Alamakoty.

- Ach, ty kawalarzu! - zawołał pan Kleks. - Niewiele jednak odbiegłeś od prawdy.

Multiflora nie zostanie z twojej łaski królową, będzie jednak matką królowej. Też nieźle. Co zaś do pana Lewkonika, to całe szczęście, że nie schudł, bo straciłby swój największy wdzięk.

Przecież on jest rozkoszny z tym swoim brzuszkiem.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Alojzy. - Powiedziałem też pani Multiflorze, że wynalazłem kleksyczny pobudzacz wzrostu roślin i że dzięki niemu pan Lewkonik wyhodował w Alamakocie krzaki róż wielkości palmy. I to właśnie zainteresowało ją najbardziej. Teraz będzie klops.

Pan Kleks roześmiał się i rzekł ironicznie:

- Mogłeś również dobrze powiedzieć, aby mnie do reszty skompromitować, że pan Lewkonik urósł jak baobab i zrobił się rozłożysty jak drzewo figowe albo że panny Lewkonikówny zamieniły się w żyrafy. Ale twoja fanfaronada już się skończyła, mój Alojzytronie. Dawne czasy nie wrócą.

- Do usług, panie profesorze - powiedział z uśmiechem Alojzy. - Może pan na mnie

polegać jak na własnej brodzie!

- A teraz idziemy spać - oświadczył pan Kleks i dziarsko pomaszerał wzdłuż pokładu. Rezeda, spokojna już o los matki, zgodziła się również zejść do kajuty.

- Czekaj nas pięć godzin snu - zauważył Weronik. - Dozorca, który musi w nocy otwierać bramę, nigdy nie sypia więcej.

Na posterunku został tylko niezmordowany Pierwszy Admirał Floty.

Tak, dzieło pana Kleksa było naprawdę największym osiągnięciem ludzkiego umysłu.

## **ŚWIĘTO KRÓLEWSKIEGO KOGUTA**

Alamakota prowadziła politykę pokojową, nie utrzymywała armii lądowej ani floty powietrznej, posiadała jednak potężną marynarkę, na którą składały się: okręt flagowy „Kwaternoster Pierwszy”, dwanaście alambajów o napędzie alamakotowym, dwadzieścia cztery szybkooguty dalekiego zasięgu, sześć kuromiotaczy i trzydzieści pancernych bajkajaków. Jednostki te, z wyjątkiem okrętu flagowego, pływały pod zmyślonymi banderami, co miało zmylić państwa żądne podbojów i uchronić Alamakotę przed zaborcami. Flota nie podlegała ministrowi Pokoju, gdyż mógłby on w przystępnie złego humoru wdać się w niepożądany zatarg międzynarodowy. Do zadań floty oceanicznej należało wyłącznie konwojowanie flotylli poduszkowców i jajostatków służących wymianie handlowej.

Alamakotańskie poduszkowce nazywały się tak dlatego, że były wypchane kurzym pierzem jak poduszki. W czasie trwania transportu w ich ciepłe wylęgały się z jajek kurczęta. Poduszkowiec mógł zabrać w swoich ładowniach sto tysięcy jaj, a do portu przeznaczenia przywoził sto tysięcy żółtych piszczących kurcząt. Jakież to musiał być zachwycający widok!

Kiedy „Kwaternoster Pierwszy” wczesnym rankiem zbliżał się do macierzystego

wybrzeża wszystkie jednostki floty wciągnęły flagi na maszt, a kuromiotacze oddały salwę honorową. Na wybrzeżu zgromadziły się tłumy wiwatujące na cześć Admirała, pana Kleksa, a zwłaszcza Multiflory, matki przyszłej królowej. Okazało się bowiem, że wieść o małżeńskich zamiarach króla rozeszła się lotem kolibra po całym kraju.

Na redzie dostrzegłem „Płetwę Rekina”, która przybyła właśnie do Alamakoty z ładunkiem oksydowanych zegarków. Zdążyłem szepnąć Zyzikowi, aby skoczył do znajomego kapitana statku i poprosił go o zarezerwowanie czterech kajut na rejs powrotny.

W porcie czekał na nas ministron Dworu Trąbatron, nasz przyjaciel Limpotron, pan Lewkonik z czterema córkami, Bulpo, Pulbo oraz wyżsi urzędnicy Admiralicji.

Był piękny bezchmurny dzień lipcowy.

Po krótkim powitaniu Alojzy wydał zarządzenia dotyczące pływającej wysepki, która w oddali kołysała się na spokojnych falach.

Marynarze zarzucili koniec liny na obrotowy bęben i mozolnie jęli ją nawijać przyciągając wysepkę do nabrzeża.

Gdy ten maleńki skrawek Wyspy Sobowtórów przycumował wreszcie do wyznaczonego miejsca, mechanicy zabezpieczyli krawędzie wysepki żelazną listwą, wmontowali kotwicę i rzucili ją na dno według wszelkich zasad sztuki marynarskiej.

Dopiero teraz mogliśmy po trapie wstąpić na tę ziemię, którą nazwano „Anemonową Piętką”, gdyż przypominała kształtem piętke uciętą z okrągłego bochenka chleba.

Dom państwa Lewkoników zachował się znakomicie. Nie bez zdziwienia stwierdziłem, że podczas katastrofy nie zarysowały się mury ani nawet z okien nie wypadły szyby. Drzewa w sadzie ugiwały się pod ciężarem dojrzałych owoców, a w powietrzu unosił się odurzający aromat róż.

Jak widzicie, rozmyślnie zwlekam z opisem czułego powitania rodziny Lewkoników z

Multiflorą, gdyż nie posiadam poetyckiego daru Piwonii i brak mi po prostu słów na odtworzenie tej wzruszającej sceny. Wystarczy jeśli powiem, że Weronik szlochał jak bóbr, wspominając zapewne nieboszczkę Weronikę, a pan Kleks siąkał nosem i z trudem powstrzymywał łzy.

Hodowca róż rzeczywiście nie przesadził, gdy mówił o niezwyklej urodzie Multiflory.

Przy swoich córkach wyglądała jak ich starsza siostra. Pomimo rozłąki z rodziną i wielu ciężkich przejść z ostatnich dni pełna była promiennej pogody i ujmującego wdzięku, jak gdyby ta chwila szczęścia starła z jej twarzy wszelkie ślady trosk i zmęczenia.

„Anemonowa Piętka” była umeblowana z dużym smakiem i posiadała wszelkie nowoczesne urządzenia, mające służyć wygodzie jej mieszkańców.

Tak więc pan Lewkonik wraz z córkami mógł od razu przenieść się do własnego domu. Weronik zgodził się zamieszkać tam na czas krótki celem zaprowadzenia porządku i załatwienia różnych formalności administracyjnych, jak założenie księgi meldunkowej, umocowanie tabliczki z nazwą ulicy, przyłączenie do sieci oświetleniowej i kanalizacyjnej, uzyskanie zezwolenia na przerzucenie trwałego mostku, wyrobienie prawa do własnej kotwicy, zarejestrowanie prywatnej hodowli kwiatów, uporządkowanie numeracji domu, przydział państwowych jajek itd.

Stary dozorca ochoczo zabrał się natychmiast do pracy, był to bowiem jego żywioł.

Skoro cała rodzina Lewkoników, a wraz z nią Weronik, opuściła gościnne apartamenty Limpotrona, zostałem tam sam z panem Kleksem. I chociaż uczony dzięki swej niezwyklej przenikliwości był już mniej więcej zorientowany w moich kłopotach rodzinnych, skorzystałem ze sposobności, żeby opowiedzieć mu dokładnie przebieg znanych wam wydarzeń.

Pan Kleks wysłuchał mnie uważnie, pomyślał chwilę, po czym rzekł z wyrzutem:



- Drogi Adasiu, tyle pracy włożyłem w twoją edukację, wlałem beczkę oleju do twojej głowy, nauczyłem cię prawidłowego myślenia, z niemałym trudem oświeciłem zakamarki twojego umysłu, a ty opowiadasz mi takie niestworzone brednie. Jak ty, człowiek wykształcony, mogłeś uwierzyć w przemianę twego ojca w ptaka? Czy coś podobnego zdarza się kiedykolwiek na świecie? Weronik wszystko to wyssał z palca, a ty dałeś się nabrać na taką piramidalną bujdę. Jak ci nie wstyd?! A co do Alojzego, to wiadomo, że przez cały czas poprzedzający twój przyjazd był tu w Alamakocie, udawał ciebie i grywał ze mną w „trzy wiewiórki”. Nie mógł więc występować w roli listonosza. Cenię fantazję, owszem, ale nawet fantazja musi być sensowna.

Słowa pana Kleksa spadły na mnie jak nagłe olśnienie. Zrozumiałem całą niedorzeczność bajki o przemianie mego ojca w ptaka. Że też mogłem ulec podobnemu zamroczeniu umysłu! Stałem przed ukochanym profesorem czerwony jak rak i miałem ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Ale równocześnie ogarnęła mnie radość na myśl, że rodzicom nie przytrafiło się nic złego i że nie grozi im niebezpieczeństwo.

Z zakłopotania wybawił mnie Zyzik, który wpadł zdyszany, wołając od progu:

- Proszę pana... Proszę pana... Wszystko załatwiłem... „Płetwa Rekina” odpływa pojutrze o ósmej rano. Kapitan bardzo się ucieszył. A cztery kajuty będą przygotowane!

- Nie ma to jak dzielny bosman-mat - rzekł pan Kleks ujawszy się pod boki. - Nie cofam tego, co w nocy powiedziałem. Za pięć lat będziesz sławnym kapitanem.

Do odjazdu mieliśmy więc jeszcze dwa dni, z czego byłem nawet zadowolony, gdyż Święto Królewskiego Koguta połączone z zaręczynami króla zapowiadało się niezwykle interesująco. Zresztą i moje zaręczyny z Rezedą wymagały omówienia z jej rodzicami. Opuściłem więc pana Kleksa i udałem się na „Anemonową Piętkę”.

Zastanawia was pewno, dlaczego w kraju tak cywilizowanym jak Alamakota nie było

telefonów i każdą sprawę musiało się załatwiać osobiście. Otóż przed laty istniały tam odpowiednie instalacje i urządzenia, ale telefony nieustannie się psuły i ludzie tracili połowę czasu na daremne zabiegi w celu uzyskania połączenia. Doszło do tego, że praca w biurach i urzędach niemal całkiem ustała. Wszyscy bowiem bez przerwy zajęci byli bezskutecznym nakręcaniem numerów. Toteż w końcu ministrów Pogody i Czterech Wiatrów, któremu sprawy te podlegały, postanowił dla dobra państwa zlikwidować raz na zawsze telefony, a zamiast nich wprowadzić hulajnogi, aby obywatele mogli się ze sobą szybko porozumiewać. Tak więc bez telefonicznej zapowiedzi zjawiłem się na „Anemonowej Piętce”. Przed domem tłumnie zgromadziła się młodzież, zaciekawiona nie tyle osobliwą posiadłością rodziny Lewkoników, co dwoma ich psami, jako że w Alamakocie zwierzęta te pojawiły się po raz pierwszy. „Anemonowa Piętka” odegrała w danym wypadku rolę Arki Noego, na której uratowała się jedna para psiego gatunku. Jak już wspomniałem, były to dwa czarne pudle, matka i syn, o dźwięcznych imionach Negri i Negrifon. Oba pieski stały na parapecie otwartego okna, wesoło merdały ogonkami i od czasu do czasu krótko poszczekiwały z właściwą pudlom życzliwością.

Rezeda już zdążyła zawiadomić rodziców o swojej decyzji. Pan Lewkonik, który w ciągu tych dni dostatecznie mnie poznał i cenił jako ulubionego ucznia słynnego profesora Kleksa, zgodził się oddać mi za żonę swoją córkę pod warunkiem, że wszystkie wakacje będziemy spędzali w Alamakocie. Natomiast Multiflora była wyraźnie zawiedziona, że nie jestem ogrodnikiem.

- Zawsze pragnęłam, aby moje córki poświęciły się hodowli kwiatów, ale tylko Dalia i Hortensja spełnią pokładane w nich nadzieje. Pan specjalizuje się w ptasich gwarach i narzeczach. Czy to odpowiednie zajęcie dla uczonego? Dla zięcia hodowcy róż? Ale skoro Rezeda pana kocha, to i w moim sercu znajdzie się dla pana ciepły kącik.

Mówiąc to ucałowała mnie w oba policzki, a pan Lewkonik zawołał z radością:

- Musimy uczcić te zaręczyny! Piwonio, wymyśl na cześć młodej pary jakiś wierszyk.

Piwonia stanęła pomiędzy mną a Rezedą i zadeklamowała dźwięcznym głosem:

*Lewkocórek sznurek pięć*

*Do Rezedy kiedy pędź*

*Adam radam ojciec chęć*

*Mama sama ćwir-ćwir zięć*

Pan Lewkonik aż podskoczył z zachwytu i natychmiast wytłumaczył nam sens tego wierszyka. Chodziło mianowicie o to, że spośród pięciu córek państwa Lewkoników o Rezedę stara się Adam, czyli ja. Ojciec bardzo jest temu rad i nawet mama zgadza się mieć za zięcia specjalistę od ptasich świergotów.

Wszyscy byli wzruszeni subtelnością tego utworu, szkoda tylko, że Dalia seria kochnięć zagłuszyła zakończenie wiersza. Nagrodziliśmy autorkę hucznymi oklaskami, a Rezeda serdecznie uściskała Piwonię, która zaczerwieniła się i rzekła:

- Czuję, że jestem stworzona do poezji. Dlatego też nie chcę wychodzić za męża. Ani za ogrodnika, ani za króla! Prawdziwy poeta musi być wolny, aby móc całkowicie poświęcić się twórczości.

Pan Lewkonik popatrzył na nią z dumą, a Multiflora ze smutkiem. Bliższe jej były róże niż poezja.

W tym momencie zjawili się Bulpo i Pulbo. Wprawdzie serce matki na pewno bardziej radował widok dwóch ogrodników jako przyszłych zięciów, jednak pani Lewkonikowa nie okazywała im większych względów niż mnie, chociaż byłem tylko skromnym klepsykologiem, badaczem ptasich języków. Zapewniam was, że potrafiłem ocenić tę jej delikatność i takt.

Zaręczyny dwóch następnych par odbyły się w równie uroczysty sposób, to znaczy, że Piwonia zaimprovizowała na ich cześć zawily, ale pięknie brzmiący poemacik. Tym razem Dalia powstrzymała się od kichania, a Hortensja poruszając wargami prowadziła sama z sobą bezgłośny dialog, co jednak wyglądało tak, jakby powtarzała po cichu wiersz Piwonii. Pan Lewkonik zaprosił całe towarzystwo do sadu i poczęstował nas rzadkimi gatunkami owoców, wyhodowanymi przez Multiflorę.

Skorzystałem z dogodnego momentu, żeby się urwać i pójść na rozmowę do Weronika. Zostałem go na drabinie, w chwili gdy przytwierdzał do muru tabliczkę z napisem „Anemonowa Piętka”. Zszedł do mnie i mrużąc jedno oko, przyglądał się jeszcze przez chwilę swemu dziełu. Wreszcie rzekł:

- Wyjeżdżamy, panie Niezgódka. Czas wracać do domu! Ciekaw jestem, co tam zaszło nowego.

- Panie Weroniku - powiedziałem oschle - przychodzę do pana po pewne wyjaśnienia.

Co panu strzeliło do głowy, żeby wmówić we mnie, jakoby mój ojciec przemienił się w ptaka? A w dodatku twierdzić, że widział pan to na własne oczy? Dlaczego mnie pan otumanił? I na co była ta komedia z listonoszem. Czy tak postępuje szanujący się dozorca?

Czy w tej sytuacji lokatorzy mogą mieć do pana zaufanie? Do takiego świszczypały? Właśnie teraz, kiedy zbliża się pański jubileusz, przekreślił pan swoim postępowaniem dorobek pięćdziesięciu lat życia! Wstyd, hańba, panie Czyścioch!

Nigdy dotąd nie wygłaszałem tak długich przemówień, toteż pot spływał mi z twarzy grubymi kroplami.

Weronik do tego stopnia przejął się stawianymi mu zarzutami, a zwłaszcza moim wzburzoną tonem, że dostał długotrwałego ataku czkawki. Uderzyłem go kilkakrotnie w plecy. Zabieg ten w końcu poskutkował.

- To straszne - powiedział błądy jak płótno stary dozorca. - To okropne! Pan

Chryzantemski wystrychnął mnie na dudka. To jego robota! Przysięgam panu na pamięć nieboszczki Weroniki, że to jego robota! Nigdy bym czegoś podobnego sam nie wymyślił.

Uwierzyłem temu oczajduszy! Więc to wszystko była nieprawda? Wszystko? Więc mój honor dozorca leży w błocie?

- Tak, panie Weroniku - odrzekłem ze złością - ładnie mnie pan urządził. Niech się pan nie zasłania jakimś panem Chryzantemskim. Widziałem go raz w życiu. Nie wiem nawet, co to za jeden?

- Jak to? - zawołał zdumiony Weronik. - Pan nie wie? Pan nie słyszał o Modeście Chryzantemskim? O sławnym Modeście Chryzantemskim? To przecież pierwszy mąż Pepy Pergamut, która znana była pod pseudonimem Pepda-Papda. Razem występowali we wszystkich cyrkach świata. Ona popisywała się tresurą zwierząt, a on zasłynął jako niezrównany iluzjonista i sztukmistrz. Niektórzy uważali go nawet za magika. Prześcignął go za przeproszeniem tylko jeden człowiek: Ambroży Kleks. Teraz pan Chryzantemski jest stary, dawno już przeszedł na emeryturę, ale czasami jeszcze, dla wprawy, pokazuje różne sztuki. Potrafi na przykład z pustego kapelusza wyciągnąć piętnaście żywych królików albo wypuścić z ucha makolągwę, skowronka lub szpaka. Taką właśnie sztuczkę pokazał mi, kiedyśmy byli w mieszkaniu pana Niezgódki. A ja dałem się nabrać! Zgłupiałem na stare lata. Dać się tak zaczarować! Teraz nie będę mógł lokatorom spojrzeć w oczy. Zwłaszcza pańskim rodzicom, panie Adasiu. Nie pozostaje mi nic innego, jak ustąpić ze stanowiska i pójść na zmiatacza ulic.

Żal mi się zrobiło starego dozorca. Zresztą, czy wolno mi było mieć do niego pretensję o to, że uległ wzrokowemu złudzeniu, skoro ja, człowiek o rozległej wiedzy, okazałem się mniej łatwowierny? Musiałem go długo pocieszać, a nawet zapewniać, że

właściwie dobrze się stało, jak się stało, gdyż dzięki całej tej historii zwiedziłem Alamakotę, a co najważniejsze - poznałem moją ukochaną Rezedę.

Ten argument trafił mu do przekonania. Uspokoił się nieco, westchnął raz i drugi, po czym wrócił do przerwanej pracy, którą chciał przed odjazdem doprowadzić do końca. Resztę dnia spędziłem z Rezedą. Spacerowaliśmy po ulicach i przyglądaliśmy się, jak robotnicy rozwieszają transparenty, flagi i lampiony. Cała ludność Alamakoty przygotowywała się do Święta Królewskiego Koguta.

Wieczorem, gdy wróciłem do domu, pan Kleks już spał poświstując i pochrapując. Śniły mu się widocznie jakieś bardzo poważne sprawy. Ten wielki uczoney umiał nawet we śnie dokonywać wiekopomnych wynalazków.

Na stole znalazłem zaproszenie treści następującej:

„Ministron Dworu Trąbatron ma zaszczyt zaprosić pana doktora Adama Niezgódkę do orszaku królewskiego, który wyruszy na uroczystość królewskich zaręczyn w dniu Święta Królewskiego Koguta o godzinie osiemnastej. Zbiórka na placu przed pałacem. Uprasza się o ścisłe przestrzeganie ceremoniału. Obowiązuje strój galowy.”

Nazajutrz rano obudził mnie Tri-Tri. Przyniósł liścik od Rezedy. Pan Kleks już nie spał. Siedział na podłodze i w grubym zeszycie szkicował plany przyszłej bąbłobudowy. Dawniej robił to zawsze unosząc się w powietrzu, ale ostatnio poniechał tego zwyczaju, gdyż twierdził, że nadwerężył sobie pęcherzyk powietrzny.

- Zresztą - oświadczył pewnego dnia - mam teraz inne sposoby. Dawniej umiałem przybierać tylko postać przedmiotów martwych, jak guzik od czapki bogdychanów albo flaszka atramentu. Odkąd jednak odkryłem energię kleksyczną i udoskonaliłem moje przebieralniki, posiadam o wiele większe możliwości. Ale to mój sekret, którego nie zamierzam ujawniać, gdyż ludzie swoim zwyczajem obróciliby zaraz mój wynalazek na

własną szkodę.

Rezeda w imieniu swoim i państwa Lewkoników prosiła w liście, abym wraz z panem Kleksem przyszedł do nich na obiad.

Korzystając z wolnego przedpołudnia, udałem się do miasta. Chciałem obejrzyć alamakotańskie osobliwości i zwiedzić muzea, których dotąd nie udało mi się jeszcze poznać. Szczególnie zainteresowało mnie Muzeum Historyczne. Wystawiona tam była kolekcja pijawek z epoki bagiennej, wypchane Królewskie Koguty z poprzednich lat, pierwszy zepsuty zegarek, starożytne kieliszki do jajek, tratwa, na której Bajdoci przybyli do Alamakoty, modele hulajnóg używanych na przestrzeni wieków, gipsowy odlew trzeciej nogi nieznanego sportowca, portrety dawnych królów od Bambosza Koślawego aż do Kwaternostrą I oraz wiele innych nader ciekawych eksponatów.

Zwiedziłem również Pracownię Akustyczną Grających Muszli, Fabrykę Galowego Proszku, Nadymalnię Rybich Pęcherzy, Wytwórnę Transparentów Państwowych, Zakład Przcierania Królewskich Okularów, Alamakotekę, gdzie były wystawione obrazy z życia drobiu malowane przez wybitnych ptaszystów, a nadto kilka zakładów naukowych, w tej liczbie Szkołę Pedalów Fortepianowych na trzy nogi oraz Instytut Znaków Przystankowych.

Pełen niezapomnianych wrażeń wróciłem do pana Kleksa i razem udaliśmy się do państwa Lewkoników. Ulica, do której przylegała „Anemonowa Piętka”, dzięki zabiegom Weronika otrzymała swoją nazwę. Z jednego końca nazywała się Staroprojektowana, z drugiego Nowoprojektowana, a pośrodku - Środkowoprojektowana.

W mieszkaniu zastaliśmy całą rodzinę oprócz Róży, którą wezwano do sekretariatu ministrona Dworu celem złożenia życiorysu, wypełnienia ankiety i formularza małżeńskiego oraz zapoznania się z obowiązkami przyszłej królowej. Na razie wiedzieliśmy tylko tyle, że będzie musiała przybrać historyczne imię Kwakwanostry.

Całe mieszkanie ozdobione było bukietami róż, gdyż pan Lewkonik od razu zabrał się do pracy w ogrodzie i przy pomocy płynu odżywczego szybko udoskonalił hodowlę Multiflory.

- Gdy ma się w domu poetkę - powiedział nam zaraz na wstępie - trzeba dbać o róże.

Pobudzają one natchnienie. Czy słusznie mówię, Piwonio?

Piwonia spojrzała rozmarzonym wzrokiem i jakby na potwierdzenie słów ojca rzekła melancholijnie:

- Róża, burza, kurza, nurza, duża, stróża...

- Przepraszam - wtrącił się Weronik - czy nie można by zamiast „stróż” powiedzieć „dozorca”?

- Nie będzie rymu - odparła Piwonia patrząc na ojca, bowiem on jeden znał się na poezji.

Rezeda także nie zmarnowała czasu spędzonego w domu. Poświęciła go tresurze psów i oto podczas obiadu oba pudle, ubrane w różowe fartuszki, podawały do stołu, chodząc na tylnych łapkach.

Pan Kleks miał wyborny apetyt, nabierał sobie na talerz ogromne porcje i przy każdym daniu wesoło wykrzykiwał:

- Jak długo żyję, nie jadłem jeszcze tak pysznego obiadu! Te pulpety są wprost niezrównane!

- To jest ryba faszerowana - zauważyła nieśmiało Multiflora.

- Oczywiście, że ryba! Ryba pulpetowa! Tak właśnie chciałem powiedzieć. Muszę opracować nową książkę kucharską, opartą na zasadach gastronomii kleksycznej. Że też o tym dotąd nie pomyślałem. Pani Multifloro, daję słowo, napiszę taką książkę i zadedykuję ją pani.



Piliśmy właśnie kawę, gdy Negrifon trzykrotnym szcęknięciem zaanonsował przybycie nowych gości. W tej samej chwili istotnie zjawił się Alojzy w admirałskim mundurze, przy orderach, które tylko w znikomej części przypięte były do piersi. Pozostałe niósł osobno na atlasowej poduszce adiutant Admirala. Trzecim gościem był kapitan Tykwot, pragnął bowiem zobaczyć, jak wygląda „Anemonowa Piętka”, którą przyholował z tak daleka.

Multiflora serdecznie podziękowała dzielnym marynarzom za ich trudy, a pan

Lewkonik nie mógł się powstrzymać i szepnął Piwonii przez stół:

- Powiedz wierszyk... Obowiązkowo...

Piwonia wstała, oparła ręce o poręcz krzesła i zadeklamowała swój nowy utwór:

*Admirala cała dość*

*Kawa trawa sława gość*

*Kwaternostra siostra cześć*

*Anemona żona teść.*

Tym razem wiersz Piwonii nie wymaga wyjaśnień, gdyż jest dla wszystkich całkowicie zrozumiały.

Alojzy nie pozostał dłużny poetce. Bez namysłu odpowiedział do rymu, używając niemal tych samych słów:

*Gdyś mej sławie brawa dała,*

*Przyjmij wdzięczność Admirala,*

*Boś ty siostry godna siostra,*

*Przyszłej żony Kwaternostra.*

- Jesteś niezrównany! - zawołał pan Kleks. - Będziesz chlubą Alamakoty! Admirale, moje gratulacje!

Kapitan Tykwot nie znał się na wierszach, nie rozumiał, o co chodzi, popijał więc w milczeniu kawę i jak zwykle z obrzydzeniem palił tradycyjne cygaro.

Rozmowa przy stole toczyła się głównie na temat przyszłych losów panien Lewkonikównien.

- Przykro mi, że nie będę na ślubie Rezedy - powiedziała Multiflora - ale rozumiem, że pan Adaś musi ją uprzednio przedstawić swoim rodzicom. Byłoby nietaktownie, gdybyśmy postąpili inaczej.

Weronik, aby wynagrodzić wyrządzoną mi krzywdę, zaczął przesadnie wychwalać moją rodzinę:

- Co to za ludzie, proszę państwa! Znam ich od czasu, jak wprowadzili się do naszej kamienicy. Nigdy nie zalegają z komornym, nie śmieją na schodach, nie brudzą, nie hałasują.

Tacy lokatorzy to skarb! Starszy pan Niezgódka sam sobie pisze książki. Zajmuje się także wypychaniem ptaków. Ale żeby kiedykolwiek osobiście zamienić się w ptaka - proszę nie wierzyć! Pani Niezgódkowa nigdy by do tego nie dopuściła! Tacy to są ludzie!

- A czy lubią kwiaty? - spytała zniecierpliwiona Multiflora.

- Jeszcze jak! Pani Niezgódkowa co dzień przypina sobie do kapelusza inny bukietek. Choć to i sztuczne, ale zawsze kwiaty. Raz bławatki, raz fiołki, a w niedzielę i święta wyłącznie róże. Słowo daję! Ładniejsze niż prawdziwe!

Słyszac to Dalia rozkichała się na dobre. Kapitan Tykwot powiedział „na zdrowie”,

Weronik przerwał swoje wynurzenia, natomiast Alojzy usłużnie oznajmił:

- Opuszczając krainę Obojga Farmacji, wziąłem z sobą próbki niezawodnych leków.

Mam tutaj tubkę „Antykichaliny”. Po jej zażyciu najuporczywszy katar ustaje natychmiast.

Dalia już wyciągnęła rękę po lek, lecz nagle powstrzymała się i rzekła cicho:

- Nie... Nie... Co by powiedział mój narzeczony, gdybym przestała kichać? Jemu

przecież to się we mnie najbardziej podobało. Nie, Admirale, przepraszam, ale nie skorzystam.

Po skończonym obiedzie pan Kleks i ja podziękowaliśmy gospodarzom, pogłaskaliśmy pieski i ruszyliśmy ku domowi. Towarzyszył nam Weronik, który zakończył już swoje prace na „Anemonowej Piętcie”, posprzątał, a także pomył szyby, jak przystało na wzorowego dozorcę.

W pracowni meteorologicznej zastaliśmy Limpotrona. Ustalał właśnie siłę wiatru i regulował pogodę na czas królewskich uroczystości zaręczynowych. Zatrzymał nas, gdyśmy szli do naszych apartamentów.

- Mam tu coś dla panów - powiedział. - Oto odznaczenia, które król raczył panom dzisiaj przyznać. Dla pana profesora Krzyż Komandorski Złotego Koguta z gwiazdą, dla pana Niezgódki order Kurzego Pióra, dla pana Czyściocha Medal Eksportowego Jajka. Zechcą panowie dzisiaj wystąpić w tych odznaczeniach. Przyniosłem także trzy puszkę galowego proszku. Trzeba się nim posypać zgodnie z ceremoniałem. A tu są trzy złote chronometry, wprawdzie popsute, ale za to najwyższej marki. Pochodzą one z królewskich zbiorów i posiadają szczególną pamiątkową wartość, popsuł je własnoręcznie król Kwaternoster I. Podziękowaliśmy ministrowi za tak zaszczytne wyróżnienie i udaliśmy się do siebie.

- Czasu nam zostało niewiele - rzekł pan Kleks. - Trzeba się wystroić na dzisiejszą uroczystość.

- Czy musimy wystąpić tak jak Alamakotańczycy, nadzy do pasa i posypani srebrnym proszkiem? - zapytał z niepokojem Weronik.

- Załatwimy do kompromisowo - odrzekł pan Kleks. - Koegzystencja trwa. Posypujemy się srebrnym proszkiem, a na wierzch włożymy ubrania. W ten sposób wilk będzie syty i owca zadowolona.

Z radością i pełni podziwu dla pomysłowości pana Kleksa przyjęliśmy to rozwiązanie.

Przebraliśmy się szybko w odświętne stroje oraz przypięliśmy do nich ordery. Profesor właśnie przyglądał przed lustrem brodę, włosy i brwi, gdy nagle ujrzał w nim odbicie Weronika i zawołał:

- Panie Weroniku! Co to znaczy? Czy pan ma zamiar pokazać się w tym roboczym kombinezonie?

- Nie mam innego ubrania, panie profesorze - odparł Weronik. - Ale na dzisiejszą uroczystość zasznurowałem sobie buty galowym czerwonym kablem. Proszę spojrzeć.

Z tymi słowy zadarł nogę i zademonstrował but panu Kleksowi.

- Fiu-fiu - mruknął profesor - Skąd pan wytrzasnął taki nowiutki kabel? Coś zabójczego! Alamakotanki oszaleją z zachwyty na widok pańskich butów. Trudno. Każdy Weronik ma swój konik.

- Chciał pan powiedzieć „swego konika” - wyrwałem się.

- Czy nie rozumiesz, Adasiu, że dla rymu poświęca się często składnię? - skarcił mnie

Kleks. - Jeśli robi tak poetka tej miary co Piwonia, to wolno i mnie. Chodźmy, panowie.

Proszę za mną!

Na placu stała już królewska fregata w całej swej okazałości. Kordon straży powstrzymywał napierający tłum. Punktualnie o godzinie szóstej dostojnicy Alamakoty wkroczyli na pokład fregaty. Premier Trondosentron zajął miejsce na dziobie. Za nim ustawili się w szeregu ministrowie Trąbatron, Limpotron, Tubatron, Paramontron i Fajatron. Przy sterze stanął ministron Alojzytron, Pierwszy Admirał Floty, w galowym mundurze szamerowanym złotem. W odróżnieniu od innych ministronów Alojzy nie był obnażony do pasa, tylko epolety miał grubo posypane galowym srebrnym proszkiem. Przy prawej burcie zasiadła rodzina państwa Lewkoników, przy lewej - żony ministronów.

Na końcu zjawił się witany owacyjnie król Kwaternoster I prowadząc pod rękę zarumienioną Różę. Majestatycznie wstąpił na mostek kapitański, a Róża zajęła złożony fotel u jego stóp.

- Nie wypolerowali oparcia, patałachy - mruknął Weronik.

Król miał na głowie małą koronę podróżną, w dłoni trzymał berło sporządzone ze złotych zegarków, z ramion aż do ziemi spływał mu płaszcz obrzeżony kolorowymi jajkami, prawdopodobnie ugotowanymi na twardo, żeby się nie potłukły. Ryża bródka króla złociła się w słońcu, wydatny nos węszył nastroje ludu, a dobrotliwe spojrzenie sięgało ponad głowami poddanych w daleką przyszłość. Można śmiało powiedzieć, że był to mężczyzna bardzo przystojny, krzepki i postawny. Pomimo swoich lat czterdziestu wyglądał nadzwyczaj młodo. Ale oczy wszystkich skierowane były na przyszłą królową. Omawiano jej urodę, powtarzano sobie szeptem ciekawostki o rodzinie Lewkoników, plotkowano na zabój, jak to zwykle przy tego rodzaju okazjach.

Róża uśmiechem i ruchem dłoni pozdrawiała wiwatujące tłumy. Twarzyczka jej promieniała szczęściem i życzliwością. O takiej właśnie królowej marzyli Alamakotańczycy, nic więc dziwnego, że od pierwszego dnia stała się ich ulubienicą.

Ubrana była w piękną złocistą suknię, a na ramionach, podobnie jak pozostałe damy, miała pelerynkę z kogucich piór.

Królewska fregata na ogumionych kółkach gotowa była do odjazdu.

Na dany przez Admirala znak Zyzik, ukryty dotąd pod pokładem, uderzył w dzwon pokładowy i kawalkada z wolna ruszyła z miejsca. Fregatę ciągnęło stu królewskich hulajnożników. Ponieważ dzień był bezwietrzny, na rufie ustawiono mechaniczne wiatraczki, które dmuchały w żagle i wydymały je nie gorzej niż morska wieja. Zaproszeni goście podążali za fregatą na państwowych hulajnogach pomalowanych w prążki w barwach

narodowych.

Orszak

posuwał

się

ulicami

miasta

wzdłuż

szpaleru

wiwatujących

Alamakotańczyków. Był to widok naprawdę wspaniały. Na maszcie fregaty powiewała bandera królewska, na linach furkotały chorągiewki, ulice tonęły w trójkolorowych flagach. Z balkonów i z okien zwisały girlandy kwiatów. Niezliczone transparenty przerzucone nad ulicami zawierały rymowane patriotyczne hasła. Oto kilka z nich, które mi utkwiły w pamięci:

*Niech donośnie brzmi nasz chór:*

*Więcej kur i więcej piór.*

*Każdy aktywista sportu*

*Dbą o kury dla eksportu.*

*Czy to styczeń, czy to maj,*

*Niech się zwiększa eksport jaj.*

*Będziesz zdrowy cały rok*

*Laktusowy pijąc sok.*

*Nic bez z pracy się nie wskóra:*

*Jakie jajko, taka kura.*

Ministron Trąbatron co jakiś czas wznosił okrzyki, które ludność ochoczo

podchwytowała:

- Niech żyje trzecia nurga!

- Niech żyje!

- Niech żyje jajecznicza!

- Niech żyje!

- Niech żyje tabliczka mnurzenia!

- Niech żyje!

Do pochodu przyłączały się wciąż nowe tłumy, gdyż trzynożni Alamakotańczycy nawet bez hulajnóg mogli z łatwością nadążyć z fregatą.

Na jasnym jeszcze niebie zabłysły pierwsze fajerwerki, a młodzież nieustannie strzelała na wiwat z nadymanyh rybich pęcherzy, co leżało w odwiecznej tradycji tego kraju.

Po dwugodzinnej jeździe przez miasto orszak przekroczył bramy Królewskich

Ogrodników. Na rozległym terenie zgromadziły się tysiączne rzesze Alamakotańczyków, którzy przybyli tu całymi rodzinami, z dziećmi w wieku szkolnym, a nawet z niemowlętami w wózkach i powijkach.

Wszystkich zwabiła uroczystość królewskich zaręczyn, turniej kogutów, zabawa ludowa i obfity poczęstunek.

Na trawnikach widniały barwne karuzele, zjeżdżalnie, placyki gier, kiermasze jajek, tor kurzych wyścigów oraz wiele innych urządzeń służących do uświetnienia festynu.

Pod drzewami ciągnęły się długie zastawione dzbanami laktusowego wina, tacami owoców, łakoci i jajek na twardo.

Królewskie towarzystwo opuściło fregatę, udając się w kierunku drzewa figowego.

Stały tam dwa złoczone fotele dla króla i przyszłej królowej, z tyłu zaś wygodne ławy,

posrebrzone galowym proszkiem, dla zaproszonych gości.

Kwaternoster I zmienił koronę podróżną na świąteczną. Pokrywały ją misternie cyzelowane sceny z bohaterskiej przeszłości Alamakoty. Następnie król odłożył swoje zegarkowe berło, natomiast z rąk Trąbatrona wziął okazałe liczydła, do których zamiast zwykłych drewnianych krążków wprawione były kurze jajka pokryte złotem i srebrem.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu z widokiem drzewa figowego. Uchodziło ono za najstarsze drzewo na świecie. Liczyło 5789 lat i pamiętało zamierzchłe dzieje, które uczeni archeolodzy usiłują zbadać grzebiąc mozolnie w wykopaliskach i wyszukując nikłe ślady po nie istniejących już od dawna miastach oraz ludach.

- Mam pewien pomysł - odezwał się do mnie półgłosem pan Kleks. - Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy! Odtworzę historię świata na przestrzeni pięćdziesięciu wieków. Zmuszę drzewo do mówienia. Rozumiesz? Prześwietlę je promieniami kleksycznymi i uzyskam tą drogą drewniany alfabet. Opracuję kleksykon wyrazów figowych i wszystko będę miał jak na dłoni. Drzewo opowie mi dzieje ludzkości. Zapoczątkuję nową dziedzinę wiedzy - archeologię kleksyczną. Za rok nauka wzbogaci się o nowe wiekopomne dzieło. Tak! Zmuszę to drzewo do mówienia! Zmuszę nieodwołalnie!

Tymczasem w niebo wystrzeliły sztuczne ognie, zagrzmiały ukryte w krzakach grające muszle, rozległy się dźwięki hymnu narodowego. Następnie król dał ręką znak i ministron Trąbatron oznajmił gwizdkiem rozpoczęcie koguciego turnieju.

Na dwunastu tysiącach konarów figowego drzewa siedziało dwanaście tysięcy kogutów uwiązanych na łańcuszkach, bez tego bowiem natychmiast wszczęłyby między sobą bijatykę.

Koguty były przez cały rok odpowiednio tresowane, a ostatnio, na prośbę Bulpa i Pulba, brała w tym udział także Rezeda, która dzięki pani Pepie Pergamut posiadała trudną



sztukę tresury zbiorowej.

Nad przebiegiem turnieju czuwał Paramontron, który był nie tylko ministronem Hodowli Kur, ale nadto światowej sławy kogutologiem.

Wiele kogutów zrezygnowało z udziału w zawodach z powodu chrypki albo innych niedyspozycji gardła. Znaczna część odpadła już na wstępie wskutek braku wymaganych kwalifikacji, niedotrzymania warunków konkursu czy też złego stanu pióropuszy. Te zaś, które były w należytej kondycji, przystąpiły do turnieju, zachowując wylosowaną przez ich właścicieli kolejność. Król, wspomagany przez ministrona Tubatrona, własnoręcznie rejestrował wyniki na liczydłach.

Zawody, jak domyślicie się, trwały bardzo długo. Nie będę opisywał ich szczegółowo.

Wystarczy, jeśli powiem, że koguty wydierały się wniebogłosy, a od ich przeraźliwego piania głowa mi o mało nie pękła.

Pan Lewkonik ciężko sapał, Hortensja mruczała pod nosem swoje monologi, Dalia kichała, Weronik przecierał szmatką poręczę ławek i tylko pan Kleks, który w miarę potrzeby umiał się wyłączyć, beztrosko drzemał pogwizdując nosem Marsz Atramentowych Kleksów.

Wyniki turnieju w tym roku były imponujące. Koguty wykazały doskonałe przygotowanie, większość była w świetnej formie i miała znakomicie postawione głosy. Stu siedemdziesięciu zawodników pobiło rekordy mistrzostw z lat ubiegłych, dwudziestu czterech zapało z przepisowymi pięciosekundowymi przerwami ponad trzydzieści razy z rzędu. Ale zwycięzcą turnieju został w rezultacie ten sam kogut, którego poznaliśmy na przyjęciu u Kwaternostra I. Zapał czterdzieści jeden razy, zapędził w kozi róg wszystkich swoich rywali i utrzymał dotychczasowy zaszczytny tytuł.

Wielotysięczny tłum kibiców przez długi czas oklaskiwał zwycięzcę i wiwatował na jego cześć, a król zgodnie z tradycją zdjął z głowy koronę i przepchnął tryumfatora przez jej

obręcz, nadając mu w ten sposób godność Królewskiego Koguta.

Na ciemniejącym już niebie rozbłysły pióropusze fajerwerków, które oślepiły kogucich zawodników, a gdy zgasły, siłą kontrastu powiększyły wrażenie ciemności. Koguty uległy temu wrażeniu, ucichły i posnęły. Tylko królewski pomazaniec zajął miejsce na poręczy królewskiego fotela i dumnie potrząsnął grzebieniem.

Spoza drzew ukazał się rożek wczesnego księżyca. Był to sygnał do rozpoczęcia uroczystości zaręczynowych.

Ministron Trąbatron wdrapał się po drabinie na konar figowego drzewa. Jego tubalny głos, pomnożony przez setki głośników, obwieścił tłumom, że król Alamakoty Kwaternoster I postanowił wstąpić w związek małżeński, na potwierdzenie czego odbędą się wobec zgromadzonego ludu królewskie zaręczyny z obecną tu panną Różą Lewkonik, córką Anemona i Multiflory. W odpowiedzi na obwieszczenie z dziesiątek tysięcy płuc wydobył się ogłuszający okrzyk radości, który, powtórzony przez echo, wstrząsnął jak wichur wierzchołkami drzew.

- Brawomakota! Brawomakota - wrzeszczały na cały głos dzieci szkolne i oseski w wózkach.

Koguty przebudzone tą potężną wrzawą zapiały donośnym chórem, po czym znowu zapadły w sen. Niespodziewanie rozległo się jeszcze dodatkowe „kukuryku”, wykonane przez mistrzowski duet złożony z Alojzego i pana Kleksa. A gdy nastąpiło ogólne uspokojenie, rozpoczęła się właściwa ceremonia zaręczyn.

Do pary dostojnych oblubieńców zbliżył się ministron Tubatron podając na srebrnym półmisku zaręczynowe jajko. Zniosła je specjalnie pasiona złotym prosem kura z rasy bramaputra, uszlachetnionej przez rasę bojowców alambajskich.

Następnie premier Trondodentron przedhistorycznym mieczem legendarnego króla

Bambosza Koślawego przeciął jajko na dwoje. Zamiast żółtka wypadły zeń złote pierścienie, które ministron Trąbatron włożył na palce króla i Róży, wygłaszając po alambajsku zaręczynową formułę:

*Urba lursy w jeden wiąż,*

*Durbra żurna, durbry mąż.*

I znowu wystrzeliły fajerwerki rysując na tle nieba wizerunki oblubieńców, znowu przebudzone koguty zapiały chórem, a zespół zestrojonych muszli odegrał hymn narodowy.

Po zakończeniu części oficjalnej w świetle lampionów i ogni sztucznych rozpoczęła się zabawa ludowa. Natomiast król z narzeczoną oraz dostojnicy i zaproszeni goście ruszyli w drogę powrotną. Fregata potoczyła się szybko po opustoszałych ulicach, my zaś gazowaliśmy na naszych hulajnogach.

- Możemy jutro spokojnie odpłynąć! - zawołał wyprzedzając mnie pan Kleks. -

Pchnęliśmy Alamakotę na nowe tory! Otworzyliśmy przed nią olśniewające perspektywy.

Jeszcze dzisiejszej nocy napiszę na ten temat dwutomowe dzieło pod tytułem

„Kleksomakota”.

Jak widać, w genialnej głowie uczonego nieustannie kłębiły się wielkie, twórcze myśli.

## **POŻEGNANIE Z PRZYGODĄ**

„Płetwa Rekina” wypłynęła poza redę. W oddali powiewały ledwie dostrzegalne chusteczki, którymi żegnali nas dostojnicy Alamakoty, rodzina Lewkoników i nasi przyjaciele. Tylko Alojzy stał nieruchomo na pokładzie bajkajaku, z ręką przyłożoną do admirałskiego kapelusza. Odprowadzał nas do granicy wód terytorialnych. Ale i on wkrótce zniknął nam z oczu.

Chociaż Rezeda obiecała rodzicom, że najbliższe wakacje spędzimy wspólnie w

Alamakocie, teraz markotnie spoglądała w dal, przejęta pierwszym rozstaniem z rodziną.

Szybko jednak odzyskała zwykłą pogodę ducha. Usiadła obok kapitana statku i wraz z nim przystąpiła do rozwiązywania krzyżówek.

„Płetwa Rekina” była to staromodna motorowa łajba, która mogła rozwijać niewielką szybkość, a byle burza groziła jej zatopieniem. Na szczęście kapitan miał wyjątkowego nosa i potrafił tak lawirować, że przemykał się zręcznie pomiędzy nieprzychylnymi wiatrami. Wolał raczej nadłożyć drogi, niż wadzić się z nawałnicą. Czekala nas więc długa podróż i nikt nie mógł przewidzieć, kiedy dotrzemy do celu.

Z usposobienia kapitana wynikało też i to, że załoga była niemrawa i niedbała.

Opanowany namiętnością rozwiązywania krzyżówek, kapitan mało czym się przejmował, a już najmniej troszczył się o porządek na statku. Nic więc dziwnego, że Weronik natychmiast podwinął nogawki, przyniósł kubły, szczotki, mydło i zabrał się energicznie do szorowania pokładu. Pan Kleks beztróska pogwizdywał, a gdy Weronik zlewał deski wodą, ślizgał się po nich jak sztubak, twierdząc, że pomaga mu to w skupianiu myśli. Zresztą trzeba przyjmować, że wielki uczonego robił to z ogromną zręcznością i wprawą godną mistrza jazdy na lodzie.

Pogoda, tak jak poprzednio, sprzyjała nam przez cały czas. Niebo było bezchmurne, a fala łagodnie omywała kadłub statku.

Tri-Tri wiernie nam towarzyszył. Pragnąc przed nieuniknioną rozłąką dać dowód swej życzliwości, raz po raz podsuwał mi do ust różne tłuste muszki. Nie chciałem mu sprawiać przykrości, dopiero więc gdy odlatywał na dalsze łowy, ukradkiem wyrzucałem te ptasie przysmaki do morza.

Pan Kleks obserwując nas nie omieszkiał mi dociąć:

- Patrzę na twoją zażyłość z kolibrem i zachodzę w głowę, jak człowiek twojego

pokroju mógł uwierzyć w podobną brednię. Ojciec przemieniony w ptaka! Śledź nie

wymyśliłby nic głupszego. Nikomu o tym przynajmniej nie opowiadaj. Wyśmieję cię każdy, nawet dziecko! A może uważasz, że Tri-Tri to także jakoś osobistość przemieniona w ptaka?

Tu pan Kleks wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Trzęsła mu się głowa, broda i brzuch. Z nosa spadły okulary. Parskał i prychał, zachłystywał się własnym chichotem, którego nie mógł w żaden sposób opanować, po prostu i dosłownie pokładał się ze śmiechu.

Załoga, zwabiona dziwnymi odgłosami, otoczyła uczonego, kapitan oderwał się od krzyżówki, Weronik przerwał swoją pracę, a pan Kleks śmiał się do rozpuku, trzymał się za brzuch i wołał wycierając łzy:

- Nie wytrzymam! Pęknę ze śmiechu! Czuję się, jakby mnie ktoś łaskotał... Nigdy się tak jeszcze nie uśmieiał... Adasiu, zejdz mi z oczu, nie rozśmieszaj mnie, bo mi się wszystkie guziki poobrywają...

Śmiech pana Kleksa był tak zaraźliwy, że całe towarzystwo zaczęło mu wtórować.

Sternik ryczał tubalnym głosem, Weronik piszczał falsetem, Rezeda chichotała cienko jak komar. Tri-Tri w przekonaniu, żeśmy zwariowali, ofiarował mi na pożegnanie ostatnią muszkę, pogłaskał mnie dziobkiem po uchu i ruszył w drogę powrotną do Alamakoty.

Widziałem go wtedy po raz ostatni.

Czułem się doszczętnie ośmieszony. Tak, strzeliłem nieprawdopodobne głupstwo. Ale poznanie Rezedy i pozyskanie jej serca wynagrodziło mi w pełni moją kompromitację.

Wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem na prawą burtę, gdzie kwitły krzaki róż, zasadzone tam przez pana Lewkonika.

- Twoja matka ma rację - rzekłem. - Lepiej obcować z kwiatami niż z ludźmi.

Powiedziałem to bez większego przekonania, ale byłem ogromnie rozżalony na pana Kleksa.

Nie pamiętam już dokładnie, jak długo trwała nasza podróż, ale chyba ze dwa

tygodnie. Przez ten czas niestrudzony pan Kleks zdążył przeprowadzić wiele obserwacji i badań, z których powstało jego nowe dzieło o doskonaleniu umysłu ludzkiego za pomocą przeszczepiania mózgu delfinów.

A ja i Rezeda przysłuchiwalismy się pilnie narzeczu mew i zdołalismy doprowadzić mewi słownik do litery jot.

Tylko Weronik stawał się coraz bardziej zatroskany i mrucał pod nosem: „Oj, panie Chryzantemski, panie Chyryzantemski!” Albo: „Nie, panie Modeście... O, nie!”

Piątego dnia naszej żeglugi wyłowiliśmy z morza łódź z trzema bajdockimi rozbitkami. Cyklon porwał ich statek i podrzucił w górę tak wysoko, że z całej załogi tylko oni trzej zdołali się uratować skacząc wraz z łodzią na spadochronach. Po spożyciu obfitego posiłku Bajdoci przystąpili swoim zwyczajem do opowiadania bajek. Opowiedzieli nam o dwóch braciach - bogatym i biednym, następnie o dwóch siostrach - dobrej i złej, wreszcie o sierotce Dorotce i niegodziwej macosze. Ale po przygodach w Alamakocie bajki te wydały nam się cklive i mdłe, wobec czego woleliśmy wrócić do naszych zajęć. Poszliśmy z Rezedą na rufę, skąd rzucaliśmy mewom kawałki chleba, żeby skłonić je do większej gadatliwości.

Pracowaliśmy w skupieniu nad ptasim słownikiem i tylko od czasu do czasu dobiegały nas westchnienia starego dozorca: „Nie, panie Modeście... O, nie!”

Wreszcie pewnego słonecznego dnia jeden z majtków obwieścił: „Ziemia!”, a po godzinie ukazały się naszym oczom wieże rodzinnego miasta. Serce zabiło mi mocniej.

„Płetwa Rekina”, która wypłynęła z Alamakoty pod banderą zmyślonego państwa Landrynkonii, wywiesiła teraz właściwą flagę.

Wysiedliśmy na ląd z uczuciem ulgi i radości, jak każdy podróżnik, który po długiej nieobecności wraca do ojczyzny.

Pan Kleks pojechał wprost do Akademii, umawiając się ze mną na dzień następny, my

zaś, to znaczy Rezeda, Weronik i ja, ruszyliśmy ku domowi. Byłem pełen wzruszenia, radości, ale i niepokoju zarazem. Zresztą, wszyscy troje przeżywaliśmy te same mieszane uczucia.

Nie macie pojęcia, co się ze mną działo, gdy z daleka ujrzałem rodziców stojących na balkonie. Pewnie stali tak od wielu dni w oczekiwaniu mojego powrotu.

Gnałem ulicą jak szalony, ciągnąc za sobą Rezedę, i po chwili byłem już w domu. Na pewno każdemu z was zdarzyło się wracać po długiej rozłące do swoich najbliższych, nie potrzebuję więc opisywać, jak wygląda wtedy powitanie.

Matka, płacząc z radości, ścisnęła mnie tak zapamiętale, że aż kapelusz, który zawsze wkładała wychodząc na balkon, spadł jej z głowy.

- Pan Chryzantemski powiedział nam, że wyjechałeś w podróż, ale nie wiedział, dokąd - rzekł ojciec głosem przypominającym ćwierkanie ptaka. - A kto jest ta miła panienska? - zapytał patrząc na Rezedę.

- To moja narzeczona, panna Rezeda Lewkonikówna... Argonauci jeździli po złote runo, konkwistadorzy po bogactwa, a ja wyruszyłem po największy skarb, po moją najdroższą Rezedę. Pragnę, abyście pokochali ją tak samo jak mnie.

- Piękne imię: Rezeda! - zawołała matka. - Właśnie mam nowy kapelusz, przybrany bukietem rezed. Witam cię, moje dziecko, w naszym domu. Zawsze marzyłam o takiej uroczej żonie dla mego Adasia. Wszystko to przeczułam i już nawet przygotowałam dla ciebie nakrycie. Chodźmy do stołu, bo zupa stygnie. Co dzień tak stygła, odkąd wyjechałeś. Na obiad była zupa pomidorowa z ryżem, potem moje ulubione kurczęta z mizerią, a na deser lody o trzech smakach. Cytrynowe, malinowe i pistacjowe. Od razu przypomniały mi się barwy narodowe Alamakoty.

Na przemian z Rezedą opowiadaliśmy rodzicom o tym dziwnym i ciekawym kraju.

Ojca najbardziej zainteresowały szczegóły dotyczące konstrukcji Alojzego, zwłaszcza że w swojej bibliotece posiadał książkę pana Kleksa o energii kleksycznej. Był to właściwie tylko grzbiet, ale nie ulegało wątpliwości, że ojciec zaraz po obiedzie napisze nową wersję tego dzieła i ponownie je przeczyta.

Rodzice podziwiali osobliwości, które przywiozłem z Alamakoty. Matka natychmiast wypróbowała na sobie sok owocu gungo, ojciec zaś, chociaż bardzo nie lubił smaku mleka, napił się soku laktusowego, po czym z ogromną ciekawością oglądał zdjęcia Rezerwatu Zepsutych Zegarków, królewskiej fregaty, „Anemonowej Piętki”, zwłaszcza zaś Kwaternostra I, Alojzego oraz trzynogich i trzyrękich Alamakotańczyków.

Przez ten czas matka zajęła się Rezedą. Widziałem, że moi rodzice bardzo przypadli jej do serca, wesoło więc szczebiotała opowiadając o panu Lewkoniku, o Multiflorze, o przyszłej królowej Alamakoty.

W mieszkaniu pięknie posprzątanym przygotowany był dla mnie gabinet, a pracownię do wypychania ptaków ojciec przeznaczył dla Rezedy. Zresztą ptaki jak zwykle wietrzyły się na balkonie, matka więc przy mojej pomocy szybko pokój przemeblowała i nadała mu wygląd niezwykle przytulny.

Gdy Rezeda poszła rozpakowywać swoje rzeczy, a ja zostałem sam z rodzicami, rzuciłem od niechcienia pytanie:

- Jak to się stało, że po powrocie z Akademii nie zastałem nikogo w domu i musiałem wyruszyć w podróż bez pożegnania? Bardzo mi było przykro...

To przez twoją matkę - rzekł ojciec. - Wynajęliśmy w Laskach Waniliowych nad rzeką Wkrbrdą lotnisko, żebyś mógł po skończeniu Akademii wypocząć. Matka postanowiła zrobić tam wielkie porządki. Zabrała elektroluks i pojechaliśmy wczesnym rankiem. A potem spóźniliśmy się na pociąg i wróciliśmy dopiero wieczorem.



- Nie zwalaj wszystkiego na mnie - zaprotestowała matka. - Przecież pan

Chryzantemski miał Adasia uprzedzić. Prosiłam go o to. Nie pamiętasz? Weronik tego dnia musiał pojechać po ptaki do wypychania, a pan Chryzantemski wygrzewał się właśnie na ławeczce przed domem. Nic ci, Adasiu, nie powiedział? Może zapomniał?... Dawno już zauważyłam, że na starość traci pamięć.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem otworzyć i zobaczyłem Weronika. Miał na sobie znowu swój służbowy serdak i buty zasnurowane kablem od żelazka elektrycznego. Zza pleców starego dozorca wyglądał nieśmiało pan Chryzantemski.

- Panie Weroniku - szepnąłem - tylko ani słowa o żadnym guziku, o przemianie w ptaka, o listonoszu... Koniec, grób, mogiła. Ani mru-mru!

Stary dozorca kiwnął głową i poszedł przywitać się z rodzicami. Za nim dreptał niepewnie pan Chryzantemski.

- Panie Modeście - rzekła matka z wyrzutem - zapomniał pan wtedy powtórzyć synowi to, o co prosiłam.

- Już nawet nie pamiętam, co zapomniałem - odparł wzdychając pan Chryzantemski.

Miał widocznie ciężką przeprawę z Weronikiem i porządnie musiał od niego oberwać.

- Nie, panie Modeście... O, nie! - mruknął gniewnie stary dozorca.

- Faktycznie, proszę szanownej pani - ciągnął emerytowany sztukmistrz - pamięć mi ostatnio nie dopisuje. A w dodatku dziwne rzeczy dzieją się z moją głową. O, proszę popatrzeć...

Mówiąc to, strzepnął palcami nad uchem i w tej samej chwili z tegoż ucha wyleciało mu kilka świergoczących jaskółek. Wyfrunęły przez okno, przysiadły na poręczu balkonu, po czym zerwały się z trzepotem i poszybowały w dal.

Zwabiony ptasim świergotem, wylazł spod kanapy zaspany kot Hieronim, miauknął, przeciągnął się i leniwym krokiem pomaszerował do pokoju Rezedy.

- A może ten kot także wyszedł z pańskiego ucha? - zapytał zjadliwie Weronik.

- Kot? - powtórzył ze zdziwieniem sztukmistrz. - Nie widziałem żadnego kota. Ale jak pan chce, proszę bardzo...

To mówiąc, z nogawki szerokich spodni wyciągnął za ogon wrzeszczącego przeraźliwie Hieronima.

Byłem olśniony popisem pana Chryzantemskiego.

- Rezedo! - zawołałem. - Chodź tu prędko. Zobaczysz coś ciekawego.

Rezeda przybiegła ze swego pokoju, a Weronik wziął się pod boki i powiedział z przekąsem:

- No, panie Modeście, może pan teraz przemieni pana Niezgódkę w ptaka!

- O, nie! - zawołałem. - Tylko nie to! Proszę bez takich żartów!

Pan Chryzantemski stanął na wprost Weronika i rzekł przymrużając jedno oko:

- Panie Czyścioch, zdaje się, że pan ma dzisiaj muchy w nosie. Warto by je wypuścić.

Z tymi słowy pociągnął Weronika za nos i w tej samej chwili z nosa Weronika zaczęły wyfruwać roje much. W pokoju zrobiło się od nich czarno. Ojciec uciekł na balkon, a matka, która prowadziła nieustanną walkę z muchami, podniosła nieopisany lament:

- Co pan wyprawia! Niech pan natychmiast zabierze te muchy! Czy mam wezwać straż pożarną?

Pan Chryzantemski błyskawicznie wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa, strzepnął ją i podrzucił w powietrze. Wtedy wszystkie muchy zbiły się w dużą czarną kulę, a on zręcznie zawinął ją w chusteczkę i wyrzucił przez okno.

Zanim zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia po tym niezwykłym popisie starego

sztukmistrza, pan Chryzantemski uklonił się, powiedział „do widzenia” i szybko opuścił mieszkanie.

Po jego wyjściu Weronik rzekł z ciężkim westchnieniem:

- Sami państwo widzieli... Prosiłem go, żeby mnie zastąpił. Ale kto mógł przewidzieć... Wie pan, panie Adasiu, co on narobił? W nocy wyprowadził wszystkich lokatorów w czasie snu, bez ubrania, na ulicę i tak ich zaczarował, że pływali w fontannie jak złote rybki. I co teraz będzie? Jak ja się wytłumaczę przed ludźmi? Mój honor dozorczy leży w błocie.

- Niech pan się uspokoi - pocieszyłem Weronika. - Wszystko biorę na siebie. Może pan spać spokojnie. Załatwię to tak, że nikt nie będzie miał do pana pretensji. A potem wyprawimy panu jubileusz. Ja i panna Rezeda zajmiemy się tym osobiście.

Stary dozorca miał łzy w oczach. W milczeniu wytarł mimochodem z kredensu czarne kropki, które pozostawiły tam muchy pana Chryzantemskiego, po czym pożegnał się i wyszedł. Odprowadziłem go do drzwi.

- Może pan na mnie polegać - powiedziałem mu na odchodnym. - Nic tak ludzi nie zbliża jak wspólna podróż. A my, panie Weroniku, byliśmy przecież razem w Alamakocie. Gdy wróciłem do pokoju, zauważyłem, że kot Hieronim leży u Rezedy na kolanach.

- Widzę, że zamierzasz go wytresować - rzekłem z uśmiechem.

- Tak. Postaram się zmienić jego charakter. Nauczę go psiej wierności. Zamiast siedzieć pod kanapą, będzie odtąd wybiegał na twoje spotkanie. A ja razem z nim. Dobrze?

- Słuchaj, Adasiu - odezwała się matka - o jubileuszu Weronika pamiętasz, a zapominasz o własnych sprawach. To bardzo ładna cecha, ale musimy przecież pomyśleć o waszym ślubie. A potem wyjedziemy razem w podróż poślubną.

- Tylko nie razem - wtrącił się ojciec - starzy nie powinni wlec się za młodymi. Ślub

mógłby się odbyć, powiedzmy, za miesiąc. Ósmego sierpnia. Bardzo lubię okrągłe daty.

Mój ojciec był trochę dziwakiem i za okrągłe liczby uważał trójkę, siódemkę, ósemkę i trzynastkę.

- A teraz idziemy spać - oświadczyła matka. - Na pewno jesteście zmęczeni po podróży. Dobranoc.

Wczesnym rankiem obudził mnie kot Hieronim łasząc się do mnie jak pies. Odgadłem w tym rękę Rezedy.

Ubrałem się szybko i nie czekając na śniadanie, podążyłem na ulicę Czekoladową do Akademii pana Kleksa.

Hieronim wyprężony, z zadartym ogonem, kroczył wiernie przy mojej nodze.

Zastałem pana Kleksa w gabinecie. Na drzwiach wisiała wprawdzie tabliczka z napisem „Ludziom wstęp wzbroniony”, ale zakaz ten dotyczył tylko uczniów Akademii, domokrażców, handlarzy i fryzjera Filipa, który był bardzo wścibski.

Gabinet profesora przypominał bardziej laboratorium czarnoksiężnika z bajki niż pracownię wielkiego uczonego. Pośrodku stała słynna platforma elepelemele telektryczna, na ścianach wisiały lampy, reflektory, radary oraz lasery; w rogach pokoju umieszczone były reaktory i mózgi elektronowe, a na stołach pod ścianami leżały aparaty wynalezione i skonstruowane przez pana Kleksa. Zauważyłem wśród nich kombajn do leczenia chorych sprzętów, zapasowe bębny podsłuchowe, senne lusterka, czyli podpatrywacze snów, zgadywacz myśli, kondensator energii kleksycznej, baterie przebieralników, skarbonki pamięci, retorty i wirówki do wytwarzania migdałów, orzechów oraz innych gruczołów, walcownię syntetycznej skóry ludzkiej i wiele innych.

Pan Kleks uściskał mnie na przywitanie, po czym stanął na jednej nodze i rzekł uroczyście:

- Doktorze Adamie Niezgódka! Dzisiaj wracam do Alamakoty, gdzie podejmę prace mające na celu uszczęśliwienie ludzkości. Tobie przekazuję moją Akademię! Mianuję cię jej dyrektorem. Będziesz moim następcą, czyli drugim Ambrożym Kleksem! Oddaję ci tę skarbnicę wiedzy i mądrości, a ty nie zawieź mego zaufania! Tu w szufladzie są wszystkie klucze. A więc złoty klucz do sąsiednich bajek, klucz do moich sekretów oraz klucz do biblioteki, gdzie znajdziesz wszystkie moje dzieła oraz dokładną dokumentację moich wynalazków. Chodź, zapoznaj się z zawartością tej szafy.

Z tymi słowy pan Kleks otworzył pancerne drzwi biblioteki. Stały w niej rzędem grube tomy oprawne w skórę. Na grzbietach odczytałem tytuły dzieł. Było to: „Kleksotomia”,

„Kleksopedia”,

„Kleksografia”,

„Kleksonautyka”,

„Kleksometria”,

„Kleksologia”,

„Kleksozofia”, „Kleksomatyka”, „Kleksoznawstwo”, „Kleksochemia”, „Zasady energii kleksycznej”,

„Kleksyczna

budowa

materii”,

„Kleksotronika”,

„Kleksykologia”,

„Kleksofonia i kleksowizja” oraz inne.

- A oto moje najnowsze dzieła - rzekł z dumą pan Kleks. - Popatrz, tu jest

„Alamakotanika”, tu zaś maszynopis „Kleksomakoty”. Oddasz tę pracę do druku. Znajdziesz

w niej opis naszej podróży oraz kilka pochlebnych wzmianek o sobie. Na pewno przeczytasz je z zadowoleniem. Aha, prawda! Muszę ci również przekazać mój ostatni wynalazek.

Z tymi słowy pan Kleks wyjął z podręcznej szafki mały aparacik wielkości puszek od konserw.

- No co? Domyślasz się, do czego to służy?

Oglądałem aparacik ze wszystkich stron, opukiwałem go, przyłożyłem do ucha, ale nie umiałem określić jego przeznaczenia.

- A więc powiem ci - ciągnął dalej profesor. - Jest to Kleksyczny Wsączalnik

Domózgowy. Spójrz. Bierzemy jakikolwiek podręcznik i włączamy do niego tę oto rubinową soczewkę. Przewody z drugiego końca podłączamy do miedzianego pierścienia, który wkładamy w nocy na głowę ucznia. Naciskamy guziczek, po czym wiązki promieni przenoszą zawartość podręcznika wprost do mózgu uspiętej osoby. Jest to niezawodna metoda nauczania w czasie snu. Dzięki temu wsączalnikowi w ciągu dwudziestu nocy opanowałem dwadzieścia nowych języków. Strzeż tajemnicy tego wynalazku i stosuj go wyłącznie do nauczania w Akademii. Osiągniesz znakomite wyniki.

Kleksyczny Wsączalnik Domózgowy był zadziwiająco prostej konstrukcji i

nadzwyczaj łatwy w użyciu. Postanowiłem więc wypróbować go zaraz na sobie.

Użyłem do tego celu podręcznika języka chińskiego. I rzeczywiście, już po piętnastu minutach mogłem porozumieć się z panem Kleksem po chińsku, ale tylko w połowie, gdyż w tak krótkim czasie zdążyłem opanować zaledwie połowę tego języka.

- To chyba byłoby wszystko - powiedział pan Kleks. - Możemy teraz przejść na taras.

Przyrządę wyborną kawę. Kawa to moja specjalność.

Wielki uczyony popijał kawę małymi łydkami, głaskał brodę, od czasu do czasu przykładając jej koniec do ucha, jak gdyby nasłuchiwał.

Był widocznie roztrągniony, mówił o kilku sprawach naraz, nad czymś dumał, wreszcie otrząsnął się z zamyślenia.

- Powiedz mi, Adasiu, jak znalazłeś rodziców? Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - odrzekłem. - Dziękuję za pamięć.

- No widzisz - ciągnął pan Kleks - a tak łatwo dałeś się nabrać. Człowiek nie może przemienić się w ptaka. Byłoby to przeciwne ustalonym prawom natury, tradycyjnym prawom natury, jeśli można się tak wyrazić. Czy mnie rozumiesz?

- Oczywiście, panie profesorze.

- Ale... jeśli chodzi o mnie, to jest to całkiem inna sprawa. Nie-po-rów-ny-wal-na. Ja posiadam kleksyczny przebieralnik. Udoskonalony kleksyczny przebieralnik. Odkryłem piąty stan materii. Odkryłem kleksoplazmę. Dlatego ja mogę przemienić się w ptaka. I zaraz to uczynię, gdyż muszę niezwłocznie odlecieć do Alamakoty.

Po tych słowach pan Kleks wyjął z kieszeni kamizelki małą flaszkę, przyłożył do ust i wychylił duszkiem całą jej zawartość.

Wkrótce nastąpiło coś bardzo dziwnego. Pan Kleks powoli zaczął się zmniejszać, kurczyć, zmieniać kształt. Nogi stawały się coraz krótsze i cieńsze. Broda niepostrzeżenie połączyła się z nosem i uformowała w zgrabny ptasi dziób. Ramiona stopniowo przeobraziły się w skrzydła, a poły surduta w ptasi ogon. Przemiana odbywała się tak szybko, że zanim zdążyłem się spostrzec, pan Kleks już przybrał postać szpaka, zwinnie podskakiwał na ptasich nóżkach i wesoło świdrował mnie oczami.

- Panie profesorze! -- zawołałem wstrząśnięty tym widokiem. - Panie profesorze, co to ma znaczyć?

- Ala-ma-kota, Ala-ma-kota - wyszczebiotał pan Kleks i potarł dziobek o płytę tarasu.

Kot Hieronim wyprężył grzbiet, oblizwał się smakowicie i już, już gotował się do

skoku, gdy pan Kleks zatrzepotał skrzydłami i w samą porę, tuż przed nosem Hieronima, uniósł się w powietrze.

Po chwili zatoczył nad Akademią koło i poszybował w kierunku południowo-wschodnim.

Odlatując pozostawił za sobą na niebie białą smugę jak odrzutowiec.

Przez chwilę wisiała ona w przestworzach nieruchomo, potem jednak stopniowo porozsuwała się na części, te zaś przybrały kształt liter i ułożyły się w znajome sylaby.

- Pa-ram-pam-pam - przeczytałem na głos rozplywające się w powietrzu litery.

Tą ulubioną niewymyślną śpiewką pan Kleks obwieszczał światu tryumf swego wielkiego umysłu, swoje zwycięstwo nad niewzruszalnymi dotychczas prawami natury.